

ŚLEDZTWO „DO RZECZY”

Co na pewno wiadomo o oskarżeniach
wobec księdza Jankowskiego

TYGODNIK LISICKIEGO

DO
RZECZY

CENA 7,90 zł (W TYM 8% VAT)

NR 11/314 11-17 MARCA 2019

Tęczowi odbijają
Schetynie Platformę
- ujawnia Ziemkiewicz

ZNOWU WIESZAĆ
MORDERCÓW?

- ŁYSIAK
O KARZE ŚMIERCI



Cenckiewicz o procesie
wytoczonym przez Wałęsę

MAGDALENA OGÓREK
O ATAKACH NA TVP:

Nie zginam
karku,
nie dam
się złamać

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 2888.29



9 772299 850000
Nakład: 78 tys. egzemplarzy



PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI

2019





PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Dziękuję za odrodzenie

Emanuel Macron napisał list i opublikował go w 28 państwach Unii. Nie jest to oczywiście zwykły list, ale – jak przeczytałem – prawdziwy manifest pod stosownym do tego bombastycznym, co się zowie, tytułem: „Na rzecz europejskiego odrodzenia”. Niestety, lektura rozczarowuje.

RYSUNEK TYGODNIA



Jak to już nie raz bywało, manifest jest zbiorem ogólnie słusznych sloganów i bliżej nieokreślonych, ale przez to niebezpiecznych pomysłów. Trudno powiedzieć, czy francuski prezydent napisał go po to, żeby zatrzeć złe wrażenie, jakie musiały wywołać masowe protesty „żółtych kamizelek”, czy też naprawdę jest to zarys projektu, który Francja będzie próbowała forsować po majowych wyborach do Parlamentu Europejskiego. Może to być zapowiedź powołania nowej, „reformatorskiej” frakcji w Parlamencie, która to pomysły prezydenta Francji będzie chciała wprowadzać w życie.

Swoój list prezydent Francji zaczyna od stwierdzenia, że „od czasów II wojny światowej Europa nie była tak potrzebna. A jednocześnie

tak zagrożona. Nie możemy pozwolić nacjonalistom wykorzystać gniewu narodów”. Nie bardzo wiadomo jednak, na czym dokładnie to zagrożenie Europy polega. Kto je reprezentuje? Twierdzenie, że od 1945 r. Europa nie była tak zagrożona, sugeruje mroczne i strasznie potężne siły piekielne, które z zewnątrz na Europę czyhają. Prezydent Macron nigdzie dokładnie tych mocy zła nie definiuje i nie opisuje. Z kontekstu wynika, że są to ogólnie „nacjonalisci”. Trudno też zrozumieć, skąd się bierze siła owych „nacjonalistów”. Najwyraźniej próbują oni „wykorzystać gniew narodów”. Znowu zagadka: wynika z tych słów, że pojawił się w Europie gniew narodów, którego nacjonalisci nie wywołali, a jedynie próbują wykorzystać. To skąd się on wziął i na co gniewają się narody? Zdrowy rozum podpowiada, że właśnie na taką Unię, jaka jest obecnie. Jednak dziwnym trafem prezydent Macron do takiej konkluzji nie dochodzi.

Dalej dowiaduję się, że „nacjonalisci myślą się, kiedy udają, że wycofaniem się z Europy bronią naszej tożsamości; ponieważ to właśnie cywilizacja europejska nas łączy, nas wyzwala, nas chroni”. Szczerze mówiąc, wszystko to dość bełkotliwe. Jacy nacjonalisci chcą wycofać się z Europy? Jak rozumiem, chociaż to interpretacja, chodzi o tych niedobrych ludzi, którzy chcą się wycofać z Unii – najwyraźniej myśl, że Unia i Europa nie są tym samym, wykracza poza horyzont poznawczy prezydenta Francji. Zamiast tego się dowiaduję, że „cywilizacja europejska nas łączy”. Świetnie. Ale jakich nas i na czym dokładnie to połączenie polega? Nie słyszę odpowiedzi. Podobnie młodo brzmią opowieści o duszy, która rzekomo ożywia Europę. Co za dusza? Chrześcijańska? A może masońska? A może jakaś inna jeszcze?

Najbardziej niebezpieczne jest jednak to, co prezydent Francji proponuje jako antidotum. Otóż mówi on o „wolności, opiece i postępie”. Aż ciarki przechodzą mi po skórze, zwłaszcza jeśli czytam, na czym ma polegać ta postępowania wolność. „Model europejski opiera się na wolności człowieka, różnorodności opinii i tworzeniu” – pisze prezydent Francji. Doskonale. Nie wiem wprawdzie, jak owa pochwała „różnorodności opinii” ma się choćby do przyjętego we Francji prawa zakazującego krytyki aborcji w Internecie, ale może coś przegapiłem. A może w ujęciu prezydenta Francji „różnorodność opinii” to nie faktyczna różnorodność, lecz różnorodność europejska, czyli taka, w której dla niewygodnych opinii miejsca nie ma.

„Naszą fundamentalną wolnością jest demokratyczna wolność wyboru naszych przywódców i to wtedy, podczas każdego głosowania, obce mocarstwa próbują wpływać na nasze głosy. Proponuję utworzenie Europejskiej Agencji Ochrony Demokracji, która zapewni każdemu państwu członkowskiemu europejskich ekspertów dla ochrony procesu wyborczego przed cyberprzestępczością i manipulacjami”. A kto będzie powoływał Europejską Agencję? Kto będzie ją wybierał? I w jaki sposób tajemniczy eksperci będą chronić „proces wyborczy przed manipulacjami”? Kto będzie odróżniał manipulację od informacji niewygodnej dla władzy? Kto będzie kontrolował ekspertów? Z kontekstu wynika, że ich głównym zadaniem ma być to, by nie pozwolili „nacjonalistom” podawać „fałszywych informacji”.

Przypomina to wszystko razem pomysł powołania nowych sówiów, tyle że już nie socjalistycznych, ale europejskich. Cóż, pozostaje mi nadzieja, że cały list był tylko wizerunkową zagrywką. ©

KRAJ

24 ROZMOWA Z JACKIEM SARYUSZEM-WOLSKIM
TUSK ZWYCZAJNIE STCHÓRZYŁ
UE powinna robić mniej, ale lepiej

28 PIOTR SEMKA
LEWICA DOCISKA GAZ

30 ROZMOWA Z BARBARĄ NOWAK,
MAŁOPOLSKĄ KURATOR OŚWIATY
**NADCIĄGA WIELKIE ZAGROŻENIE
DLA DZIECI**

32 WOJCIECH WYBRANOWSKI
SEKRETY PRAŁATA

36 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
TĘCZOWA PLATFORMA



38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
PSL BEZ BAJERU

40 TOMASZ WIŚCICKI
OBRONA ŻYCIA: ŁATWO NIE BĘDZIE

KULTURA

42 PIOTR GOCIEK
KURIER NIE DOJECHAŁ
„Kurier” – film nie tylko o Nowaku-Jeziorańskim

45 JOANNA LICHOCKA
METEMPSYCHOZA

NIE PRZEGAP

48 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

CYWILIZACJA

54 WALDEMAR ŁYSIAK
ZNOWU WIESZAĆ?
Dywagacje o karze śmierci



TEMAT TYGODNIA

18 ROZMOWA Z MAGDALENĄ OGÓREK
**POLACY NIE MAJĄ
PROBLEMÓW Z TOLERANCJĄ**
Mniejszość nie może narzucać
większości swojego dyktatu

OPINIE

62 TOMASZ ROWIŃSKI
MANIFEST KARDYNAŁA MÜLLERA
Spór w Kościele

64 JERZY KARWELIS
NOWY-STARY PRODUKT

66 ŁUKASZ WARZECHA
CENA WOLNOŚCI

68 MARIA KĄDZIELSKA
CENZURA MYŚLI

HISTORIA

70 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ
A „NÓŻ” SIĘ UDA
Lech Wałęsa pozywa



74 MARCIN MAKOWSKI
PIĘĆ DEKAD SEMKI

ŚWIAT

76 TERESA STYLIŃSKA
BRACIA SEPARATYSTY
Secesjoniści w Europie

EKONOMIA



80 JACEK PRZYBYLSKI
POLACY W LIDZE MISTRZÓW
Biznesowy game-changer

82 ROZMOWA Z PREZESEM ZARZĄDU PKP SA
Z POCIĄGU NA E-AUTO PKP

FORMUŁA 1



88 RADOŚŁAW WOJTAS
NOWY ROZDZIAŁ KUBICY
Przed Grand Prix Australii

O ZDROWIU

90 ROZMOWA Z OKULISTĄ
PAWŁEM KLONOWSKIM
NIE PRZEZ ZAMAZANĄ SZYBĘ
Operacje zaćmy

Drodzy Czytelnicy,

Dziś w listach temat relacji polsko-żydowskich, który w ostatnim czasie dość często przewija się w korespondencji od Państwa. Przypominamy nasz adres e-mailowy: listy@dorzeczy.pl.

„Jaka brzydka katastrofa” – Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz” 8/2019

Ponieważ zgodnie z wypowiedzią ministra spraw zagranicznych Izraela zostałem oficjalnie namaszczony jako antysemita, pozwalam sobie na usprawiedliwiony poniższy tekst w tej sprawie.

Po pierwsze, Żydzi swoim zachowaniem i arogancją sami prowokują i generują antysemityzm, nawet wśród ludzi im obojętnych i innych narodów. Powstaje więc pytanie, czy bycie antysemitą jest jeszcze obraźliwe, bo robi się nas coraz więcej. Jest też ważniejsze pytanie: Czy rząd polski nie powinien rozważyć ewentualnej opcji zerwania stosunków dyplomatycznych z Izraelem, co byłoby odważnym i skutecznym rozwiązaniem, lepszym niż sto protestów?



To byłby wyraźny sygnał, że nie wolno manipulować dowolnie historią suwerennego państwa. Ciekawe też jest, że nie ma tak masowych ataków izraelskich mediów wobec Francji, której obywatele bezinteresownie często donosili na swoich żydowskich sąsiadów, a kolaboracja z Niemcami w krajach zachodniej Europy była niewspółmiernie większa niż w Polsce. Dzisiaj mało kto na świecie – ba, w Europie – wie, że tylko w Polsce za ukrywanie Żyda groziła kara śmierci ukrywającemu i jego rodzinie. Ktoś wie o tym w Kopenhadze czy Brukseli?

Tłumaczenie w polskich mediach nieodpowiedzialnych wypowiedzi izraelskich polityków tym, że w Izraelu niebawem będą wybory, jest kuriozalne,

bo niczego to nie zmienia i nie wyjaśnia w naszych relacjach. [...] Polacy ratowali Żydów w XVI w. przepędzanych z zachodniej Europy, ratowaliśmy ich po raz drugi przed Niemcami i ich chorą ideologią. Czy po raz trzeci warto byłoby bronić naród, który okazuje tyle niewdzięczności? [...]

Z poważaniem
Juliusz Rzepczyński

„Dlaczego Żydzi nas nienawidzą” – Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz” 9/2019

Tak jak podobał mi się chłodny i rzeczowy ton wywodu „Dlaczego Żydzi nas nienawidzą” Rafała A. Ziemkiewicza, przeraża mnie w nim jedno – bijąca w podsumowaniu bierność wobec zagadnienia i rosnących w związku z nim zagrożeń. O ile fakt niejakiego wyciszenia kwestii amerykańskiej ustawy 447 w krajowych mediach paradoksalnie potrafię (przy bardzo dużej ilości dobrej woli, naiwności i życzeniowego myślenia) zrozumieć jako próbę zapobieżenia spontanicznym protestom, niechybnie (a i przy drobnej pomocy prowokatorów) mogącym być obłudnie przedstawianymi na świecie jako „kolejny wybuch polskiego antysemityzmu”, o tyle tzw. cała reszta zakrawa moim zdaniem na kpinę. Z pieniędzy polskich podatników nie od wczoraj sponsorujemy przecież oczerniające nas muzeum POLIN czy Barbarę Engelking z wianuszkami współpracowników, a o wznowieniu ekshumacji w Jedwabnem nikt się nawet nie zajął...

Czy ktoś, w naszym rzekomo patriotycznym rządzie, w ogóle ogarnia sytuację? Co robili suto opłacani z naszych podatków politycy, kiedy ustawa 447 była procedowana w USA? [...]

W tej sytuacji przypominam mi się tyłko przypisywany Noamowi Chomsky'emu punkt 4 z „10. sposobów na manipulację społeczeństwem”: „Odwróć zmiany [...] – społeczeństwo, masy, mają zawsze naiwną tendencję do zakładania, że »wszystko będzie dobrze« i że być może uda się uniknąć poświęcenia. Taka strategia daje społeczeństwu więcej czasu na oswajanie się ze świadomością zmiany, a także na akceptację tej zmiany w atmosferze rezygnacji, kiedy przyjdzie czas”.

Czy o to tu naprawdę chodzi?

Pozdrawiam
Adam Rucki

TYGODNIK LITERACJA
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**
Z ZESPÓŁEM: Sekretariat redakcji: **Jack Pzybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan**, **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:

Cezary Gmyz, Piotr Gociak, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:

Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cendekiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Cioś (Bruksela), Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jack Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczyk (Rzym), Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Małkowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkos, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sekowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Toraniński, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak**, **Anna M. Piotrowska**, **Małgorzata Puzyr**, **Damian Cygan**, **Jan Fiedorczuk**, **Przemysław Harczuk** (także SuperExpress)

Współpraca: **Marek Budzisz**

Studio graficzne: **Wojciech Niedziółko** (szef studia), **Leszek Miłoszewski**, **Jack Nadratowski**, **Anna Sobieska-Wojtowicz**, **Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska**, **Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś**, **Anna Zalewska**, **Marzena Dobosz**, **Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze**, **Cezary Krzysztopa**
Okładka: **Mariola Matuszczyk**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG
Polskie Media SA

spółka notowana na
GPW

PORTAL DORZECZY.PL

Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, **Paweł Lisicki**

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl; tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 78 tys. egzemplarzy

DRIUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Niepokalany Okrągły Stół?

Wlutym do Pałacu Prezydenckiego zaproszono licealistów z paru wybranych szkół do tzw. debaty oksfordzkiej na temat Okrągłego Stołu. Doradca prezydenta Andrzej Zybertowicz jako jeden z jurorów debaty w pewnym momencie swojej wypowiedzi zacytował słowa Andrzeja Gwiazdy. Zybertowicz mówił: „Wtedy nie uświadamialiśmy sobie, w jakiej rzeczywistej kondycji jest władza. Tak jak do dziś wielu obserwatorów nie uświadamia sobie, jak głęboka prawda była w komentarzu Andrzeja Gwiazdy, który powiedział, że podczas obrad Okrągłego Stołu komuniści podzielili się władzą z własnymi agentami”.

Gdy te będące cytatem słowa, wyrwane z długiej, parogodzinnej debaty, odnotowały media, grupa 38 opozycjonistów – uczestników okrągłostołowych obrad – zadeklarowała, że poczuła się urażona wypowiedzią. Lista „oburzonych” jest długa – to m.in. Ryszard Bugaj, Władysław Frasyński, Andrzej Celiński, Aleksander Hall, Adam Strzembosz, Henryk Wujec i Andrzej Zoll. Wszyscy

oni wystosowali wezwanie przedsądowe do Andrzeja Zybertowicza. Dają mu siedem dni na publikację przeprosin – w prasie i mediach społecznościowych. Ma także wpłacić 50 tys. zł na konto WOŚP. Jeśli tego nie zrobi, opozycjoniści zapowiadają skierowanie sprawy do sądu.

Ta próba ukarania naukowca za samo przytoczenie opinii Gwiazdy wygląda na budowanie „niepokalanego” kultu obrad z 1989 r. Nie jest prawdą, że Gwiazda sugerował, iż wszyscy uczestnicy rozmów byli byłymi agentami. Ale było ich wystarczająco dużo, by mówić o pewnym zjawisku, bez przesądzania, w jakim stopniu wpłynęło to na efekt obrad. Po stronie solidarnościowej epizod odnotowania ich w archiwach SB jako tajnych współpracowników mieli w życiorysie: Lech Wałęsa, Michał Boni, Grażyna Staniszweska czy Władysław Findeisen.

Zybertowicz trafnie wskazuje, że jego słowa padły podczas podsumowywania debaty oksfordzkiej młodzieży. Że miał do dyspozycji dwie i pół minuty, a jego wypowiedź

była potem deformowana i jednostronnie interpretowana. Ma prawo odsyłać obrażonych do swego szczegółowego objaśnienia, w którym napisał, o co mu chodziło, że nigdy nie twierdził, że wszyscy uczestnicy obrad Okrągłego Stołu byli agentami. Bez efektu. Trzydziestu ośmiu byłych opozycjonistów chce bezwarunkowych przeprosin.

Czy władze PRL uczestniczące w okrągłostołowych negocjacjach mogły nie wiedzieć o agenturalnej przeszłości ludzi przy Okrągłym Stole? Generał Kiszczak był profesjonalistą i z pewnością uważnie przeglądał teczek tych, z którymi siadał do negocjacji. Jak użył tej wiedzy, nigdy się nie dowiemy. Ale użyć mógł.

Sprawa pokazuje, jak skomplikowanemu wydarzeniu historycznemu chce się nadać charakter wydarzenia, o którym nie wolno dyskutować. Akceptując to, choćby milcząco, sami spychamy się ku milczeniu na temat historii najnowszej. Pod żadnym pozorem nie wolno się na to godzić. ©©

POLACY NAJLEPSI W EUROPIE

Polska sztafeta kobieca 4x400 m, w składzie Justyna Święty-Ersetic, Iga Baumgart-Witan, Małgorzata Hołub-Kowalik, Anna Kiełbasińska, wywalczyła złoto podczas halowych mistrzostw Europy w lekkoatletyce w Glasgow. Największe miasto Szkocji okazało się szczęśliwe dla wielu polskich lekkoatletów. Białe-Czerwoni zdobyli w sumie pięć złotych krążków oraz dwa srebrne i zajęli pierwsze miejsce w klasyfikacji. Drugi Brytyjczycy wywalczyli 12 krążków, ale tylko cztery złote. (jap) ©©



FOT. ALEKSANDRA SZMIGLE / REPORTER

Porwanie dziecka i matki w Białymstoku

Porwane w czwartek 3-letnia Amelia oraz jej 25-letnia matka zostały w piątek odnalezione. Policjanci zatrzymali również dwóch sprawców uprowadzenia – poinformował wiceminister spraw wewnętrznych i administracji Jarosław Zieliński.

W czwartek około godz. 10 przed jednym z bloków na osiedlu Dziesięciny z samochodu wyskoczyło dwóch zamaskowanych mężczyzn i zaciągnęło matkę z córką do ciemnozielonego citroëna, po czym błyskawicznie odjechało. Jak ustalili policjanci, auto, które posłużyło porywaczom, zostało wynajęte w Łomży na nazwisko ojca dziecka.

Policja ustawiła blokady w wielu miejscach kraju. Aby zwiększyć szanse na szybkie odnalezienie kobiety i jej córki, ogłoszono również

tzew. child alert. Jest to system błyskawicznego rozpowszechniania informacji o zaginionym dziecku za pośrednictwem mediów.

Po raz pierwszy tego typu alarm zastosowano w 1996 r. w Stanach Zjednoczonych, gdy zwyrodnialec uprowadził 9-letnią Amber Hagerman. Obecnie „child alert” – nazywany również „Amber alert” – działa w kilkunastu krajach europejskich oraz na terenie USA, Meksyku i Kanady.

Taki alarm ogłaszany jest rzadko, tylko w najpoważniejszych przypadkach. Dzięki niemu w 2015 r. 52 proc. porwanych udało się odnaleźć już pierwszego dnia poszukiwań, 91 proc. w ciągu tygodnia, a 100 proc. w ciągu miesiąca od ogłoszenia alarmu.

© © (jap)



FOT. GETTY IMAGES

THERESA MAY: WIELKA BRYTANIA MOŻE NIGDY NIE OPUŚCIĆ UE

– Wielka Brytania może nigdy nie opuścić Unii Europejskiej, jeśli brytyjski parlament odrzuci porozumienie w sprawie brexitu, wynegocjowane z Brukselą – ostrzegła premier Wielkiej Brytanii podczas piątkowego przemówienia w Grimsby. – Poprzyć je i Zjednoczone Królestwo opuści UE; odrzucić je i nikt nie wie, co się stanie – zaapelowała do deputowanych Theresa May.

W połowie stycznia brytyjscy parlamentarzyści ogromną przewagą głosów odrzucili umowę brexitową. Kolejne głosowania w tej sprawie zaplanowano na 12 marca. (jap) © ©

ŁAGODNY WYROK DLA WSPÓŁPRACOWNIKA DONALDA TRUMPA

Za oszustwa podatkowe i bankowe sąd w Wirginii skazał Paula Manaforta na zaledwie 47 miesięcy więzienia. Były szef prezydenckiej kampanii Donalda Trumpa ma również zapłacić 24 mln dol. grzywny oraz 50 tys. dol. kaucji.

Wyrok sądu jest o wiele łagodniejszy, niż spodziewali się komentatorzy – prokurator żądał na początku kary aż 24 lat więzienia. Manafort był bowiem konsultantem politycznym, który pracował m.in. dla byłego prezydenta Ukrainy Wiktora Janukowycza. Miliony dolarów, które w ten sposób zarobił, ukrył na zagranicznych kontach. To nie koniec dobrych wieści dla byłego współpracownika Trumpa, który może wyjść z więzienia dużo wcześniej niż za cztery lata. Obecny gospodarz Białego Domu dysponuje prawem łaski i nie wykluczył skorzystania z niego w sprawie Manaforta. (jap) © ©



FOT. ARTUR RESZKO/RP



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O rodzinie

Jeszcze nie tak dawno temu, gdy władze państwowe lub miejskie udzielały patronatu parodom gay pride, wybuchał skandal. Teraz wybucha skandal, gdy władze udzielały patronatu imprezom poświęconym rodzinom heteroseksualnym.

Lorenzo Fontana, włoski minister ds. rodziny i niepełnosprawnych, udzielił publicznie moralnego wsparcia planowanej na 29–31 marca w Weronie dorocznej konferencji Światowego Kongresu Rodzin. Kongres to koalicja organizacji, w tym

w których wyemancypowane kobiety i homoseksualistów palono na stosach. Jak się wydaje, ktoś bardzo do tych czasów tęskni. Ja nie. Kto nie chce, by kobiety pracowały, ten chce nas cofnąć do średniowiecza”. Trudno zgadnąć, co to ma wspólnego z imprezą w Weronie. Kilka lat temu kolega partyjny Buffagniego przekonywał, że od dłuższego czasu Amerykanom tuż po porodzie wszczepiane są specjalne chipy, które umożliwiają władzom kontrolę nad pracą mózgu. Skąd o tym wiedział? „Widziałem to na jednym filmie” – powiedział. Od tej pory nikt w Italii już się nie dziwi niczemu, co wypada z ust pięciogwiazdkowców.

Zawrzało w środowisku gejowskim. Portal Gay.it napisał: „Nieprzyzwolita impreza. Kongres przewiduje wystąpienia duchownych, konserwatywnych polityków, a też przedstawiciele organizacji, które wspierają rodziny tworzone przez osoby różnych płci, czyli kobietę i mężczyznę. Ze zdradami i podporządkowaniem słabszej płci”.

To bardzo odważny coming out. Po pierwsze, jest cenną wykładnią gejojskiej koncepcji demokracji: z dyskusji o kwestiach rodzinnych należy wykluczyć duchownych, konserwatystów i wszystkich, którzy wspierają rodziny heteroseksualne. Po drugie, to apoteoza związków gejojskich, którym – zdaniem Gay.it. – w odróżnieniu od rodzin tradycyjnych zdrady i podporządkowanie są obce. Innymi słowy: „Zamknąć ryj i być pokłony!”. ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

Nikt w Italii już się nie dziwi niczemu, co wypada z ust pięciogwiazdkowców

religijnych, które promują tradycją, heteroseksualną rodzinę i sprzeciwiają się aborcji.

Bardzo oburzyło to deputowanych Ruchu Pięciu Gwiazd. Stefano Buffagni stwierdził: „Były czasy,



Stefano Buffagni, członek Izby Deputowanych Włoch z ramienia Ruchu Pięciu Gwiazd
FOT. LOMBARDIASSELLE.IT



MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Polska po PiS-ie

Jaka będzie Polska, gdy już spadną z niej okowy PiS-owskiego reżimu – zastanawiają się opozycyjni liderzy. Wybierzmy się z nimi w tę podróż. Na początek zgromadzenia publiczne. „Sąd uniewinnił 40 osób, które w 2017 r. blokowały marsz narodowców w Warszawie. Ważne, że sędzia przytoczył orzeczenie Trybunału w Strasburgu i podkreślił, że organizacje niszczące demokratyczny ład nie mogą liczyć na ochronę wolności swoich zgromadzeń” – tweetnęła Kamila Gasiuk-Pihowicz. Gdy zapytałem panią poseł, jak to możliwe, że w Niemczech policja zamiast rozpędzać ochrania legalne marsze neonazistów, zapadła niezręczna cisza.

Teraz polityka historyczna. „Wyklęci to nie żołnierze, a bandy wyrzutków społecznych, nierobów i frustratów czekających na III WŚ. Zamordowali 5 tys. cywilów, w tym 187 dzieci, grabili, gwałcili, torturowali, zastraszali Polaków odbudowujących kraj. Ich święto to jawna kpina z obywateli RP. Będzie zniesione” – zapowiedziała przytomnie Joanna Senyszyn.

W kwestii swobodnego działania partii politycznych oddajmy głos Krzysztofowi Królowi: „Kaja Godek, Mikke, Liroy, Winnicki, Braun – ruch neofaszystowski chce startować do Parlamentu Europejskiego. Pewnie z hasłem »Gott mit uns« – skomentował. Co dalej z faszystami, wytłumaczyła wcześniej Gasiuk-Pihowicz.

Na koniec media. „Gdy skończyłem opowieść o tym, jak Jacek Kurski chodził po Sejmie i ryczał z powodu przegranej debaty, L. Czarnecki ruszył żwawym krokiem do samochodu. Ekipa TVP wściekła, że ich zignorowaliśmy, próbowała zablokować mu drogę, odpychając go. Kolejny skandal pseudodziennikarzy” – zrelacjonował staranowanie reportera i ucieczkę Leszka Czarneckiego Roman Giertych. Po PiS-ie podobne skandale się już nie powtórzą.

Zamiast tego ujrzymy reportaże takie jak ten, o którym z dumą zatweetował TVN24: „Poseł Platformy Obywatelskiej Borys Budka przerwał wypowiedź o Trybunale Konstytucyjnym, by odpowiedzieć przechodzącej obok kobiecie »dzień dobry« i uściśnąć jej dłoń”. A ponoć w dzisiejszym świecie nie ma już prawdziwych autorytetów. ©



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

AwotJWDŻPPiDNS

Polacy w USA notorycznie łamią amerykańskie prawo, pracując na czarno”, „Polacy polubili piwa smakowe”, „Polacy są coraz bardziej niezadowoleni z zakazu handlu w niedzielę”. Proszę mi powiedzieć, w którym z tych zdań, zaczerpniętych na chybił trafił z mediów, zostało stwierdzone, że „wszyscy Polacy” pracują w USA na czarno, lubią

wag laboratoryjnych, pipet i pęset. Szczególnie gdy się krytykuje jakieś zachowania czy poglądy, bynajmniej wśród Żydów nieodrodnym wymaganym jest, by autor zaznaczył, że nie wini za opisywane podłości wszystkich Żydów jako narodu i że stanowczo odcina się od antysemityzmu. Przypomina mi to nieodparcie czasy PRL, gdy jakakolwiek krytyka konkretnych „bolączek” socjalizmu musiała być podobnie obudowana wielokrotnymi zapewnieniami autora, że oczywiście popiera jedynie słuszne idee Marksa i Lenina, a jego zastrzeżenia budzi tylko konkretna, drobna niedogodność, wynikająca z „wypaczenia” jakże słusznej idei.

Te uwagi zainspirowane zostały, oczywiście, polemiką Piotra Semki z moim tekstem „Dlaczego Żydzi nas nienawidzą”, a raczej jego tytułem. W podobnym duchu jak Piotr; tylko ostrzej, zareagował też na ten tytuł Jonny Daniels, prze-

wrotnie budując symetrię między moim artykułem a rasistowską wypowiedzią ministra Izraela Kaca i w ten sposób relatywizując czy zgola wręcz usprawiedliwiając ów wykwit izraelskiego szowinizmu.

Antoni Słonimski napisał w jednej z niezapomnianych „Kronik Tygodniowych”, że ilekroć coś skrytykuje, tylekroć słyszy pretensje, że widzi tylko potknięcia, a nie pisze o wielkich sukcesach, takich jak np. rozbudowa Gdyni. Zadeklarował więc, że każdy tekst będzie zaczynał deklaracją: „Mimo że Gdynia się rozbudowuje”, w skrócie MZGsR. Rozumiem, że Piotr, pan Daniels i inni wrażliwcy domagają się, bym analogicznie każdą wypowiedź na tematy polsko-żydowskie zaczynał od AwotJWDŻPPiDNS – „Ale w ogóle to jest wielu dobrych Żydów przyjaznych Polsce i doceniających nasze starania”.

No cóż. Ja nie widzę takiej potrzeby. ©©

„Mimo że Gdynia się rozbudowuje”, w skrócie MZGsR

piwo o smaku niepiwa i wkurzeni są uszczęśliwieniem ich na siłę „wolnymi od handlu” niedzielami?

Rzecz wydaje się oczywista. Jednak jeśli zamiast „Polacy” napisze się „Żydzi” – o, to już zupełnie co innego. Opinie o Żydach muszą być wyważane za pomocą najczulszych



WOJCIECH
WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Bolszewizm w sądzie

Niedawno „Gazeta Wyborcza” z zachwytem grzmiała: „Ci sędziowie przejdą do historii”, bo garstka sędziów uniewinniając bojówkarzy Obywateli, którzy zakłucali legalne miesięcznice smoleńskie uznała, że furda wolność zgromadzenia.

Aż trudno uwierzyć, ale gazeta z Czerskiej nie minęła się z prawdą. Mniemam, że w Rzeczypospolitej, którą zbudują dzieci naszych dzieci, tacy sędziowie będą uważani za ikony patologicznego upolitycznienia polskich sądów.

Jeszcze dalej w swym antykonstytucyjnym szaleństwie poszedł

sędzia Łukasz Biliński, który uznał, że co prawda blokowanie legalnych demonstracji jest sprzeczne z prawem, ale jeśli lewicowi aktywiści blokują „organizacje o takim dorobku i historii jak Młodzież Wszechpolska czy ONR to nie jest to czyn szkodliwy społecznie”. Umknęło politykierowi w todze, że owa historia polskiego ruchu narodowego jest pisana krwią przelewana w walce o wolną Polskę i cierpieniami w kazamatach gestapo i UB.

Komentując decyzję Bilińskiego – daleki od endeckich sympatii – prof. Stanisław Żerko pisał: „Ten człowiek jako sędzia jest naprawdę niebezpieczny”. Nic dodać,

nic ująć. Majestatem sędziego RP zalegalizował przemoc jednej – bliższej sobie – grupy politycznej przeciwko drugiej, z której poglądami on sam się nie zgadza. Nie pierwszy raz zapominając zostawić swoje sympatie polityczne przed salą rozpraw, sięgnął po praktykę z czasów sowieckich dzielenia na słusznych politycznie i pozbawionych praw współczesnych liszeńców.

Przedstawiciel warszawskiej Temidy powinien poduczyć się teorii zasad państwa i prawa oraz znaczenia wolności zgromadzeń dla funkcjonowania demokratycznego systemu. Najlepiej – z dala od sal sądowych. ©©

KTO PĘKA Z DUMY

Aktorka Ewa Kasprzyk pochwaliła się, że to ona przyczyniła się do rozwoju kariery Sławomira Zapalę, showmana i wokalisty disco polo (to ten od „Miłość, miłość w Zakopanem”). Kasprzyk przypomina, że wszystko zaczęło się od teledysku do piosenki „Megiera”, w którym zagrała na prośbę jego żony Magdy, która była wówczas jej asystentką! „Zaistniał dzięki mnie. Magda była wtedy moją asystentką. Przy okazji jednego ze spotkań przyniosła pyszne ciasto i powiedziała, że powstał ciekawy scenariusz teledysku, ale nie mają pieniędzy. Przeczytałam go i powiedziałam, że jeśli mam pracować za darmo, to chcę zagrać wszystkie trzy role. Przekonałam wszystkich, że to jedna kobieta w trzech różnych odślonach. Zgodzili się i powstał najlepszy klip, dzisiaj to wiem” – opowiada Kasprzyk w tygodniku „Na Żywo”. „Rzeczywiście, to ja wylansowałam Sławomira” – mówi. Wszystko super, tylko nie jesteśmy pewni, czy to aby na pewno powód do chwały.

TOLERANCJA NIE DLA KAŻDEGO



Zofia Klepacka, medalistka olimpijska w windsurfingu, mocno podpadła środowiskom LGBT. Czym? Wyraziła publicznie swoje zdanie na temat podpisanej przez prezydenta stolicy Rafała Trzaskowskiego karty LGBT. „Mówię

kategoryczne NIE dla promocji środowisk LGBT i będę bronić tradycyjnej Polski. Czy mój dziadek walczył o taką Warszawę w Powstaniu? Nie wydaje mi się. Panie Prezydencie, może się Pan lepiej weźmie za sport w Warszawie, który kuleje?” – napisała na Facebooku. I posypała się na nią fala hejtu, o której w następnym wpisie poinformowała. „Słuchajcie!! To wielkie tolerancyjne towarzystwo... Tak liczy się z odmiennymi głosami, że zamiast merytorycznej dyskusji i argumentów postanowili wysyłać donosy na mnie z żądaniem wyrzucenia mnie z klubu i odebrania medali... Za to, że mam inne poglądy na życie i na wychowywanie swoich dzieci??? To jest tolerancja w wydaniu tych... walczących o tolerancję” – stwierdziła. Też mi! Kto to widział, by wymagać od środowisk walczących o tolerancję na świecie,

aby same były tolerancyjne względem innych? Przecież to niedorzeczne, prawda?

TYLKO ŻYŁY ŻAŁ

Nie milkną echa pierwszego występu Justyny Żyły w „Tańcu z gwiazdami”. I nie, nie chodzi o to, że Justyna, która występuje w roli gwiazdy, przedstawiała się tam mniej więcej tak: „Możecie mnie kojarzyć jako byłą żonę jednego ze skoczków narciarskich”. Chodzi o jej taniec, za który Żyła została dokumentnie zjechana zwłaszcza przez jedną z jurerek-ekspertek Iwonę Pavlović. „Parę występów temu mówiłam o wysokim poziomie tej edycji, ale po tym występie je cofam. [...] Powiem ci, że moje ciało krzyczy: nie. Jestem zaskoczona, bo ty tańczyłaś jak przedszkolak. Nawet powiem więcej: słowo »tańczyłaś« to jest za mocno powiedziane, za dużo. Wybaczcie, nauczyciele

tańca, tancerze, to był występ i myślę, że znasz tą nomenklaturę swoją (była), to był taki mizerny skok bez zaznaczonego telemarku” – oceniła Pavlović. „Masakra!” – dodała na koniec. Justyna stała i się uśmiechała, a jej taneczny partner usiłował bronić występu, mówiąc, że nie było aż tak źle. Po fakcie przyznała, że była podczas tańca bardzo zestresowana. I że przykro jej było z powodu ostrych słów jury. „Przykro mi się zrobiło z tego powodu, że na widowni siedzieli dzieciaki. Nie do końca musieli wszystkie kwestie poruszać, ale co zrobić” – powiedziała jednej z kolorówek. Efekt tego wszystkiego będzie taki, że telewizjom będzie zwyczajnie tej biednej Żyły żal. I będę na nią głosować. Tak jak w poprzedniej edycji na Tadle, porzuconą przez Kreta. Tada wygrała. Taki szlachetny z nas naród!

JAK TO BEZ FLESZY?

A skoro jesteśmy przy Tadi Beacie, to o Krecie dawno już zapomnieliśmy i cieszy się nową miłością. Pokazała nawet wspólne zdjęcia na Instagramie czy innym Facebooku i... Koniec! Żadnych wspólnych wywiadów, okładek w magazynach, żadnych sesji zdjęciowych ani nawet pozowania na ściankach. Nic. W „Fakcie” czytamy, że to świadoma decyzja celebrytki. „U boku Rafała jest naprawdę szczęśliwa i nie chce tego psuć. Po przykrych doświadczeniach z zeszłego roku uwierzyła, że wspólna sesja może być naprawdę zabójcza dla miłości” – mówi jej znajomy. „Przewartościowała swoje życie. Żałuje, że tak chętnie opowiadała o uczuciu do Jarka Kreta i potem musiała się wstydzić” – dodaje. Oby wytrwała w swoim postanowieniu nie tylko dla dobra swojej miłości, lecz także czytelników. Pozostajemy jednak sceptyczni. Celebryckiej natury tak łatwo nie oszukasz! ☹



FOT. KRZYSZTOF KUCZYŃSKI/FOTUM

FOT. PAMEŁ GROMADA

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, nie było nas parę dni w Internecie, a tu się głośno zrobiło z okazji tzw. piątek Kaczafiego. W sumie nas to nie dziwi. Przeciesh nasze autorytety (i nie tylko one) nie raz i nie dwa, i nie dużo razy powtarzały, że PiS rządzi według bolszewickich standardów. No to teraz mamy.

kibol, matka pobierająca „500+” i emeryt.

Teraz więc o 6 rano możemy spodziewać się nie tylko CBA, ABW czy policji, ale też „piątki Kaczafiego”, która sprawdzi, czy znamy się na sporcie, chodzimy na nieszpory, zjadamy mięsko z obiadu do końca i czy planujemy prokreację: (To już chyba to CBA wygląda bardziej lajtowo.

sztafetę wyłącznie kryteriom biologicznym? Niby złoty medal jest, ale czy o to chodzi w sporcie? No jak dla nas to niesmak pozostał.

To straszne, że w czasie równości płci, kiedy nikt nie odważa się na zachodzie Europy jednoznacznie stwierdzać, czy ma do czynienia z osobą gender fluid, czy bigender, ten kraj jak gdyby nigdy nic świętuje sobie Dzień Kobiet.

To zresztą zachowanie typowe dla patriarchy. Waginoosoba raz w roku jest zwalniana z domowych obowiązków, może jeden raz mniej oberwie kablem od żelazka od wiecznie pijanego osobomeża, dostanie za to przywiedłego tulipana z Biedry i ma się cieszyć. A potem taki janusz zadowolony, że docenia kobiety, bo „8 marca, patrz Grażyna, mam dla ciebie kwiatka”.

Nasze frendziary z kolektywu są więc zdania, iż Dzień Kobiet jest uwłaczający, a w dodatku one nie chcą być faworyzowane, skoro w tym kraju pozostałe 16 629 płci nie ma swojego święta!!! ☹☹

f FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

Jakiś problem z transfobiz?



Podobno „piątka Kaczafiego” będzie polegała na tym, iż po całym tym kraju będzie jeździł patrol policji patriotyczno-obyczajowej, w skład którego wejdą: ksiądz, działacz PiS,

Straszna siara przed Europą. Niedawno odbyły się halowe mistrzostwa Europy właśnie w lekkoatletyce, i to w Glasgow, w samym sercu Starego Kontynentu. I w tych właśnie mistrzostwach sztafeta polskich waginoosób zwyciężyła w biegu 4x400 m, wystawiając do składu same biologiczne kobiety.

Przed wszystkim za słaby pomysł uznajemy, iż cała Europa ma się patrzeć, jak waginoosoby biegają w kółko, jedna za drugą, przekazując sobie pałeczkę: zbyt mocno nam się to kojarzy z kultami fallicznymi i patriachatem. Można przecież przekazywać sobie np. postulaty albo informacje, prawda?

No, ale my nie o tym. Czy naprawdę musimy eksponować na Europę, jakim zaścianiem jesteśmy? Czy musimy podporządkowywać naszą

Nagroda Identitas dla Wiesława Helaka

PATRONAT DO RZECZY

Nagrodę główną, statuetkę Identitas i 40 tys. zł otrzymał Wiesław Helak za powieść „Nad Zbruczem”, wydawnictwa Arcana. Nagroda specjalna, statuetka Identitas i 10 tys. zł trafiły w ręce Dawida Junga za tomik poetycki „Głosy”, wydany przez Gnieźnieńską Konfraternię Teatralną.

Do nagrody Identitas przyznawanej w tej edycji nominowano jeszcze troje autorów: Marka Cichockiego, za „Północ i Południe. Teksty o polskiej kulturze i historii”, Ewę Polak-Pańkiewicz za „Czego chcą od nas biedni Niemcy” i Mo-



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

nikę Śliwińską za „Wyspiański. Dopóki starczy życia”.

Tegoroczne zgłoszenia do nagrody oceniło jury w następującym składzie: Renata Chołuj (przewodnicząca), Maciej Urbanowski, Krzysztof Masłoń i Paweł Lisicki. Nagroda Identitas przyznawana jest corocznie najlepszej polskiej książce poprzedniego roku, począwszy od 2014 r. Założycielem Fundacji Identitas jest Tomasz Kaźmierowski.

Patronami medialnymi nagrody są tygodnik „Do Rzeczy” oraz Polskie Radio.

© © (jap)

Na początek o tym, co najważniejsze. Jeśli chodzi o Front Trump, to najnowsze doniesienia z negocjacji z Amerykanami są takie, że żadnego fortu nie będzie. Ze względu na to, że naszą rubrykę czytają dzieci, i to przed 22:00, nie możemy napisać, jak na obecnym etapie nazywają negocjatorów ów projekt. Ale po angielsku rymuje się z Trump.

Skoro o militariach: jeśli zadziwiło was foto z najnowszą militarną stylówką marszałka Terleckiego (hełm, kamizela kuloodporna, mina psa wojny i kiep w kąciu ust), to śpieszymy donieść, że nas nie. Wiemy z opowieści pochodzących z kręgów IPN, że marszałek/hipis/historyk potrafi także pójść w język koszarowy jak jakiś feldfobel.



Spór o to, jak zatytułować fotkę Terleckiego, trwał długo. Nasz wybór to „Na prawicowym posterunku”.

Ogłaszamy nowy program rządowy: Minister Plus. To w związku z rekonstrukcją rządu wywołaną programem Exodus Plus, znaczy wyjściem ministrów przez eurowyborcze ucho do Brukseli. Pomysł jest taki, by na czas do jesiennych wyborów parlamentarnych w osieroconych ministerstwach szefami zostali wiceministrowie spełniający jeden warunek: są nimi od początku rządów PiS. Taka nagroda za wysługę lat. Dzięki temu będą sobie mogli wpisać do CV „minister”, a kiedyś „były minister”.

Wtym pomyśle tkwi głębszy sens. Hardkorowi PiS-owcy uważają, że docenienie „starych” wiceministrów z czasów premier

Ogłaszamy nowy program rządowy: Minister Plus. To w związku z rekonstrukcją rządu wywołaną programem Exodus Plus, znaczy wyjściem ministrów przez eurowyborcze ucho do Brukseli

Bełaty zablokuje jednocześnie zbyt szybki awans „nowych” wiceministrów od premiera Mateusza. Równowaga w partii i okolicach musi bowiem być zachowana, a nic tak nie denerwuje hardkorowego PiS-owca jak wiceministrowie i ministrowie z rekomendacji Gowina czy Morawieckiego, nie mówiąc już o wiceministrach spoza polityki, czyli znikąd.

Jeśli chodzi o termin rekonstrukcji, czyli programu Minister Plus, to jeśli ktoś się mądrzy, że wie, kiedy to nastąpi, to jedynie się mądrzy. Premier Mateusz wciąż nie zdecydował, bo nadal trwają kalkulacje, czy lepiej to zrobić przed, czy po wyborach. Sytuacji nie ułatwia to, że nie wiadomo, ilu członków rządu będzie dokładnie trzeba wymienić, bo nie wiadomo, ilu zejdzie na serce w związku z rozmachem Piątki KD (Kaczora Dyktatora).

Wiewiórki mówią, że na przykład w resorcie edukacji ponoć największe szanse ma Maciej Kopceć, ale zobaczymy, jak będzie. Nowej Bełaty Kempy nie będzie, podobnie jak nowej Bełaty Szydło, bo ich stanowiska znikają.

Jednocześnie trwa upychanie członków rządu na listach wyborczych, często wbrew ich woli, bo ktoś ten wynik wyborczy musi wykreślić. Na przykład Elżbietę Witek zsyła się na listę dolnośląską. Na pociechę możemy podać, że zsyłka dotyczy też wiceministrów. Mirosława Stachowiak-Różecka jeszcze nie doszła do siebie po tym, jak nieszczególnie poszło jej tym razem w bojach o fotel prezydenta Wrocławia, a już znowu będzie musiała kandydować.

Jak wiadomo, eurodepy mają do swej dyspozycji rozmaite fundusze do promowania swych osiągnięć i informowania o nich ciemnego ludu. Dziwnym trafem wydają te pieniądze na koniec kadencji, tuż przed następnymi wyborami. Funny fact: Rychu Henry

Czarnecki kilka tygodni temu sprawił sobie w Poznaniu billboardy promujące jego europoselską mość. Biedaczek nie wiedział wtedy jeszcze, że będzie dwójką w Warszawie.

Marek Belka nie jest eurodepem, a już promuje się w Łodzi. I to od ładnych paru dni. Te spekulacje, „kto tam w Łodzi będzie lokomotywą listy KoŁe” (Koalicji Łeuropejskiej), już nas zatem trochę nudzą. Nie wierzyćcie,



FOT. ROBERT GARDŃSKI

dwaj panowie g

to pojedźcie do Łodzi. Każdemu się przyda raz na jakiś czas.

Świrlandia. Piękny termin, prawda? Nie, nie chodzi o pewną grupę kibiców z Podkarpacia. Tak wpływowi kukiści określają koalicję narodowo-libertariańską stworzoną przez Korwina Krula, Roberta Winnickiego i resztę. Czyli konfederację. Boli nas ten język nienawiści. Uważamy, że w zupełności wystarczyłoby odnotowanie, że była konfederacja barska, a teraz jest konfederacja siarska.

Konfederacja siarska ma też oficjalną nazwę: „Konfederacja KORWiN, Braun, Liroy, Narodowcy”. Próbowaliśmy zrobić z tego jakiś ładny skrót. Wyszło KoKoBraLiN. Nie brzmi dobrze. Zostaniemy zatem przy konfederacji siarskiej. A dokładnie „Konfederacja Siarska Bez Godek Bo Się Nie Zmieściła”. W skrócie KoSiBeG.

Tymczasem w Eine Totalopposition. Partia Wolność i Równość chce wzmocnić KoŁe (Koalicję Łeuro-pejską). Nie wiecie, co to za zwierzę? Partia WiR kiedyś nazywała się Unia Pracy. To największe wzmocnienie KoŁe od czasów wyrażenia zainteresowania akcesem przez Ryśka Petru Teraz. Przypominamy Grzegorzowi Schetynie, że do wzięcia zostały jeszcze Polska Partia Socjalistyczna i Polska Partia Komunistyczna. Jak komplecik, to komplecik.

Tradycyjnie pozdrawiamy kolegów dziennikarzy. Chodzi o przedterminowy bój o fotel prezydenta Gdańska. Nasz ulubiony tytuł miniego tygodnia: „Gigantyczna przewaga Aleksandry Dulkiewicz!” (koniecznie z wykrzyknikiem). To prawdziwa sztuka wygrać wybory, w których nie startuje kandydat żadnej konkurencyjnej partii. Jeszcze większa – tak się tym dokonaniem pięknie ekscytować.

Zdziejów rzezi na Śląsku. PiS-owskie władze województwa odwołały z funkcji dyrektora Muzeum Górnośląskiego Leszka Jodlińskiego. Jodliński za rządów PeŁo realizował tam wystawę historyczną o regionie, zaczynając się od wizyty Goethego i opisanie pracy maszyny parowej. Trochę nam żal Jodlińskiego, ale to tylko dlatego, że wysoko cenimy utwory Goethego.



Poza tym gadanie, że był jawną opcją proniemiecką, uważamy za potwarz. On tylko kandydował do Sejmu z listy niemiecko-ślązakowskiej wspieranej przez RAŚ.

sukcesem tego dziełka znaleźli się kolejni konfabulatorzy i obecnie kończą pisanie wywodu na temat innego polityka PiS. Ma być agenturalnie i insynacyjnie. A wyjdzie jak zawsze.

Świrlandia. Tak kukiści określają koalicję narodowo-libertariańską stworzoną przez Korwina Krula, Roberta Winnickiego i resztę

Opcja niemiecka ma jednak nowego opiekuna. Nazywa się Frühling. To po niemiecku Wiosna. Jej śląski lider Łukasz Kohut z entuzjazmem relacjonuje poglądy Robika Biedronia na temat regionu: „Widzi, że Ślązacy w państwie polskim są dyskryminowani”. Poprzednio ślązakowcom próbował patronować Ruch Palikota, a potem Nowoczesna Kropka. Wiemy, jak się to skończyło dla jednych i drugich. Jak widzicie, przed Wiosną obiecujące perspektywy.

Pamiętacie książkę Tomasza „Crazy Froga” Piątko o Krwawym Antonim? To zapomnijcie. Zachęcen

Tymczasem w pałacu Andrzeja Sebastiana. Ciekawe efekty przynosi poruszanie na tamtejszych salonach tematu prezesa TVP. Na twarzach pojawia się dziwna mieszanina groźnych uśmiechów i zaciętości. Taka sama, jaką widzieliśmy swego czasu, gdy w tymże pałacu pytano o działalność Krwawego Antoniego. Wiecie, jak się to skończyło dla Antoniego. Padają nawet konkretne zapowiedzi. „Rozwiążemy ten problem po wyborach”. Tak się bowiem składa, że pałac Andrzeja Sebastiana jest przekonany, iż do reelekcji PAD-a może dojść jedynie w przypadku daleko idącej odnowy i pieriestrojki na Woronicza.

Apropos TVP. Jest niepisany dil, na mocy którego kukiści mają być obszerniej eksponowani na wizji. Wszystko po to, by skoro już jakiś nie-PiS miał wziąć parę euromandatów, to żeby byli to kukiści, a nie konfederaci siarscy. Albo nie Frühling, bo ponoć partia Robika Biedronia też może skubnąć nieco kukistycznego antysystemowego elektoratu.

W latach 80. XIX w. niemiecki kanclerz Otto von Bismarck – chcąc uzyskać większe poparcie wśród niemieckich robotników – wprowadził gwarantowaną przez państwo emeryturę dla wszystkich ubezpieczonych pracowników, którzy ukończyli 65 lat. Obietnica nie kosztowała budżetu zbyt wiele, bo takiego wieku dożywali wówczas nieliczni. W pierwszej połowie XX w. państwowy system emerytalny wprowadzono niemal w całej Europie. Od XIX w. średnia długość życia Europejczyków znacząco jednak wzrosła. Jednocześnie zmniejszyła się liczba rodzin wielodzietnych, a co za tym idzie – młodych pracowników odprowadzających pieniądze do systemu.

Skąd bowiem biorą się środki na wypłaty dla seniorów? W systemie repartycyjnym – zwanym też systemem solidarności pokoleń – świadczenia dla emerytów wypłacane są ze składek, które co miesiąc odprowadzają obecnie pracujące osoby. Zgodnie z umową międzypokoleniową pracownicy mają nadzieję, że skoro oni teraz opłacają składki emerytów, to w przyszłości kolejne pokolenia będą robić to samo.

Jeśli jednak w tego typu systemie pojawi się nierównowaga między młodymi, pracującymi ludźmi a emerytami, to pojawia się ryzyko, że zabraknie pieniędzy na wypłaty dla seniorów. Niekorzystne tendencje demograficzne zwiększają wydatki budżetu państwa. W takiej sytuacji rządzący mogą podnosić składki emerytalne oraz/lub obniżać wysokość emerytur.

Innym rozwiązaniem jest reforma emerytalna polegająca na zmianie systemu z repartycyjnego na oparty na zasadzie kapitałowej. Wówczas po osiągnięciu określonego wieku zebrany na indywidualnym koncie kapitał wraz z odsetkami jest wypłacany w formie świadczenia emerytalnego. W Polsce reformę polegającą na odejściu od typowego systemu repartycyjnego w kierunku systemu repartycyjno-kapitałowego przeprowadzono w roku 1998 – wprowadzono wówczas II i III filar, które umożliwiają każdemu odkładanie pieniędzy na własną emeryturę.

WIĘCEJ EMERYTÓW

Z tym że trzeba oszczędzać na starość, nikt nie polemizuje. Według ubiegłorocznego raportu Komisji

Kapitał na jesień życia



Skąd wziąć pieniądze, kiedy nie będziemy już mogli dłużej pracować? Podstawową emeryturę wypłaca ZUS lub KRUS. Warto jednak zadbać o dodatkowy kapitał na jesień życia. Pomóc mogą w tym własne oszczędności lub elementy trzeciego filaru: PPE, IKE, IKZE oraz PPK



Europejskiej w wyniku postępującego starzenia się społeczeństwa już w 2050 r. liczba emerytów w naszym kraju niemalże zrówna się z liczbą płatników składek (12,6 mln do 12,7 mln). Później emerytów będzie zaś więcej niż osób aktywnych zawodowo. Zdaniem urzędników KE taka sytuacja sprawi, że tzw. stopa zastąpienia – stosunek pierwszej emerytury do ostatniej pensji – spadnie z 55 proc. w 2016 r. do ok. 26 proc. w roku 2060 i 25 proc. w roku 2070.

To zaś oznacza, że bez dodatkowych oszczędności wielu Polaków w wieku emerytalnym nie będzie mogło pozwolić sobie na zakończenie kariery zawodowej lub będzie uzależnionych od wsparcia rodziny czy wypłacanych przez państwo zasiłków socjalnych.

Dodatkowo oszczędzać powinny zwłaszcza te osoby, które przez ostatnie lata pracowały na tzw. umowach śmieciowych i nie odkładały składek do ZUS. Z ZUS mogą bowiem dostać jedynie groszową emeryturę. Dosłownie. W 2018 r. jeden z ogólnopolskich dzienników informował o mieszkańcu Biłgoraja, któremu przysługuje emerytura wynosząca 2 grosze miesięcznie, pewien zaś emeryt z Sosnowca może liczyć na 5 groszy, a inny – z Łodzi – na 6 groszy miesięcznie.

Eksperti radzą więc, aby systematyczne, długotrwałe oszczędzanie na emeryturę rozpoczynać na samym początku życia zawodowego. Wówczas wystarczy odkładać regularnie nawet niewielkie kwoty, aby po 30–40 latach zgromadzić na rachunku pokaźny kapitał. Odkładając co miesiąc 400 zł na rachunek z oprocentowaniem 2,5 proc. i miesięczną kapitalizacją, korzystając z mechanizmu procentu składanego, po 30 latach zgromadzimy niemal 200 tys. zł.

Polacy wciąż mają za mało oszczędności, a dobrowolne programy oszczędzania na emeryturę nie są w naszym kraju wystarczająco popularne: według danych Komisji Nadzoru Finansowego w połowie 2018 r. IKE posiadało ok. 960 tys. osób, a IKZE zaledwie ok. 700 tys. Polaków.

PRACOWNICZE OSZCZĘDZANIE

Formą dodatkowego zabezpieczenia emerytalnego w Polsce są też Pracownicze Programy Emerytalne. System

FOT. ADRIAN STOK



zorganizowanego, grupowego, systematycznego gromadzenia pieniędzy z myślą o emeryturze. PPE może mieć formę Pracowniczego Programu Emerytalnego w funduszu inwestycyjnym, Pracowniczego Programu Emerytalnego w towarzystwie ubezpieczeniowym, Pracowniczego Programu Emerytalnego w Pracowniczym Funduszu Emerytalnym.

W PPE występują dwa rodzaje składek: podstawowa (opłaca ją pracodawca i nie może być wyższa niż 7 proc. wynagrodzenia brutto pracownika) oraz dodatkowa (opłaca ją pracownik za pośrednictwem pracodawcy; wysokość kwoty odpowiadającej sumie składek dodatkowych wniesionych przez uczestnika do jednego PPE w 2019 r. wynosi 21 442,50 zł).

Pieniądze z PPE można wypłacić na wniosek pracownika, jeżeli pracownik ukończy 60. rok życia, na wniosek pracownika po ukończeniu 55. roku życia oraz uzyskaniu wcześniejszych uprawnień emerytalnych, automatycznie po ukończeniu przez uczestnika PPE 70. roku życia lub na wniosek osoby uprawnionej po śmierci pracownika. We wszystkich wyżej wymienionych sytuacjach nie zostanie pobrany podatek od zysków kapitałowych.

Rząd opracował również nowy program dobrowolnego, dodatkowego oszczędzania. Zadaniem Pracowniczych Planów Kapitałowych jest ułatwienie długoterminowego odkładania pieniędzy z myślą o jesieni życia. Już od 1 lipca 2019 r. firmy zatrudniające co najmniej 250 osób powinny uruchomić Pracownicze Plany Kapitałowe. Do 1 stycznia 2021 r. do Pracowniczych Planów Kapitałowych zostanie automatycznie zapisany każdy pracownik w wieku 19–55 lat, podlegający obowiązkowo ubezpieczeniom emerytalnemu i rentowemu (czyli nie tylko osoby zatrudnione na umowę o pracę, lecz także np. na umowę-zlecenie lub umowę agencyjną), chyba że na piśmie odmówi udziału w programie PPK.

Oszczędności na kontach PPK będą pochodzić z trzech źródeł: z wpłat pracowników (w wysokości od 2 do 4 proc. wynagrodzenia brutto), wpłat pracodawców (1,5–4 proc. wynagrodzenia brutto) oraz dopłat państwa (250 zł w ramach jednorazowej wpłaty początkowej oraz 240 zł rocznie).

Z obowiązku utworzenia PPK zwalniać będzie prowadzenie PPE, o ile odprowadzana składka będzie wynosić minimum 3,5 proc. wynagrodzenia pracownika. Spod obowiązywania ustawy

o Pracowniczych Planach Kapitałowych wyłączone są osoby prowadzące jednoosobową działalność gospodarczą. Rząd zachęca je więc do zakładania indywidualnych kont zabezpieczenia emerytalnego (IKZE).

Od 1 stycznia 2021 r. podwyższeniu ulegnie więc limit wpłat na IKZE dla osób prowadzących jednoosobową działalność. Samozatrudnieni będą mogli rocznie zaoszczędzić na takim koncie aż 1,8-krotność średniego wynagrodzenia (obecnie limit wynosi 1,2-krotność prognozowanego średniego wynagrodzenia w gospodarce narodowej).

To istotna zmiana, ponieważ osoby oszczędzające na IKZE sumę wpłat dokonanych na indywidualne konta mogą odpisać od podstawy opodatkowania. Oczywiście pieniądze na emeryturę za pomocą indywidualnych kont emerytalnych (IKE) lub indywidualnych kont zabezpieczenia emerytalnego (IKZE) mogą zbierać nie tylko przedsiębiorcy.

Zarówno IKE, jak i IKZE pozwalają uniknąć podatku od zysków kapitałowych, który wynosi 19 proc. W 2019 r. limit kwot wpłacanych na IKE wynosi 14 295 zł, a na konto IKZE – 5718 zł.

Podstawową różnicą między IKE a IKZE jest kwestia opodatkowania.

IKZE daje prawo do odliczenia wpłat od podstawy opodatkowania. W 2019 r. w przypadku pierwszego, 18-procentowego progu podatek dochodowy po wpłacie na IKZE 5718 zł można zmniejszyć o 1029 zł, a w przypadku osób lepiej zarabiających i oddających do urzędu skarbowego 32 proc. – aż o 1830 zł.

Kapitał zgromadzony na IKE oraz IKZE również należy do oszczędzającego i podobnie jak w PPK podlega dziedziczeniu. W przypadku IKE i IKZE oszczędzający sam wybiera wysokość wpłaty na IKZE (może być ona niższa niż maksymalny limit, nie trzeba też dokonywać wpłat co miesiąc, można np. raz na kwartał lub po prostu raz do roku), a także to, jak jego pieniądze będą inwestowane. Umowę o prowadzenie IKE lub IKZE można więc zawrzeć z bankiem (aby oszczędzać na depozytach bankowych), z domem maklerskim (aby inwestować w akcje), funduszem inwestycyjnym, zakładem ubezpieczeń lub dobrowolnym funduszem emerytalnym.

Jedna osoba może mieć tylko jedno konto danego typu, a więc jedno IKE i jedno IKZE. Można jednak zlecić transfer z jednego konta IKZE na inne (np. z rachunku bankowego do funduszu inwestycyjnego). Nie ma jednak możliwości wypłaty transferowej, np. z IKZE do IKE lub odwrotnie.

Żeby skorzystać ze wspomnianego zwolnienia z podatku od zysków kapitałowych, pieniądze z IKE można wypłacić dopiero po ukończeniu 60. roku życia (a w przypadku osób, które korzystają z wcześniejszych emerytur – po ukończeniu 55 lat). W przypadku IKZE wypłaty bez konieczności uiszczenia daniny można dokonać pod warunkiem osiągnięcia przez oszczędzającego 65. roku życia (wypłata środków z IKZE jest jednak opodatkowana według stawki wynoszącej 10 proc.).

Przed ukończeniem wymaganego wieku z IKE można wypłacić całość lub część środków. Z IKZE pieniądze można wypłacić jednorazowo lub w ratach. Polecenie wypłaty środków oznacza jednak automatyczną likwidację konta IKZE.

Wypłacone przed czasem pieniądze są opodatkowane według skali podatkowej. Nagłe zakończenie takiej inwestycji może być więc nieopłacalne,

zwłaszcza jeśli podatnik z odliczeń korzystał przy skali 18 proc., a przy jednorazowym zwrocie dużej kwoty będzie musiał już zapłacić podatek w wysokości 32 proc. Podatnik zapłaci również podatek od zysków kapitałowych.

PRODUKTY SPECJALNIE DLA SENIORÓW

Pieniądze z myślą o zabezpieczeniu finansowym na jesień życia można również odkładać, np. lokując środki na koncie oszczędnościowym, lokatach w bankach lub samodzielnie inwestując w akcje, obligacje czy fundusze inwestycyjne. Warto jednak pamiętać, że choć niektóre produkty kuszą dużymi zyskami, to wiążą się z dużym ryzykiem utraty nie tylko potencjalnych zysków, lecz także nawet zaoszczędzonego kapitału.

Niezwykle ostrożnie trzeba również podchodzić do instytucji kuszących emerytów szybkim rozwiązaniem problemów związanych z brakiem pieniędzy na godne życie czy na zakup leków. Seniorzy mogą więc wpaść w sidła oszustów oferujących szybkie pożyczki na absurdalnie wysoki procent.

Jednym z produktów przeznaczonych dla seniorów jest tzw. odwrócony kredyt hipoteczny. To niemal lustrzane odbicie tradycyjnego kredytu hipotecznego. Instytucja finansowa wypłaca pieniądze właścicielowi nieruchomości w zamian za prawo do przejęcia jego domu lub mieszkania 12 miesięcy po jego śmierci (spadkobiercy, mają prawo do zachowania pełnego prawa do nieruchomości pod warunkiem, że w ciągu roku od śmierci kredytobiorcy spłaca w całości jego zadłużenie).

Wypłata pieniędzy może nastąpić jednorazowo lub w ratach – w umowie musi wówczas znaleźć się liczba rat oraz ich wysokość. Trzeba jednak pamiętać, że wypłaty dodatkowych pieniędzy mogą zakończyć się jeszcze

za życia seniora, który co prawda ma nadal prawo mieszkać w domu lub mieszkaniu, ale zostaje wówczas jedynie z emeryturą i już bez możliwości sprzedaży nieruchomości.

Na podstawie Ustawy o odwróconym kredycie hipotecznym stroną umowy odwróconego kredytu hipotecznego może być tylko bank. Umowa zawarta z podmiotem niebędącym bankiem nie będzie umową odwróconego kredytu hipotecznego i osoba, która ją zawrze, nie będzie mogła korzystać z ochrony zawartej w przepisach ustawy. Banki w Polsce nie są chętne do udzielania odwróconego kredytu hipotecznego.

Bardziej ryzykownym rozwiązaniem dla emeryta jest oferta renty hipotecznej. Po podpisaniu takiej umowy firma lub fundusz bezpowrotnie przejmują prawo do nieruchomości, po czym zobowiązują się do wypłaty renty pieniężnej (mamy jednak prawo do rezygnacji z takiej umowy w ciągu 30 dni od jej podpisania bez podania przyczyny).

Tego typu rozwiązania mogą przysporzyć seniorom nowych, poważnych problemów. Warto bowiem pamiętać, że w przypadku renty dożywotniej ewentualne roszczenia są rozstrzygane w oparciu o zapisy Kodeksu cywilnego, a firmy podpisujące tego typu umowy działają bez ustawowej regulacji czy też nadzoru ze strony państwa.

Emeryt, który trafi na oszustów lub firmę, która np. zbankrutuje, może bowiem nie otrzymać obiecanych pieniędzy, a i tak stracić dach nad głową. Przy podpisywaniu tego typu umów trzeba więc nie tylko sprawdzić wiarygodność firmy, lecz także dopilnować, by w księdze wieczystej znalazły się stosowne wpisy, m.in. dotyczące dożywotniego prawa do zamieszkania w lokalu. Warto również porównać kwotę zaproponowaną przez firmę oferującą rentę dożywotnią z aktualną wartością zamieszkanego nieruchomości. Jest bowiem bardzo prawdopodobne, że dla emeryta dużo bardziej opłacalna będzie samodzielna sprzedaż domu lub mieszkania, kupno tańszego lokalu i wypłacanie sobie „dodatkowej emerytury” z własnych oszczędności ulokowanych na koncie oszczędnościowym.

2050 r.

WEDŁUG PROGNOZY KOMISJI EUROPEJSKIEJ
TO WŁAŚNIE WTEDY LICZBA EMERYTÓW
W POLSCE NIEMAL ZRÓWNA SIĘ Z LICZBĄ
PŁATNIKÓW SKŁADEK

MARCIN MAKOWSKI: Emocje po ataku na panią pod siedzibą TVP opadły. Jak pani sobie tłumaczy tę sytuację z perspektywy czasu?

MAGDALENA OGÓREK: Na pewno nie życzę żadnemu dziennikarzowi, obojętnie, w jakiej telewizji pracuje, aby przeżył to, co ja wtedy. Emocje nieco opadły, ale to nie znaczy, że nic się nie stało. Zaraz po wydarzeniu napisałam na Twitterze, że może nie powinnam mieć do nikogo pretensji, bo przecież wśród protestujących nie było szaleńca, a w Polsce nadal panuje wolność słowa, pod warunkiem że policja ochrania dziennikarzy wychodzących z pracy.

Nadal musi to robić?

Na razie sytuacja z blokowaniem wyjazdu się nie powtórzyła, ale wiele tych osób regularnie zbiera się pod budynkiem telewizji, obrzucając wyzwiskami moich kolegów i koleżanki. Nie przypominam sobie, aby takie standardy były stosowane wobec pracowników TVN czy „Gazety Wyborczej” na Wiertniczej i Czerskiej. To nie są dla nas sytuacje proste, bo przecież wykonujemy swoją pracę. Rozumiem, że ona może być różnie oceniana, ale nigdy nie zrozumieć, dlaczego stosuje się w tej kwestii dwie miary.

Dlatego nie powiedziała pani tego wprost, chwilę po ataku?

Wolałam milczeć, bo znając sposób działania mediów liberalnych i części polityków opozycji, już wtedy spodziewałam się, w jaki sposób rozwinie się narracja na temat ataku. Wiele znaczyło dla mnie, że internauci natychmiast ruszyli ze słowami troski, moje skrzynki e-mailowe pękały w szwach. Ważne były wszystkie słowa wsparcia, jestem za nie ogromnie wdzięczna prezesowi Jarosławowi Kaczyńskiemu i ministrowi Joachimowi Brudzińskiemu. Jednak cenę sobie również, że wielu polityków opozycji potępiło ten atak.

Jakieś nazwiska panią zaskoczyły?

Bardzo dziękuję Tomaszowi Siemoniakowi, Sławomirowi Neumannowi i innym politykom opozycji za wpisy na Twitterze, jednak nie chciałam mówić o tych głosach w kategorii zaskoczenia. Nadal mam nadzieję, że istnieje w nas jakiś elementarny pierwiastek człowieczeństwa, który solidarnie każe potępić wydarzenia, które nie powinny mieć miejsca. Wystarczyło kilka dni, żeby rozpoczęła się operacja odwracania kota

ogonem. Nagle rzecz zaczęła się rozmywać, dopisywano intencje i fakty, które nie miały miejsca, a całe wydarzenie nabrało ciężaru politycznego.

Nie kordło panią, żeby dorzucić do pieca?

Może to się niektórym w głowie nie mieści, ale nie mam zwyczaju biegania po tabloidach, gdy dzieje mi się coś złego. W takich sytuacjach wystarczą przyjaciele i rodzina.

Jednak teraz rozmawiamy.

Minęło już trochę czasu, chciałam bym kilka faktów wyjaśnić. Wiele osób pewnie wtedy myślało, że całe zajście miało miejsce, gdy po zakończeniu programu



Z Magdaleną Ogórek, prezenterką TVP rozmawia Marcin Makowski

Polacy nie mają problemów z tolerancją

wybierałam się do domu. Tymczasem spieszyłam się z „Minęła 20” do „Studia Polska” i miałam raptem kilkanaście minut, żeby z placu Powstańców przejechać na Woronicza. To, co później przez wielu było złośliwie komentowane – „Ogórek wsiada uśmiechnięta do auta i chwytą za telefon” – było rozmową z wydawcami programu, że mogę nie dać rady dojechać na czas. Ostatecznie wpadłam w pędzie dwie minuty przed anteną na żywo, z mikrofonami podpinanymi na schodach.

„To, co zrobiono dziś p. Ogórek, należy potępić. Tak też reaguje całe środowisko. Jednak instrumentalizacja zajścia przez p. Brudzińskiego jest haniebną” – napisał Bartosz Wieliński z „Gazety Wyborczej”. Czy uważa pani, że również politycy prawicy i rząd chcieli na całym wydarzeniu zbić polityczny kapitał?

Bardzo proszę o zwolnienie mnie z komentowania jakichkolwiek słów pracownika mediów, który nazywa się Bartosz Wieliński. Wiele jego wcześniejszych wypowiedzi było według mnie haniebnych. Mam mieć pretensje do polityków, że po-

tępił całe wydarzenie i zapowiedzieli jego wyjaśnienie? Pozwólmy organom ścigania wykonywać swoją pracę. Co do reszty niech każdy sam ocenia – przez pryzmat kultury osobistej – co kto wtedy mówił. Jakie stanowisko formułowali niektórzy byli politycy, choćby Waldemar Kuczyński, dziękując protestującym, że „wykrzyczeli mi prawdę” prosto w twarz. Tak samo pisałby, gdyby ktoś chciał „wykrzyczeć” prawdę Monice Olejnik? Przecież to nie jest tak, że agresja ogranicza się jedynie do rękoczynów. Powinnam się cieszyć, że nikt mnie nie pobił?

„Naklejanie nalepek na czyimś samochodzie nie jest oczywiście żadną »agresją« – jest szczy-

tem głupoty. [...] z agresywnej propagandzistki władzy zrobiliście męczennicę” – tłumaczyła Hanna Lis. „Wobec p. Ogórek nie przekroczono granic debaty publicznej – dziennikarze TVP opłacani są z publicznych pieniędzy, a więc tym bardziej podlegają krytyce. Nie było linczu. Był gniew” – dodała Ewa Siedlecka. Obydwie są dziennikarkami.

Gniew to ja sobie mogę wyrażać, trzymając transparent.

Czyli sam fakt protestowania uważa pani za korzystanie z wolności słowa?

Tak, każdy ma prawo wyrażać swoje poglądy w przestrzeni publicznej, ale powtarzam – pozbawia się go na własne życzenie, jeśli narusza nietykalność cielesną i ucieka się do agresji werbalnej lub fizycznej. Jestem pewna, że gdyby choćby namiastka tego, co wydarzyło się pod siedzibą Telewizji Polskiej, przytrafiło się obu paniom redaktor, mielibyśmy rejwach z tego tytułu przez minimum miesiąc, łącznie z interwencją Komisji Europejskiej, Amnesty International i ONZ.

MNIEJSZOŚĆ NIE MOŻE NARZUCAĆ WIĘKSZOŚCI SWOJEGO DYKTATU

Jest jeszcze jeden cytat, przytoczę go w wersji cenzurowanej. „Ale co robić z k...ą?” – zatweetował Janusz Palikot, odnosząc się do wpisu Dominiki Wielowieyskiej, potępiającej zachowanie protestujących.

Nawet nie wiem, co w tej sytuacji powiedzieć.

Wpis dosyć szybko zniknął, a jego autor zadeklarował, że w ramach zadośćuczynienia wpłaci

kilka tysięcy złotych na wskazany przez panią cel charytatywny. Czy ta deklaracja doszła do skutku?

Nic mi o takiej „propozycji” nie wiadomo, nikt się ze mną nie skontaktował, żadnych pieniędzy nigdzie nie przekazało. Można powiedzieć, że jaki człowiek, takie zdolności honorowe.

Tym razem cenzuralna wypowiedź aktywnego polityka: „Kłamstwo organizowane przez władzę za publiczne pieniądze to perfidna i groźna forma przemocy, której ofiarami jesteśmy wszyscy. I wszyscy powinni solidarnie, w ramach prawa, przeciw temu kłamstwu protestować”. Tak skomentował Donald Tusk. Wzięła to pani do siebie?

W pierwszym momencie zaczęłam się zastanawiać, dlaczego Donald Tusk tak brzydko pisze o telewizji komercyjnej. Tylko czy warto pójść tą drogą? Błyskawicznie okazuje się bowiem, że podobne moralizowanie staje się mieczem obosiecznym, ale gratuluję prezydentowi Europy dobrego samopoczucia.

Czuje się pani ofiarą tzw. mowy nienawiści?

Nie mam zwyczaju robienia z siebie ofiary i uważam, że osoby wkraczające do polityki czy mediów muszą mieć grubą skórę. Nie zginam karku, nie dam się złamać. Nie da się jednak usprawiedliwić jawnych kłamstw, obliczonych na wyrządzenie drugiej osobie krzywdy. O wydarzeniu z 2 lutego pod TVP krążyło wiele kłamstw, np. o rzekomej prowokacji. Chyba każdy psycholog zgodzi się z tym, że słowa i naruszenie osobistej przestrzeni mogą czasem ranić bardziej niż ciosy.

W taki sposób część opozycji winę za śmierć prezydenta Pawła Adamowicza zrzuciła na telewizję publiczną.

Tyle że między opisaną przeze mnie sytuacją a materiałami w TVP na temat śp. Pawła

Adamowicza istnieje zasadnicza różnica. W pierwszym przypadku mówimy o kłamstwach, w drugim o niewygodnych dla polityka faktach. Przecież nikt nie zmyślił jego licznych mieszkań, kont bankowych i problemów z oświadczeniem majątkowym. Gdy ktoś decyduje się na pełnienie funkcji prezydenta, musi brać na barki to, że media będą domagały się od niego transparentności i nie muszą być w tym subtelne. Nawet tak potworne, tragiczne wydarzenie jak morderstwo, co do którego nie ma cienia usprawiedliwienia, nie może być pretekstem do prewencyjnego cenzurowania dziennikarzy i zakładania im knebla.

A jak pani ocenia zachowanie „Wiadomości” w kontekście opublikowania fotografii oraz personaliów osób, które protestowały pod siedzibą telewizji? Rzecznik Praw Obywatelskich stanął w ich obronie.

W takim razie mam pytanie, czy Adam Bodnar swoje oburzenie wyśtosował również wobec „Wysokich Obcasów”, na których okładce nieco wcześniej brylowała liderka ataku z 2 lutego? Przecież wszystkie te osoby upubliczniły w różnych miejscach swoje dane, same zamieściły z dumą wideo w Internecie, pisał o nich z imienia i nazwiska portal OKO.press, gdzie niektórzy nawet się wypowiadali. Jeśli ktoś na własne życzenie się go pozbawia, to niech później nie mówi, że narusza się jego prawo do prywatności.

Od dosyć dawna, ale przy okazji wydarzenia, o którym rozmawiamy, szczególnie intensywnie, pada pod pani adresem zarzut, że środowisko dziennikarskie nie powinno solidaryzować się z kimś, kto dziennikarzem nie jest. Krytycy nazywają panią zamiast tego „funkcjonariuszką partijną”.

To jest bardzo ciekawa teza, szczególnie w czasach, w których gros komercyjnych mediów realizuje program obalenia rządu PiS. Przecież nie Platforma Obywatelska, ale wobec jej słabości media liberalne od kilku lat stały się główną siłą opozycyjną w Polsce. Dlatego jeśli szukamy osi budowy przekazu antypisowskiego, do którego później dostosowują się politycy, patrzymy w tym kierunku. Jeśli ktoś uważa, że dziennikarze Telewizji Polskiej odgrywają rolę „funkcjonariuszy partyjnych”, to musi być ślepy na jedno oko, samemu nie dostrzegając propagandy politycznej uprawianej przez ich obóz, licytujący się w gorliwym sufłowaniu antypisizmu. Rozumiem jednak, że wiele



FOT. MARIOLA MATUSZCZYK

osób przyzwyczajonych do życia w monopolu medialnym bardzo boli, że TVP pokazuje inny punkt widzenia. Osobom, które krytykują wywiady z politykami po „Wiadomościach”, zupełnie nie przeszkadza, że dziennikarka przeprowadzająca rozmowę z Donaldem Tuskiem w komercyjnej stacji wygląda tak, jakby miała ochotę bić brawo po każdym jego zdaniu.

A może problem polega na tym, że z jednej strony mówimy o mediach prywatnych, a z drugiej o publicznych, do których z pieniędzy wszystkich podatników i wyborców wszystkich partii powędruje niedługo 1,2 mld zł w ramach rekompensaty za niepłacony abonament?

Niech pan zauważy, że tego typu pytania i wątpliwości pojawiły się dopiero od połowy roku 2015. Wcześniej, gdy wszyscy mówili zgodnie jak jeden chór, udawano, że TVP nie jest „skrzywiona”, tylko głosi prawdę. Dzisiaj dając ludziom wybór, jesteśmy oskarżani o propagandę. Jeśli natomiast chodzi o kwestie finansowe, to wołałabym się nie wypowiadać na ten temat, ponieważ chodzi o mojego pracodawcę. Tak czy inaczej po raz pierwszy w III RP, na tę skalę, Polacy mają wybór, kogo chcą oglądać.

Mówi pani, że wielość światopoglądów w mediach przyczynia się do ich pluralizmu. Jednak czy zamiast budować wolnorynkowe i oderwane od państwa fundamenty, środowiska prawicowe opierając się swojego oddziaływania na telewizji publicznej, nie szykują własnej zguby? Przecież opozycja mówi wprost, że przejmując władzę, dokona twardego resetu w mediach. Może warto myśleć szerzej?

Nie jestem ekspertem od rynku medialnego i trudno wypowiadać mi się za wszystkie środowiska, ale jeśli pyta mnie pan, czy warto myśleć w tym zakresie szerzej, to odpowiadam, że tak, warto. Ja osobiście staram się działać na wielu polach i w ten sposób wykorzystywać zdobytą w polityce i telewizji rozpoznawalność. Mam nadzieję, że książka „Lista Wachtera”, która jest właśnie tłumaczona na język angielski, czy generalnie praca na gruncie historii i odzyskiwania zrabowanych dzieł sztuki to mój fundament, który będzie trwał bez względu na aktualną sytuację polityczną.

Da się oddzielić walkę o prawdę historyczną od bycia celebrytką? Znacznie częściej czyta się o pani „rzucającej zalotne spojrzenia z bmw za 180 tys.” niż o badaczce II wojny światowej.

Na to nie mam wpływu. Trudno dzisiaj powiedzieć, gdzie przebiega granica między



Policja ochraniająca wejście do siedziby Telewizji Polskiej FOT. GRZEGORZ BANASZAK/REPORTER

dziennikarzem, politykiem a celebrytą. Niektórzy, tak jak np. Robert Biedroń, od lat świadomie na niej balansują. Takie mamy czasy i nie ma sensu się na to obrażać. Większym problemem jest jednak to, że gdy już czasami media zajmą się II wojną światową, potrafią wykorzystywać historię jak broń polityczną, trzymaną w rękach przez właściciela konkretnego portalu czy telewizji, który w sektorze prywatnym rzadko kiedy jest Polakiem. Właśnie teraz z całą jaskrawością możemy obserwować, jak daleko niektórzy są w stanie przesunąć granicę w oskarżeniu Polski o wszystko – od państwowej kolaboracji z niemiecką III Rzeszą do wymordowania 200 tys. Żydów.

Uważa pani, że to winą kapitału w mediach?

To również presja zagranicy, Berlina, Paryża czy Moskwy – im nie jest na rękę pamiętać, jak wyglądała przeszłość. To, że inni walczą o swoją narrację, jest zrozumiałe, ale gdy wielu dziennikarzy

i polityków w Warszawie przykłada do tego rękę, włos się na głowie jeży. Tym tempem czego my się „dowiemy” za rok? Że polski rząd w Londynie wysłał swoich przedstawicieli na naradę o „ostatecznym rozwiązaniu” w Wannsee? Tak się kończy panowanie niemieckich mediów nad świadomością młodych Polaków. Przecież to nie jest przypadek, że wysyp różnych dziwnych konferencji i sympozjów przypada akurat w tej chwili.

Nawiązuje pani do konferencji o roli Polaków podczas Holocaustu, która odbyła się pod koniec lutego w Paryżu?

Tak. Myślę, że wielu naszych rodaków nie było świadomych, że przez lata była poddawana podobnej – tylko nieco bardziej zawołowanej – inżynierii historycznej. Natomiast ci, którzy to zauważają i zaczynają obnażać, natychmiast są oskarżani o antysemityzm albo faszyzm. Lub o jedno i drugie. Czasami próbuje się ich również wyśmiać, zdyskredytować

dokonania, stwierdzić, że są nieistotni i nikt się z ich zdaniem nie liczy.

To mocne oskarżenia. Może pani podać jakieś przykłady?

Proszę bardzo: gdy za czasów PO wchodziło się do Muzeum II Wojny Światowej, trzeba się było bardzo dobrze naszukać, aby znaleźć Irenę Sendlerową. Zdjęcie rtm. Witolda Pileckiego było wielkości pudełka od zapalek. Z kolei w Muzeum Żydów Polskich POLIN Józef Światło schowany był tak bardzo za drzwiami, żeby nie dało się go odnaleźć. Jako Polacy jesteśmy dumni ze współegzystencji z Żydami w naszym wspólnym kraju, co udowodnił, wydając ogromne sumy pieniędzy Polaków na wiele projektów badawczych, poświęconych tematyce żydowskiej. I nagle odnalazła się grupa polityków i profesorów, którzy zawłaszczyli całą tę infrastrukturę: od muzeów do placówek badawczych. Wszystko po to, aby nasza wspólna historia była przedstawiana w taki sposób, aby dało się z niej zrobić oręż ideologiczny. Kolejny przykład: w Polsce mamy najwięcej Sprawiedliwych. A co słyszymy z ust jednego z tych profesorów? „Żydzi może i ginęli z rąk Niemców, ale najbardziej obawiali się Polaków”. Co czytamy w jednym z muzeów, kto był bestialsko mordowany podczas II wojny światowej? „Żydzi i nie-Żydzi”. Ja w tym momencie pytam: Kto to są owi „nie-Żydzi”? Nie wiem, czy zdajemy sobie sprawę z tego, że podobnej terminologii używał podczas procesu w Jerozolimie Adolf Eichmann. I taka terminologia funkcjonowała za poprzednich rządów w naszych placówkach, opłacanych z pieniędzy podatników. Za jednym terminem wygodnie schowano kilka milionów Polaków, jakby ich ofiara była gorszej kategorii. Tak, krok po kroku, podważa się obiektywne historyczne fakty.

To nie jest wina i problem dotyczący jedynie naszego podwórka.

Pewnie ma pan rację. Myślę, że z pierwszym dzwonkiem ostrzegawczym mieliśmy do czynienia, gdy izraelski dziennikarz Ronen Bergman postawił pod pręgierzem historycznym polskiego premiera, próbując na nowo wywieść, kto był na terenie okupowanej Polski katem, a kto ofiarą. Potem dopiero się okazało, że kłamał. Gdy sprawdziłam pod kątem źródeł historię jego matki, która miała być represjonowana przez Polaków, okazało się, że nic tam się nie zgadza. Podobnie jak w historiach Ja'ira Lapida

czy amerykańskiej dziennikarki, która stwierdziła, że „polski reżim” represjonował Żydów w warszawskim getcie. My to możemy prostować, tyle że kłamstwo, które idzie w świat, wcześniej wyrządza nieodwracalne szkody. Chcę być dobrze zrozumiana. Świetnie, że dyskutujemy o przeszłości, i trzeba zrobić wszystko, aby ludzie w sposób rzetelny dowiedzieli się, jak potworną zbrodnią był Holokaust, aby nigdy więcej nie mogła się powtórzyć. Nie można jednak historii II wojny światowej sprowadzać do Holokaustu, bo to również losy np. dzieci Zamojszczyzny, setek tysięcy rodaków zamordowanych na Wschodzie, największego powstania antyniemieckiego w okupowanej Europie. To również bohaterstwo Karskiego i tysięcy patriotów, którym przez długi czas poświęcało się marginalną uwagę. Ba, niektórych, jak np. św. Maksymiliana Kolbego, wygumkowano z wystaw. Mamy muzeum Oskara Schindlera, ale nie mamy muzeum Ireny Sendlerowej. Dlaczego? Takich pytań nie stawia sobie druga strona, krzycząc „antysemityzmem”. A dyskusja o prawdzie historycznej nie jest antysemityzmem, z czym zgadza się wielu moich przyjaciół Żydów. I nikt nie ma prawa partykularnie rozliczać Polaków, jak to ostatnio zrobił prof. Paweł Śpiewak, czy Polacy byli w 1942 r. wyściskując empatycznie wobec Żydów. To zamienianie badań historycznych według współczesnych punktów odniesienia pod pisaną na jedną modłę propagandę.

Jak w tym kontekście odbiera pani konkurs na nowego dyrektora muzeum POLIN? Opozycja twierdzi, że to z kolei zemsta polityczna na Dariuszu Stoli, który był niewygodny.

Najpierw uporządkujmy fakty: nikt nie chciał pana Stoli odwoływać, zwyczajnie skończył się jego kadencja. Artykuły o rzekomym odwołaniu to kolejne „fejkniusy”. Inna sprawa, że pan Stola z kierownika placówki stał się stroną życia politycznego, ale to jego wybór. POLIN często zamiast w obszarze historii, pojawiało się w debacie od strony sporów ideologicznych i politycznych, wpisując się w szerszy nurt walki o wpływy, o której wspomniałam. Chciałabym tych ludzi przestrzec, że tak jak kiedyś komunistom nie udało się wykorzystać mitu Piłsudskiego i Dmowskiego, tak teraz nie uda się zrobić z Polaków masowych antysemitów i współsprawców Zagłady. Nie da się na taką skalę napisać historii na nowo.

Prezes IPN twierdzi, że pomocne może się okazać wyjaśnienie spraw spornych, deklarując gotowość do przeprowadzenia ekshumacji w Jedwabnem. Czy to dobry pomysł na oczyszczenie relacji, a może przepis na kolejną międzynarodową katastrofę wizerunkową?

Tutaj nie chodzi o oczyszczenie, bo ustalenie faktów historycznych nie jest katharsis. Historia, a w tym przypadku badania archeologiczne, mają nas przybliżyć do prawdy i pokazać, co tam się realnie wydarzyło. Dlatego zawsze będę wspierać podobne inicjatywy – nie rozumiem, dlaczego Jedwabne z jakichś względów miałoby być wyłączone z tego procesu.

Może chodzi o to, że w Izraelu i USA Polska kolejny raz zostanie przedstawiana jako „miejscę odradzającego się antysemityzmu”, gdzie nie szanuje się zwyczajów religijnych Żydów i ekshumuje ich zwłoki.

Nie sądzę, aby to miał być problem, jeśli chodzi o dociekania historyczne. Podobnie jak teza, że w Polsce odradza się antysemityzm. Apelowałabym o tonowanie emocji. Szafowanie antysemityzmem jest bardzo wygodne, ale nie pozwólmy na to, aby pewien nurt polityczny wyznaczał nam granice poprawności politycznej i knebłował wolność słowa. To mi przypomina metody rodem z PRL i kto nimi gra, osadza się właśnie w tamtym nurcie ideologicznym. Jeśli już ktoś chce szukać realnego antysemityzmu, to niech spojrzy na dewastowane cmentarze żydowskie we Francji i demonstracje neonazistów w Niemczech, a nie na Polskę.

Od historii przejdźmy do współczesności. Koalicja Europejska, do której dołączyły SLD i PSL, to odpowiedź opozycji na listy Zjednoczonej Prawicy do europarlamentu. Czy jako byłej kandydatce Sojuszu na prezydenta serce pani nie krwawi, gdy widzi pani Leszka Millera i Włodzimierza Czarzastego idących ramię w ramię z Grzegorzem Schetyną?

Nic mi nie krwawi na tę ewentualność. Jeżeli cokolwiek może boleć, to wspomnienie 2015 r., gdzie jako kandydatka zaproponowałam program centrowy i wolnościowy, który mieli szansę poprzeć i wejść do Sejmu. Zachowali się, jak zachowali i teraz kończą w przedpokoju u Grzegorza Schetyny, ale to nie mój problem. Jeśli Koalicja Europejska woli uprawiać postpolitykę, to sama będzie zbierać owoce swoich decyzji. Tam, gdzie PiS wystawia polityków, którzy zrealizowali obietnice wyborcze, oni wolą jednoczyć się bezideowo pod sztandarem niechęci do władzy. Wyciągać ludzi z gajówki,

dyżurnych komentatorów politycznych, polityków na emeryturze i działaczy, którzy w niczym się nie sprawdzili. Czym to skutkuje? Brakiem programu i hipotetyczną sytuacją, w której koło PSL zaprosi do salki katechetycznej na dyskusję wyborczą Barbarę Nowacką, a ona opowie o tym, jak walczyć z Kościołem. Tutaj nie ma granic absurdu.

Uważa pani, że Władysław Kosiniak-Kamysz poszedł podobną drogą jak SLD, w konsekwencji przycinając się do rozmycia tożsamości ludowców?

Mam nadzieję, że Kosiniak-Kamysz nie dołączy do tego miejsca, gdzie samotnie przebywa Włodzimierz Czarzasty. Nie życzę tego liderowi ludowców, bo oceniam go znacznie wyżej, ale jest to na pewno droga, nad którą PSL musi się głęboko zastanowić. Czy warto dołączać do bezkształtnego tworu obliczonego na pozyskanie kilku mandatów w euro-parlamencie w zamian za rozmienianie na drobne pryncypiów ideowych? Na pewno PSL chce iść w jednym szeregu z Platformą? Zobaczmy, co się teraz dzieje w Warszawie, gdy prezydent Rafał Trzaskowski seryjnie wycofuje się z obietnic wyborczych, zamiast tego proponując ofensywę LGBT.

Jako warszawiance nie podobają się pani Tramwaj Równości, Deklaracja LGBT+ i standardy WHO w edukacji seksualnej w szkołach?

Zacznę od tej ostatniej rzeczy. Program związany z tzw. edukacją seksualną nie może być wprowadzany w szkołach bez oglądania się na rodziców. Mamy bowiem kolejnego demokrate, prezydenta stolicy, który realizuje swoje wizje światopoglądowe bez oglądania się na prawa obywateli, łamiąc przy tym konstytucję. Przecież art. 48 wyraźnie mówi, że kwestia wychowania dzieci należy do rodziców, a ja jako rodzic absolutnie nie zgadzam się na takie lekcje, bo wiem, że będą przeprowadzane przez aktywistów LGBT, którzy będą opowiadali o wyższości homoseksualizmu nad rodziną. Rodzina jest jasno określona w konstytucji, jako związek kobiety i mężczyzny – tego mamy nauczać w szkołach. Proszę zobaczyć, jak działa to homolobby – przekonała się o tym medalistka olimpijska Zofia Klepacka, która po prostu wyraziła sprzeciw wobec polityki Trzaskowskiego.

Przypomnijmy czytelnikom: windsurferka napisała na Facebooku, że „jej dziadek na pewno nie walczył o taką Warszawę”, opowiadając się za tradycyjnymi wartościami.

I dzisiaj za to grozi się linczem, odebraniem tytułów, medali oraz wykluczeniem ze społeczności sportowej. Podpisuję się, podobnie jak wielu warszawiaków, pod jej protestem. My jako rodzice musimy mieć ostatnie zdanie o tym, w jakim duchu wychowamy dzieci, i nie godzimy się, aby sześciolatkom opowiadać o technikach masturbacji. Ja sama najlepiej wiem, w jakiej fazie rozwoju psychicznego jest moje dziecko, a nie Rafał Trzaskowski. Gdzie są ci wszyscy odważni protestujący z napisem „Konstytucja”, gdy na naszych oczach jest ona gwałcona? Dlaczego nie stoją pod stołecznym ratuszem?

Prezydent Trzaskowski broni się i zapowiada, że będzie żądał sprostowań pod adresem ludzi, którzy twierdzą, iż chce „seksualizować dzieci”, ponieważ uważa, że program WHO jest programem medycznym, naukowym i nie należy bać się rozmawiać z najmłodszymi na trudne tematy.

Zapomniał o jednej podstawowej kwestii, już wspomnianej: ale za zgodą rodziców. Bez niej może ten program realizować we własnym domu.

A za własną zgodą wsiałaby pani do Tramwaju Różnorodności?

Nie rozumiem sensu takiej inicjatywy. Wśród znajomych mam homoseksualistów i widzę po nich, że oni sami nie chcą epatowania swoją orientacją – wolą mieć ciszę wokół własnej prywatności. Tymczasem w Warszawie staje się ona elementem polityki. Polacy nie mają problemów z tolerancją, żeby trzeba im było fundować do nauczania o niej osobne tramwaje. Mniejszość nie może narzucać większości swojego dyktatu, wtedy to koniec demokracji.

Na koniec tematyka kościelna, naukowo pani bliska. Robert Biedroń w swoim programie na inauguracji partii Wiosna zapowiedział opodatkowanie tacy, rozdział Kościoła od państwa, renegeację konkordatu. Właśnie te punkty programowe zebrały największy aplauz. Czy również pod dyktando dyskusji w duchu filmu „Kler” będzie pani zdaniem przebiegać jesienna kampania wyborcza?

Janusz Palikot próbował atakować Kościół. I gdzie dzisiaj jest? Na marginesie życia publicznego, siedząc w domu i we frustracji wypisując wulgaryzmy na Twitterze. Kościół wpisany jest w DNA polskiego państwa, jego historię, rozwój cywilizacyjny i codziennność. Partie, które swoją rację bytu opierają jedynie na kontrze do tych wartości, nie mają wielkich szans na rozwój i rozszerzanie elektoratu.

Sama się zastanawiam, co zasłoniło Robertowi Biedronowi oczy, że tego nie widzi. Znam go od wielu lat, prywatnie to sympatyczny człowiek, szeroko patrzący na kwestie polityczne.

Czy uważa pani, że Kościół zrobił wystarczająco dużo, aby część z zarzutów środowisk lewicowo-liberalnych nie była słuszna? Czy odcina się jasno od polityki, skutecznie walczy z pedofilią?

Jeżeli chodzi o pedofilię, to zawsze powiem, że każda ofiara to o jedną za dużo. Obojętnie z jakiej grupy społecznej będzie to przestępstwo pochodziło. Kościół tym bardziej musi walczyć z tym grzechem, bo musimy pamiętać o jego przytłaczających następstwach – złamaniu psychiki dziecka na resztę życia. Tyle że Kościół o tym doskonale wie, papież Franciszek po objęciu urzędu zmienił kodeks karny Watykanu, niedawno zakończyła się ogromna konferencja na temat walki z wykorzystywaniem nieletnich w Kościele. Również w Polsce od lat funkcjonują struktury (m.in. koordynator ds. walki z pedofilią o. Adam Żak), które nie dopuszczają w przyszłości do podobnego zgorznięcia. Szczerze w to wierzę, bo wśród chrześcijan nie może być nawet cienia przyzwolenia na tolerowanie zła.

Już na koniec, przed jakim wyborem pani zdaniem staną Polacy przy okazji jesiennych wyborów? Zwykły mechanizm demokratycznej korekty czy – jak chcą niektórzy – „starcie cywilizacyjne”?

Dzisiaj mamy przed sobą fundamentalny wybór. Efektem wrzucenia kartki do urny wyborczej będzie opowiedzenie się za którymś z kompletnie różnych światów wartości i zasad. To wybór pomiędzy ugrupowaniem politycznym, które m.in. wypełniło większość obietnic wyborczych: rodzice dostali pieniądze na dzieci, rozpoczęto reformę wymiaru sprawiedliwości, emeryci dostaną realne finansowe wsparcie, ukrócono wyłudzenia VAT, zrepolonizowano banki, gospodarka kwitnie, a polityka historyczna przywraca nam godność narodową – a drugą siłą polityczną, która chce cofnąć program „500+”, dodać przywileje kastom, dokończyć wywłaszczenie Polaków z ich własności narodowej, prawa do dumy z historii, tradycji i religii, zastępując ją nieokreśloną tożsamością europejską, inżynierią społeczną, w której nie ma miejsca na realizację aspiracji życiowych przeciętnego Polaka, dla którego jedynym rozwiązaniem będzie emigracja.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. FOTOARP-SA

ARP SA wybrała kosmicznych zwycięzców 2018 r.

4 marca w siedzibie ARP SA zostały wręczone statuetki Konstelacje 2018 dla instytucji i osób, które rozwijają polski sektor technologii kosmicznych. Kapituła konkursowa wyłoniła finalistów w trzech kategoriach: kosmiczna firma roku, zagraniczny sukces, nadzieja sektora kosmicznego oraz przyznała nagrodę specjalną.

Zgodnie z założeniami konkursu Konstelacje 2018 do nagrody dla firmy roku nominowane były spółki o najważniejszych osiągnięciach w branży kosmicznej w 2018 r. Kapituła brała pod uwagę zarówno osiągnięcia naukowe, jak i biznesowe oraz ich wpływ na wizerunek sektora kosmicznego w Polsce oraz w Europie. Wśród nominowanych znaleźli się Creotech Instruments SA (za pozyskanie największego kontraktu kosmicznego w Polsce – projektu CREODIAS), SpaceForest (za prace nad rakietą suborbitalną i udane wystrzelenie rakiety Bigos) oraz Astronika, za opracowanie i dostarczenie na misję

InSight penetratora HP3. Nagrodę główną zdobyła firma Astronika.

W kategorii zagraniczny sukces kapituła nagrodziła osiągnięcia podmiotów polskiego sektora kosmicznego za granicą, biorąc pod uwagę aspekt naukowy i biznesowy. Zwycięzcą została firma ICEYE Polska – za opracowanie przełomowych technologii związanych z tworzoną konstelacją satelitów radarowych. W tej kategorii nominowane były także Astronika (za misję InSight) oraz Polska Agencja Kosmiczna (za dołączenie Polski do konsorcjum EU SST).

W kategorii nadzieja sektora kosmicznego (nagroda dla młodych pracowników branży kosmicznej w Polsce) nominowani zostali: Dorota Budzyń – za

istotny wkład w powodzenie eksperymentu badawczego DREAM oraz powstanie firmy Scanway; Gordon Wasilewski – za wkład w badania nad wydobywaniem wody w warunkach pozaziemskich, kontynuowane obecnie podczas stażu naukowego na Colorado School of Mines w USA, oraz Dominik Roszkowski – za wkład w udaną integrację i wyniesienie satelity PW-SAT 2 na orbitę (jako współkoordynator projektu). Zwycięzcą w kategorii nadzieja sektora kosmicznego został Gordon Wasilewski.

Nagroda specjalna powędrowała do Studenckiego Koła Astronautycznego przy Politechnice Warszawskiej, które zostało odznaczone za szczególne osiągnięcie w postaci zintegrowania i wyniesienia satelity studenckiego PW-SAT 2 na orbitę.

Kapituła Konkursowa obradowała w składzie:

- Jadwiga Emilewicz, przewodnicząca kapituły, minister przedsiębiorczości i technologii
- Piotr Dardziński, wiceminister w Ministerstwie Nauki i Szkolnictwa Wyższego
- Dariusz Śliwowski, wiceprezes Zarządu ARP SA
- prof. Iwona Stanisławska, dyrektor Centrum Badań Kosmicznych
- Robert Nowicki, szef gabinetu politycznego ministra przedsiębiorczości i technologii
- Michał Szaniawski, doradca ministra przedsiębiorczości i technologii
- Bartosz Sokoliński, dyrektor Biura Rozwoju i Innowacji ARP SA.

Agencja Rozwoju Przemysłu SA prowadzi wiele innych działań promujących i wspierających sektor technologii kosmicznych w kraju. Ważną część tych działań stanowi wsparcie dla rozwoju kadr (w tym pozyskiwania nowych kompetencji). ARP SA uruchomiła m.in. program stażowy „Rozwój kadr sektora kosmicznego”, który jest realizowany we współpracy ze Związkiem Pracodawców Sektora Kosmicznego. Adresatami programu są absolwenci studiów o kierunkach technicznych oraz młodzi naukowcy, którzy przez sześć miesięcy zdobywają doświadczenie w firmach sektora kosmicznego. ARP SA wspiera także działalność studentów, patronuje m.in. Studenckiemu Kołu Astronautycznemu Politechniki Warszawskiej.



MACIEJ PIECZYŃSKI: W wyborach do Parlamentu Europejskiego jest pan „jedynką” PiS w Warszawie. Koalicja Europejska do walki o głosy mieszkańców stolicy wystawi najprawdopodobniej Włodzimierza Cimoszewicza. Wymagający przeciwnik?

JACEK SARYUSZ-WOLSKI: Poczekajmy na oficjalne listy kandydatów. Sam fakt przystąpienia pana Cimoszewicza do Koalicji Europejskiej dobitnie dowodzi jej PRL-owskich korzeni.

W końcu to jednak były premier, podobnie jak Ewa Kopacz, która prawdopodobnie również będzie startować z listy warszawskiej. Koalicja Obywatelska wytoczyła ciężkie działa przeciwko panu.

To się okaże.

Warszawa to trudny teren dla PiS...

Warszawa jest chyba terenem najtrudniejszym dla PiS. W stolicy jest relatywna nadreprezentacja zwolenników sił politycznych, które obecnie występują pod szyldem Koalicji Europejskiej.

Nie obawia się pan, że poniesie spektakularną klęskę, podobnie jak Patryk Jaki, który mimo dynamicznej kampanii i wpadek Trzaskowskiego został przez niego zdeklasowany?

Pan Patryk Jaki uzyskał 254 tys. głosów. To dobry wynik w bardzo trudnych warunkach. Warszawiacy będą musieli odpowiedzieć na pytanie: Jaką obecność Polski w Unii Europejskiej wybierają? Czy chcą, aby nasz kraj był równoprawnym podmiotem w tej wspólnotie, czy może wolą być obywatelami państwa, które jest jedynie przedmiotem i posłusznym naśladowcą polityki kreślonej w Paryżu, Berlinie i Brukseli, zgodnie z wizją Platformy Obywatelskiej i jej sojuszników? Zamierzam skupić się na konstruktywnej kampanii. Mówić o tym, jaka wizja roli Polski w UE jest dla niej najlepsza.

Chodzi o emancypację Polski, wzmocnienie jej głosu dla obrony jej interesów miast podpisywania czeków in blanco, wystawianych przez przywódców najsilniejszych państw przy wsparciu ich ludzi w Brukseli. Nie dla klientelistycznej uległości i bezkrytycznego przyjmowania wszystkiego, co zaproponują nam państwa tzw. starej Unii. Musimy wzmacniać europejskość, ale całej Unii, rozumianą jako świadome, pełnoprawne członkostwo Polski w UE, zorientowane na obronę naszych narodowych interesów i naszej wizji UE, nawet jeśli nie są one zbieżne z interesem ani wizją innych.

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER



Z Jackiem Saryuszem-Wolskim, europosem
rozmawia Maciej Pieczyński

Tusk zwyczajnie stchórzył

Czyli powrót do idei Europy ojczyzn?

Powrót do korzeni – wspólnoty krajów członkowskich. Unia Europejska powinna robić mniej, ale lepiej. Szanować podmiotowość i tożsamość krajów członkowskich oraz różnorodność Unii. Powinna bronić swoich dziejowych osiągnięć, a więc twardego rdzenia integracji europejskiej: jednolitego rynku, polityki wyrównującej poziomy rozwoju gospodarek poszczególnych państw członkowskich, takie jak polityka regionalna i rolna. Chcemy Unii, która nie tylko głosi, lecz także praktykuje zasadę solidarności, którą obecnie w sposób ewidentny stosuje wybiórczo i łamie, choćby pozwalając na budowę zagrażającego bezpieczeństwu UE gazociągu Nord Stream 2. Chodzi o to, aby władze Wspólnoty nie stygmatyzowały ani nie poddawały ostracyzmowi tych państw, które chcą polityki unijnej odmiennej od głównego nurtu, jak to teraz jest w przy-

padku Polski, Węgier i Włoch. Unia nie powinna wkraczać w obszary, które nie należą do jej kompetencji, regulować wieku emerytalnego czy funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości, falandyzować prawa europejskiego, ingerować w sprawy wewnętrzne poszczególnych państw członkowskich w imię wojen ideologicznych. Musi natomiast przestrzegać zasady pomocniczości, realizując jedynie te funkcje, które na mocy traktatów państwa członkowskie zechciały delegować na jej rzecz. Krótko mówiąc: chodzi o odzyskanie i obronę uprowadzonej Europy, powrót do Europy takiej, jaką wymarzyli sobie chrześcijańsko-demokratyczni ojcowie założyciele Wspólnoty: Schuman i de Gasperi. Ważna jest też polityka zagraniczna UE. Dziś Unia podkopuje własne bezpieczeństwo, popadając w konflikt ze Stanami Zjednoczonymi. Nie potrafi mówić jednym, stanowczym głosem w relacjach z Rosją. Zaniedbuje

swoje sąsiedztwo. Pozwala na przelewanie się przez kontynent niekontrolowanych fal nielegalnych imigrantów i terroryzmu. Wreszcie – to również polityka kontynentalnej Unii przyczyniła się do brexitu. Nie potrafiła obronić integralności UE. Pamiętajmy, że Unia była początkowo pomyślana jako gwarancja pokoju po koszmarze II wojny światowej. Dzisiaj, zamiast harmonii i współpracy, mamy do czynienia z konfrontacją Starej Unii z Nową Europą, Północy z Południem, ze skłóceniem wszystkich ze wszystkimi i z wojną na słowa.

Dobrze, ale z kim tę Unię chcecie zmieniać? Pojawiały się głosy, że PiS może dołączyć do Europejskiej Partii Ludowej. Częścią tej frakcji wciąż jest formalnie Fidesz Orbána, który jednak u liderów EPP znalazł się na cenzurowanym za krytykę pod adresem przewodniczącego Junckera. Mówi się wręcz, że Fidesz opuści tę frakcję. To co: PiS pozostanie w składzie Europejskich Konserwatystów ■

Drapieżnicy polują na Zdrapki LOTTO

Dobra wiadomość dla wszystkich fanów Zdrapek LOTTO. W punktach LOTTO pojawiła się okolicznościowa loteria „Kocham Zdrapki”, a w niej do upolowania wciąż ponad 33 mln zł, w tym ponad 50 wygranych po 20 tys. zł.

Pasjonaci drapania lubią czerpać przyjemność z drobnych codziennych czynności. Liczebność populacji „drapieżników” wciąż rośnie. Dzisiaj to już co czwarty dorosły Polak. Liczebność Zdrapek także wzrasta. Rocznie zapoławiać można na ok. 45 rodzajów nowych Zdrapek w łącznym nakładzie ok. 450 mln sztuk! Ich ceny wynoszą od 1 do 30 zł. Wygrane w nich są wyłącznie pieniężne, a wysokość tych głównych kształtuje się od 500 zł aż do miliona złotych!



Reformatorów? Zbuduje coś nowego z Matteo Salvinim?

Ostatecznej odpowiedzi na to pytanie udzieli wyborcy. Sądzę jednak, że wbrew prognozom EKR nie zmniejszy swojego stanu posiadania w PE, a wręcz przeciwnie – zwiększy. Cała scena europejska przesuwana się znacząco w prawo, a dotychczasowy główny nurt, czyli sojusz ludowców i socjalistów, topnieje. Jestem przekonany, że nadchodzące wybory wyłonią silny, nowy nurt europejskiej „dobrej zmiany”.

Czyli raczej pozostaniecie w EKR?

W tej chwili nie ma mowy o dołączeniu PiS do EPP. Europejska Partia Ludowa staje się coraz mniej chadecka, coraz bardziej centrolewicowa.

Przez lata byłem jej wiceprzewodniczącym i widzę wyraźnie, jak skręcała w lewo, aż po postkomunistów. Dlatego też EKR najprawdopodobniej zagospodaruje opuszczane pole chrześcijańsko-demokratyczne i centroprawicowe jako obrońca wartości chrześcijańskich.

Profesor Ryszard Legutko wyraził nadzieję, że Orbán dołączy do EKR. Może PiS odegra tu rolę negocjatora?

Odpowiedź poznamy niebawem. Są takie rosnące szanse. W Europie Środkowo-Wschodniej maleje atrakcyjność oferty socjalistów i ludowców.

Zawsze zdecydowanie stawiał pan sprawę rosyjskiego zagrożenia. Jak zatem patrzy pan na sojusz Jarosława Kaczyńskiego z rusofilem Matteo Salvinim, którego kampanię – jak donosi włoski dziennik „L'Espresso” – próbowali finansować Rosjanie? Kreml chętnie zresztą wspiera eurosceptyków...

Salvini obraziłby się, gdyby usłyszał, że nazywa go pan eurosceptykiem. Uważa się za zwolennika Unii, ale nie takiej, jaka jest obecnie. Prokremlowskość jest dla mnie – najdelikatniej mówiąc – niesympatyczna i nieestetyczna politycznie. Jednak ten flirt Ligi z Rosją jest niczym w porównaniu z niemiecko-rosyjskim strategicznym mariażem, któremu na imię Nord Stream 2. Nawet jeśli spekulacje włoskiego dziennika by się potwierdziły, to wystarczy porównać domniemane 3 mln euro z 10 mld euro, bo taki jest wymiar finansowy NS2. Lepiej współpracować z partią, którą z Kremlm łączy jedynie, miejmy nadzieję, przelotny i platoniczny romans, niż z ugrupowaniami, które popierają strategiczny mariaż

i megainteresy, w tym geopolityczne, z Rosją. Chyba nie trzeba przypominać roli byłego szefa SPD Schrödera przy budowie Nord Streamu ani poparcia dla tej inwestycji ze strony rządu CDU-CSU-SPD. Znajdę proporcję, mocum panie. Można się krzywić na poglądy Ligi Salviniego, na które jednak można również wpływać i które ewoluują, będąc z nią w sojuszu, ale nie sposób ich porównywać z realnymi i długofalowymi działaniami tych, którzy po same uszy tkwią w biznesach z Rosją.

A jednak dziś to Koalicja Europejska pozycjonuje się jako siła, która „uchroni” Polskę przed opuszczeniem UE. Straszenie polexitem poskutkowało już częściowo w kampanii samorządowej. Mieszkańcy dużych miast dali się przekonać do głosowania przeciw PiS.

Po pierwsze, to nie wymysł polexitu był przyczyną. Wierzę, że wyborcy potrafili odróżniać prawdziwą, świadomą proeuropejskość od takiej, która polega jedynie na biernej akceptacji i potakiwaniu starej Unii.

Wystarczy zresztą, że przypomniał sobie, iż to Lech Wałęsa prosił Brukselę o wyrzucenie Polski z UE, a Grzegorz Schetyna proponował w sprawie polexitu referendum. Cała ta narracja na temat polexitu to po prostu humbug. Nikt nie znał tego słowa dopóty, dopóki nie zostało ono wyłansowane przez totalną opozycję. To kłamstwo ma krótkie nogi. Jest tak niewiarygodne, że wręcz śmieszne.

Może jednak trafić na podatny grunt polskiego kompleksu przed bliżej nieokreśloną „europejską nowoczesnością”.

Polacy wyzbywają się kompleksów. Chcą być równo traktowani. Używając sportowej metaforyki, Polacy chcą stać na podium zwycięzców, a nie siedzieć na trybunach czy w szatni. Chcą wychodzić na boisko i rywalizować z innymi jak równy z równym.

Jaka przyszłość czeka Donalda Tuska?

Co się wydarzy – nie wiem. Na co Donald Tusk zasługuje? Na polityczną emeryturę. W normalnych standardach brukselskich dla osoby, która odchodzi z tak wysokiego szczebla, nie ma już miejsca w politycznych strukturach unijnych. Przewodniczący Rady Europejskiej powinien po zakończeniu swojej kadencji z godnością wybrać emeryturę, tak jak to zrobił jego poprzednik Herman Van Rompuy.

Złośliwi wypominają, że wygrał z panem 27:1 w walce o fotel przewodniczącego RE.

Jak widać, prostowania tego kłamstwa nigdy dość. Otóż nie było żadnego głosowania! Na skutek manipulacji formalny wniosek polskiego rządu dotyczący mojej kandydatury nie został nawet wniesiony pod obrady. Proszę się zapoznać z protokołem z posiedzenia Rady oraz ekspertyzą Ministerstwa Spraw

Wierzę, że wyborcy potrafią odróżnić prawdziwą, świadomą proeuropejskość od takiej, która polega jedynie na biernej akceptacji i potakiwaniu starej Unii

Zagranicznych. Donald Tusk wykorzystał swoją pozycję, aby uniknąć głosowania na dwóch kandydatów. Zwyczajnie stchórzyl. Wracając do sportowych porównań, nie pozwolił, aby jego potencjalny kontrkandydat nawet wyszedł na ring, łamiąc tym samym sportową zasadę fair play, której ponoć tak bardzo hołduje.

Jaka będzie Unia Europejska po wyborach? Czy rzeczywiście nastąpi radykalne przesunięcie w prawo? Słowem: Czy za jakiś czas Jacek Saryusz-Wolski i Donald Tusk jako personifikacje konkretnych wizji UE zamienią się miejscami, jeśli chodzi o stopień wpływu na politykę Wspólnoty?

To może być poważny krok w kierunku budowy nowego układu sił. Ale może to być również dopiero półkrok. Nie wykluczam, że ludowcy i socjaliści porozumieją się z liberałami.

Wówczas centrolewica pozostanie główną siłą w UE, co będzie o tyle szkodzić demokracji, że okaże się, iż niezależnie, na kogo zagłosują Europejczycy, rządzić będą wciąż ci sami. Myślę jednak, że nawet jeśli nie po tych wyborach, to po następnych wyłoni się nowy, bardziej bipolarny układ i demokratyczny wybór. Po jednej stronie stanie coraz bardziej lewicująca siła, chcąca, żeby „było tak, jak było”; a po drugiej centroprawica, skupiająca wokół EKR tych, którzy chcą naprawiać Unię. Tym samym w UE ukształtuje się podział zbliżony do amerykańskiej sceny politycznej, zagospodarowanej przez republikanów i demokratów.

HISTORIA
DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TYLKO U NAS!
POSZUKIWACZE WRAKÓW
ZATOPIONYCH OKRĘTÓW.
SENSACYJNA ROZMOWA
Z PROF. TIMMYM GABINEM.

Mariusz Borowiak – **Boje polskich okrętów podwodnych**
Tomasz Stańczyk – „Straszne bliźniaki” atakują
Sławomir Koper – **Błędy akcji na Kutschere**
Gerald Posner – **Dzieci Mengelego, Himmlera i Göringa**
Piotr Zychowicz – **Wielka afera okupowanej Warszawy**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Jak Anglicy skrzywdzili polskiego oficera**
Mikołaj Iwanow – **Tajemnica śmierci Berii**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

Dwa znaczące wydarzenia odmieniły nieco scenę polityczną w ciągu ostatniego półrocza. Po pierwsze, wiceprezydentem Warszawy został Paweł Rabiej, zadeklarowany publicznie homoseksualista. Po drugie, na arenę polityki ogólnopolskiej wkroczył Robert Biedroń – kolejny przedstawiciel mniejszości seksualnych, który podniósł na nowo po Januszu Palikocie sztandar wrogości wobec Kościoła. Nieprzypadkowo aktywne wejście na pierwszy plan polskiej polityki tych dwóch polityków stało się sygnałem do aktywizacji obozu rewolucji obyczajowej.

WARSZAWSKI POLIGON

W ostrej kampanii prezydenckiej w stolicy Paweł Rabiej długo zdawał się trzymać jakby na drugim planie. To Rafał Trzaskowski kojarzył się z ostrą wymianą wyborczych ciosów. Rabiej wypowiadał się bardziej powściągliwie. Niektórzy komentatorzy widzieli w tym sprytny podział na „złego i dobrego policjanta”. Inni prognozowali, że homoseksualny kandydat na wiceprezydenta chce zaprzeczyć podejrzeniom o gejowskie ideologiczne zacięcie kojarzące się z ruchami LGBT. I zaskoczyć wszystkich, wybierając rolę kogoś umiarkowanego i pragmatycznego.

Jeśli takie nadzieje były – to zaczęły błędną już od początku nowego roku. Gdy wybuchła wieść o zamachu na prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza – Rabiej jako bodaj pierwszy polityk opozycji, w emocjonalny sposób obciążył PiS moralną winą za mord. „Nie obchodzi mnie, co mówią teraz Andrzej Duda, Mateusz Morawiecki, Joachim Brudziński czy Zbigniew Ziobro. Ich wyrazy współczucia są warte tyle, co wpisy Rydyzka i Pawłowicz. Bo to ich wina. To oni zniszczyli reputację sądów. Doprowadzili do tego, że każdy może bezkarnie zakwestionować wyrok w imieniu Rzeczypospolitej. I zaatakować – jak widać też fizycznie – każdego: sędziego czy urzędnika. Kimkolwiek jest napastnik, jest ich dzieckiem – dzieckiem ich uprzedzeń i nienawiści” – ogłosił tuż po zamachu.

Co więcej, ze śmierci Adamowicza Rabiej wyciągnął wniosek, że trzeba przyspieszyć zmiany obyczajowe.

W rozmowie z PAP cztery dni po gdańskim zamachu zapowiedział jak najszybsze wprowadzenie w Warszawie programu Deklaracji LGBT przewidującej m.in. zajęcia w szkołach na temat wiedzy o seksualności i tolerancji. Jak pisał na Twitterze: „Mieszkańcy miast chcą więcej wolności,

Paweł Rabiej (na zdjęciu) w kampanii wypowiadał się powściągliwie. Gdy został wiceprezydentem Warszawy, zaczął pokazywać ideologiczne zacięcie

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

Lewica dociska gaz



Piotr Semka

Jeśli PO z Wiosną przejmą rządy – to lewica będzie dopingowała nowe władze do administracyjnej walki z ich przeciwnikami ideologicznymi

tolerancji i szacunku, co pokazali wyraźnie w wyborach – i to nasz, samorządowców, obowiązek, by im je zapewnić”.

7 lutego Rabiej wyraża swe poparcie dla idei związków partnerskich i ogłasza: „Potrzebna jest ustawa”. „Mam nadzieję, że prezydent Trzaskowski udzieli nam ślubu z Michałem” – mówi w rozmowie z „Super Expressem”. Wreszcie 3 marca Rabiej wzywa do bojkotu znanego gdańskiego właściciela sieci piekarni-cukierni Grzegorza Pellowskiego tylko dlatego, że ten odniósł się polemicznie do tekstu w lokalnej „Gazecie Wyborczej” o ks. Henryku Jankowskim i miał wspierać Młodzież Wszechpolską. „Przyzwroty człowiek winien mieć świadomość, że robiąc tam zakupy, pośrednio wspiera podłość” – oznajmia.

Ten przypadek poparcia dla gdańskiego bojkotu był wyjątkowo godny uwagi. Rabiej wsparł inicjatywę Zdzisława Rodzika,

pomorskiego kandydata SLD na radnego, który nawet nie wyjaśnił w apelu, co tak podłego miało być w samym fakcie polemiki z „GW” i we wspieraniu legalnej organizacji, jaką jest Młodzież Wszechpolska. Jeszcze ostrzej Rabiej zareagował na napis: „Warszawa wolna od pedalstwa” na trybunach kibiców Legii, łącząc go z krytyką planów edukacji LGBT w szkołach wyrażonych przez olimpijską medalistkę Zofię Klepacką. Napis był sformułowany w „języku kibolskim”, ale – jak można podejrzewać – odnosił się bardziej do ingerencji środowisk w nauczanie dzieci, a nie był wyrazem niechęci do homoseksualistów jako takich. Jednak Rabiej natychmiast zaczął mówić o dolegliwych sankcjach wobec kibiców.

W rozmowie z Jarosławem Kuźniarem z Onetu zapowiadał: „Transparent na Legii odebrałbym jako wybryk, wobec którego trzeba być bardzo stanowczym”. I dalej:

„Powinniśmy mówić o tym głośno, że nie podoba mi się to tak samo, jak nie podoba mi się wpis pani Klepackiej i inne tego typu wypowiedzi”.

Jednak zdolność do oburzania się na obrażanie uczuć innych jest u Pawła Rabieja bardzo wybiórcza. Proszony w Polskim Radiu 24 do skomentowania wystawy w podległym władzom Warszawy Muzeum Sztuki Nowoczesnej, gdzie eksponowane są m.in. zakrwawione różańce ludzi odrzuconych przez Kościół – Rabiej uciął wszelkie dyskusje: „To jest obszar swobody wolności twórczej wypowiedzi”.

WIOSNA WROGA KOŚCIOŁA

Równie szybko poszły na drugi plan sąpowiedzi Roberta Biedronia, że będzie się starał zmniejszać podział wśród Polaków. Jak się okazało, Biedroniowi przeszkadzał podział polityczny, ale już nowa wojna światopoglądowa – bynajmniej.

W czasie inauguracji swojej partii 3 lutego w Warszawie zapowiedział ponadto negocjację konkordatu, swobodę aborcji do 12. tygodnia życia płodowego dziecka, opodatkowanie kościelnej tacy i wreszcie zniesienia prawa lekarzy do powołania się na klauzulę sumienia przy odmowie dokonywania nawet zgodnych z prawem zabiegów aborcji.

2 marca Biedroń nawiązując do swego wywiadu dla agencji Reuters, pisał: „Czy jest jakiś inny kraj w centrum Europy, w którym zamiast żłobków buduje się kolejne kościoły? Tak właśnie dzieje się w Polsce... To nie jest normalne...”. Nie ma żadnego związku między budżetem Kościoła na budowy nowych świątyń (nie tak częstych jak jeszcze 20 lat temu) a budżetami samorządów na tworzenie żłobków. A jednak większość mediów liberalnych nie chciała dostrzec demagogii.

Kolejny temat, który wraca w wypowiedziach Biedronia, to kwestia zajęcia się przez państwo kościelną tacą. W tyle nie pozostają inni politycy nowej partii. „Wycofanie religii ze szkół to dwa miliardy złotych oszczędności rocznie. Za tę kwotę możemy sfinansować dodatkowe lekcje angielskiego w szkołach” – głosi Paulina Piechna-Więckiewicz.

W Olsztynie koordynatorka Wiosny z Pomorza – Beata Maciejewska – mówiła: „Przyszedł już czas, żeby Kościół przestał nas spowiadać publicznie z ambon. Czas, żebyśmy to my – obywatelki i obywatele – wypowiadali Kościół z jego grzechów”.

Efekt Biedronia-Rabieja uskrzydlił skrajną lewicę i feministki. Zapał do

lewicowego radykalizmu chętnie suflują nowej partii lewicowi dziennikarze, którzy zaczęli pochylać „branie spraw w swoje ręce”. Arkadiusz Gruszczyński, komentator „Wyborczej”, entuzjastycznie pochwalił obalenie pomnika prałata Henryka Jankowskiego jako znak końca „ery dominacji Kościoła katolickiego” i przyrównał je do demontażu pomnika Dzierżyńskiego w Warszawie w 1989 r. Dodatkowo zarysował też podział na pomniki złe i te, które powinny dopiero powstać.

„Jeśli przyjrzyć się pomnikom, które powstawały w Polsce w ostatnich 30 latach, widać charakterystyczny prawicowy zwrot: z zaangażowaniem obalaliśmy pomniki komunistów i zastępowaliśmy ich papieżami, księżmi, Dmowskimi, »żołnierzami wyklętymi«, małymi powstańcami, a ostatnio również Lechem Kaczyńskim i Smoleńskiem. III RP nie doczekała się pomnika opozycjonistek, na 100-lecie odzyskania przez Polskę niepodległości nigdzie nie stanęło popiersie Róży Luksemburg, jednej z matek nowoczesnej państwowości, a pomnik noblistki Marii Skłodowskiej-Curie stoi w krzakach na warszawskiej Ochocie. Nie wspominam nawet o upamiętnieniu ofiar antygejowskiej akcji »Hiacynt« z 1986 r. czy o pomniku przypominającym zniesienie pańszczyzny. Nawet nie próbuję myśleć o pomniku ofiar księży pedofilów”.

Inna dziennikarka „GW” Żaneta Gotowska pisała na Twitterze: „Nie widzę niczego złego w tym, że w nocy obalono pomnik ks. Jankowskiego. Ktoś zdecydował, by go wywyższyć w taki sposób. Inni, mając na uwadze jego »czynny«, postanowili pomnik obalić. Pamiętajmy teraz o innych pomnikach. JPII, wg wielu tak krystaliczny, też ma sporo pomników”. W kolejnym tweecie Gotowska dodała: „Daję tylko sygnał, żeby państwo znalazło rozwiązanie, bo w Polsce wiele jest pomników, które mogą budzić podobne emocje”. Trudno było te słowa interpretować inaczej niż zapowiedź, że po monumencie ks. Jankowskiego – „emocje” mogą budzić pomniki Jana Pawła II jako domniemanego obrońcy pedofilów.

W centrum Starogardu – rodzinnego miasta proboszcza św. Brygidy – pomnik JP II oblano czerwoną farbą. W Tarnowie i Poznaniu zawieszono na statucach papieża Polaka napisy: „Kryłem pedofilów”. Na razie te ataki są anonimowe. Za jakiś czas jednak, gdy np. w Watykanie zwycięży opcja chcąca obciążyć papieża Polaka winą za zamykanie pedofilii pod dywan, sytuacja może się zmienić. Sprawcy takich ataków

mogą demonstracyjnie sami zgłosić się na policję – tak jak uczynili to aktywiści, którzy obalili pomnik ks. Jankowskiego.

Kolejnymi pomnikami do obalenia przez radykalną lewicę mogą być pomniki żołnierzy wyklętych. Już teraz są uszkadzane w wielu miejscach kraju. Pikieta KOD, która próbowała zatrzymać tegoroczny Marsz Pamięci żołnierzy wyklętych w Warszawie, to niepokojący zwiastun trwającej już od pewnego czasu tendencji.

WOLNOŚĆ, KTÓRA LUBI ZAKAZYWAĆ

Wśród postulatów Wiosny w stosunku do obecności religii w szkołach można znaleźć jeden bardzo znamienity: „Koniec zwalniania z zajęć powodu rekolacji”. To dobry przykład, jak formalnie wolnościowa lewica gładko przechodzi do zakazywania. Pokolenia pamiętające komunizm dobrze zna tę wrodzoną skłonność dawnego ustroju.

Teraz w rolę „ostrzegacza”, ale – w razie zdobycia władzy – egzekutora kar, wciela się lewica. Postuluje rugowanie religii ze szkół, kary za krytykę działań homoseksualistów czy blokowanie legalnych marszów. Niedawno sąd w Warszawie uznał blokadę zarejestrowanego marszu narodowców za działanie „nienaruszające interesu społecznego”. Wszystko to oczywiście pod chwytnym hasłem walki z nienawiścią.

Powagę sytuacji zdają się rozumieć jedynie stowarzyszenie Ordo Iuris, Fundacja Mamy i Taty czy powołany niedawno Ruch 4 Marca, który chce walczyć o prawa warszawskich rodziców do wychowywania dzieci według swej woli.

Nietrudno zgadnąć, że nowa lewica rozpocznie walkę prawną z takimi przeciwnikami. Robert Maślak z partii Razem już ogłasza, że Ordo Iuris to ugrupowanie fundamentalistyczne i piętnuje jego rzekome związki z sektami funkcjonującymi na świecie. Maślak pisze: „Tego typu organizacje mogą okazać się niebezpieczne dla porządku prawnego w Polsce”.

Jeśli PO z Wiosną przejmą rządy – to lewica będzie dopingowała nowe władze do administracyjnej walki z ich przeciwnikami ideologicznymi. Mogą liczyć na poklask Rady Europejskiej, wsparcie wiodącej części mediów i surowość „rozgrzanych sędziów”. To na razie tylko wizja. Rausz lewicy i odwetowe nastroje są już jednak faktem.

Robert Biedroń jeździ po kraju z hasłem: „Inna polityka jest możliwa”. Co to może oznaczać w praktyce, widać już w Warszawie.



Z Barbarą Nowak,
małopolską kurator oświaty
rozmawia Piotr Włoczyk

Nadciągą wielkie zagrożenie dla dzieci



FOT. JAKUB PORCZYŃSKI/AGENCJA GAZETA

PIOTR WŁOCZYK: „Czy Rafał Trzaskowski poinformował, czym LGBT jest naprawdę? Czy wspomniał, że to propagowanie m.in. pedofilii? Sprzedaje się ludziom kłamstwa, że to walka o równe prawa dla homoseksualistów. Warszawa-cy, dlaczego godzicie się na krzywdzenie waszych dzieci?” – tak brzmi pani wpis na Twitterze, który rozpętał burzę. Co konkretnie miała pani tu na myśli?

BARBARA NOWAK: Chciałam zaalarmować wszystkich rodziców, którzy mają dzieci w wieku szkolnym. To mój obowiązek jako kuratora oświaty. Podpisana przez prezydenta Warszawy tzw. warszawska deklaracja LGBT+ grozi bowiem wprowadzeniem do szkół zupełnie nowego, wręcz rewolucyjnego modelu edukacji seksualnej.

Dokument, na podstawie którego ma być realizowana ta edukacja, zawiera zapisy, które bulwersują osoby dorosłe niezależnie od wyznawanego światopoglądu. Mam na myśli „Standardy edukacji seksualnej w Europie”, który został przygotowany przez europejski oddział Światowej Organizacji Zdrowia (WHO) i który promuje treści ewidentnie propedagogiczne.

Wyjaśnijmy od razu: Czy utożsamia pani homoseksualizm z pedofilią? Wiele osób właśnie to wyczytało z pani wpisu na Twitterze.

Oczywiście, że nie. Homoseksualizm nie jest tożsamy z pedofilią. W tweecie nawiązałam do tego, co zrobił prezydent Trzaskowski, który połączył LGBT z edukacją seksualną według standardów WHO. Pewnie można było trochę inaczej sformułować myśl, żeby nikt nie miał żadnych wątpliwości w sprawie sensu mojej wypowiedzi. Standardy WHO, do których odwołuje się środowisko LGBT poprzez warszawską deklarację LGBT+, to w istocie promocja w szkołach treści pedofilskich.

Sednem mojej wypowiedzi była chęć obrony dzieci przed wielkim zagrożeniem, które nadciąga, a z którego większość rodziców kompletnie nie zdaje sobie sprawy.

Najważniejsze, że odniosłam tu sukces, bo mnóstwo osób zainteresowało się tym skandalicznym dokumentem i widzi teraz, jak wielkie niebezpieczeństwo grozi polskim dzieciom.

Niestety, trudno mi tu z panią polemizować. Autorzy dokumentu WHO na wstępie ustawiają go w kontrze do „tradycyjnie pojmowanej edukacji

seksualnej”. Chyba najbardziej przerażający fragment dotyczy informacji, jakie mają być przekazane dzieciom w przedziale 0–4 lata: „Radość i przyjemność z dotykania własnego ciała, masturbacja w okresie wczesnego dzieciństwa”. Z kolei dla dzieci w przedziale 6–9 lat eksperci WHO zalecają przekazanie „podstawowych wiadomości dotyczących antykoncepcji”. Nie trzeba być purytaninem, żeby się przerazić.

To najbardziej zatrważające fragmenty, ale szokujących treści jest tam dużo więcej. Eksperci WHO stwierdzili np., że jeżeli dziecko ma dziewięć lat, to należy mu już przekazać wiedzę na temat różnorodności zachowań seksualnych... W dokumencie jasno jest napisane, że dziecko ma być nauczane uzyskiwania nowych doświadczeń seksualnych. Jak nauczyciel ma uczyć takich rzeczy, a potem sprawdzić, czy dziecko posiadało taką wiedzę? Przecież w polskim prawie nie wolno nakierowywać na czynności seksualne dziecka poniżej 15. roku życia. Zachęcam wszystkich do ściągnięcia z Internetu tego dokumentu i ocenienia jego treści. Wystarczy wpisać w wyszukiwarkę: „Standardy edukacji seksualnej w Europie”.

Zachęcanie dzieci w pierwszych latach życia do rozbudzania sfer erotycznych to

wypaczanie ich psychiki. Taka seksualizacja najmłodszych przez dorosłych to krzywdzenie i odzieranie dzieci z godności.

Podstawówkę skończyłem wprawdzie 20 lat temu, ale nie wyobrażam sobie, by dzisiejszym nauczycielom przeszły przez gardło takie rzeczy na lekcjach z dziewięciolatkami.

Niestety, seksedukatorki coraz częściej pojawiają się – pod różnymi pretekstami – w polskich szkołach. Przynoszą ze sobą „pomoce naukowe”, takie jak np. „Wielka księga cipek” czy „Wielka księga siusiaków”. Tytuły mówią same za siebie – to skrajnie lewicowe publikacje. Proszę mi wierzyć, że seksedukatorki bez problemu są w stanie realizować wytyczne WHO.

Jeszcze ktoś sobie pomyśli, że pani w ogóle nie chce, by w szkołach pojawiały się rozmowy o seksie.

Oczywiście, że trzeba rozmawiać z młodzieżą o ludzkiej seksualności. I dlatego mamy program lekcji wychowania do życia w rodzinie (WDŻ). Treści są tu dostosowane do wieku, dziecko dowiaduje się stopniowo o najważniejszych etapach rozwoju człowieka. Ważny jest też cel – założenie w przyszłości rodziny.

Pokazujemy życie seksualne jako ważną część ludzkiego życia, ale nie jedyną. Na lekcjach nauczyciele tłumaczą, że seks powinien być łączony z prawdziwą miłością, bo w przeciwnym razie człowiek może zostać skrzywdzony. WDŻ nie zachęca uczniów do wczesnego rozpoczynania współżycia, do takich decyzji trzeba dojrzeć.

Chce pani powiedzieć, że uczniowie powinni czekać ze współżyciem do pełnoletności? Ile razy słyszała już pani w tym kontekście słowo „średniowiecze”?

(Śmiech) Bardzo często, ale nie biorę tego do siebie. Oczekuję takiej samej tolerancji na moje poglądy jak seksedukatorki, które mają kompletnie inne zdanie w tej sprawie. Nawiasem mówiąc, jestem historykiem i wiem, jak wspaniałą epoką było średniowiecze. Polska w średniowieczu zafunkcjonowała w kręgu cywilizacji chrześcijańskiej Europy.

Wierzący czekają ze współżyciem do ślubu, ale reszta młodzieży również nie powinna przyspieszać inicjacji. Nie boję się mówić młodzieży, że chwilowe fascynacje nie są najlepszym momentem, by rozpoczynać życie seksualne. Tak, warto poczekać do pełnoletności na trwałe uczucie, kiedy współżycie jest pięknym uwieńczeniem relacji między kobietą i mężczyzną.

W związku z protestami wobec wprowadzania do szkół standardów WHO prezydent Trzaskowski odpowiedział na Facebooku: „Upubliczniane treści są jawną manipulacją i kłamstwem. Standardy WHO to nie program lekcji – opisują one etapy rozwojowe dziecka zgodnie z wiedzą medyczną. Są zaleceniem dla rodziców, pedagogów i specjalistów, stosowanym w większości rozwiniętych państw świata”. Czyli program lekcji w warszawskich szkołach nie będzie tak wyglądał, to tylko „zalecenia”. To nie zamyka dla pani tematu?

Nie. Żeby oficjalnie wprowadzić taką „edukację seksualną” do szkół, trzeba by zmienić program. Obecny rząd na pewno na to nie pozwoli. Natomiast zagrożeniem są różnego rodzaju organizacje zewnętrzne, które pojawiają się w szkołach pod pozorem przeprowadzania „zajęć dodatkowych”, jak choćby darmowa nauka języka. Wielu dyrektorów szkół często kompletnie nieświadomie zgadza

Wierzący czekają ze współżyciem do ślubu, ale reszta młodzieży również nie powinna przyspieszać inicjacji

się w ten sposób na wpuszczanie ludzi, którzy chcą seksualizować nasze dzieci. To, czego nie można zrobić oficjalnie, robi się więc po cichu, korzystając z różnych furtek. Jeżeli prezydent stolicy podpisał się w deklaracji pod „zaleceniami” WHO, to jest to zielone światło dla ludzi, którzy chcą jak najszybciej wprowadzać dzieci w świat seksu. Nawiasem mówiąc, właśnie w Krakowie pojawiły się podobne pomysły. Widać, że ta epidemia rozchodzi się po Polsce. Nie wolno nam bagatelizować tych zagrożeń.

Czy wprowadzanie do szkół instytucji „latarnika” to dobry pomysł? Warszawska deklaracja LGBT+ zawiera taki postulat. „Latarnicy” mają pomagać tym uczniom „nieheteronormatywnym”, którzy przeżywają trudności związane ze swoją orientacją.

To jest zły pomysł, nie zgadzam się na segregowanie uczniów pod kątem seksualności. Nauczyciele powinni patrzeć na uczniów całościowo i pomagać im w każdym problemie. Tymczasem dla „latarników” mają się liczyć tylko uczniowie homoseksualni. To kompletne zubożenie w postrzeganiu człowieka.

Zwolennicy zmian powołują się jednak na wyniki badań, z których ma wynikać, że ok. dwóch trzecich uczniów o skłonnościach homoseksualnych ma myśli samobójcze. To nie jest dla pani ważny argument?

Po pierwsze – czy te badania były przeprowadzone rzetelnie, czy tylko służą do celów propagandowych? Po drugie – cały czas trzymam się zasady, że nie segregujemy uczniów. Pod żadnym kątem, również orientacji seksualnej. To szukanie na siłę podziałów i – jeszcze raz to podkreślę – jest to sprowadzanie ludzkiego życia do jednej sfery. Nie zamykam oczu na rzeczywistość, bo jeżeli uczeń ma jakiegokolwiek problemy, to nauczyciel musi się nad nimi pochylić i starać się pomóc, ale wyciąganie orientacji seksualnej na pierwszy plan w młodym wieku szkodzi rozwojowi dziecka. Takie są fakty.

Walka z wytycznymi WHO wygląda na niełatwe zadanie. Bo przecież kto by się sprzeciwiał zaleceniom ekspertów Światowej Organizacji Zdrowia?

Tak, to spory problem, że WHO firmuje takie treści. Nie dziwię się więc, że wiele osób bardzo nerwowo reagowało na moje słowa. Słowo „pedofilia” jest bardzo mocne i wielu osobom nie mieści się w głowie, że WHO podpisywałaby się pod dokumentem, w którym znalazłyby się treści zakładające seksualizację kilkulatków. Jednak tak się niestety stało.

Pytanie tylko, po co powstały te wytyczne?

Ja patrzę na to jak na neomarksistowską rewolucję, która ma pogrzebać tradycyjne społeczeństwo. Najłatwiej zrobić to poprzez zniszczenie dzieci, skrzywienie ich psychiki, przez co w przyszłości fundament każdego zdrowego społeczeństwa – rodzina – będzie coraz słabszy.

Jeżeli chce pani walczyć z dokumentem WHO, to takimi argumentami chyba nie trafi pani do ludzi z centrum i z lewicy.

Być może dla niektórych brzmi to jak teoria spiskowa, ale ta rewolucja to fakt. A dokument WHO, o którym rozmawiamy, jest namacalnym dowodem, że ktoś chce bardzo zaszkodzić dzieciom.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Barbara Nowak jest małopolską kurator oświaty (od 2016 r.). Ukończyła historię na UJ, przez wiele lat pracowała jako nauczycielka historii i dyrektorka szkoły podstawowej. W latach 2010–2016 była krakowską radną z ramienia PIS.



Wojciech Wybranowski

Ksiądz Jankowski celowo pomawiał zasłużonego opozycjonistę, by odsunąć od siebie oskarżenia o współpracę z SB – wynika z informacji „Do Rzeczy”. Kim naprawdę był proboszcz Świętej Brygidy?

Kontrowersje i spekulacje, podejrzenia i wątpliwości co do zachowań ks. Henryka Jankowskiego, legendarnego kapelana Solidarności, pojawiały się od lat. Jedni wyrzucali mu sybarycki styl życia, wulgarność, kontrowersyjne gesty i zachowania o charakterze seksualnym, inni wskazywali na charytatywną działalność i jego niewątpliwe zasługi dla podziemnej Solidarności. W ostatnich dniach oskarżenia o pedofilię i współpracę z SB przybrały na sile. Ile jest w nich prawdy?

ZAGADKA „DELEGATA”

Jesień 2006 r. Do mediów przedostają się szczątkowe informacje o tym, że w otoczeniu Solidarności i najwyższych hierarchów Kościoła w Polsce działał agent Służby Bezpieczeństwa. O wtyczce bezpieki wiadomo niewiele poza pseudonimem Delegat. W mediach pojawiają się dywagacje, kto mógł nim być, padają różne nazwiska.

Uaktywniają się też przyjaciele ks. Henryka Jankowskiego, wówczas proboszcza parafii św. Brygidy w Gdańsku. Do dziennikarza Krzysztofa Kaźmierczaka, wówczas związanego z „Głosem Wielkopolskim”, dzwoni historyk Peter Raina, współpracownik ks. Jankowskiego, z propozycją, by w tej właśnie sprawie spotkał się z prałatem.

– Umówiłem się z ks. Jankowskim, a on mówi mi, że jego zdaniem ów konfident SB to Romuald Kukołowicz – opowiada Krzysztof Kaźmierczak w rozmowie z „Do Rzeczy”. Kukołowicz to były żołnierz AK, zasłużony opozycjonista, wiceminister pracy w rządzie Olszewskiego. Nigdy nie współpracował z SB.

– Ksiądz Jankowski mówił, że Kukołowicz był delegatem prymasa w Solidarności i że pewnie stąd taki pseudonim. Chciał puścić fałszywkę, rzucić podejrze-



FOT. JAN ZDZISZEWSKI (P/EAST NEWS)

nia na niewinnego człowieka. Świadomie i celowo odsuwał podejrzenia od siebie, wprowadzał mnie w błąd – mówi nam dziennikarz, który opublikował opinię zarówno Kukołowicza, jak i – Jankowskiego.

W 2009 r. historycy IPN – Grzegorz Majchrzak i Piotr Gontarczyk – dotarli do materiałów SB znajdujących się w archiwach IPN. Wskazywały, że ks. Henryk Jankowski jako kontakt operacyjny „Libella”/„Delegat” przekazywał informacje komunistycznej Służbie Bezpieczeństwa. – Ksiądz Jankowski nie był tajnym współpracownikiem, był kontaktem operacyjnym. Sprawa jest o tyle skomplikowana,

czynienia z wykwalifikowanym agentem politycznym, który w trójkacie bezpieczeństwa-Kościół-Solidarność ma wpływ na układ sił w Solidarności, postrzeganie działań Solidarności przez prymasów Polski i kreuje niektóre działania w porozumieniu z SB. Opisywał w rozmowach z SB stanowisko prymasa, układ sił wokół Wałęsy w Solidarności, pomagając mu – na prośbę SB – w neutralizacji przeciwników – twierdzi historyk prof. Sławomir Cenciekiewicz.

Nasz rozmówca jako przykład przytacza operację o kryptonimie Sejmik prowadzoną przez MSW przed I Krajowym Zjazdem Delegatów NSZZ „Soli-

rządów PO-PSL. Borusewicz twierdzi dziś, że ks. Jankowski na niego donosił.

– Nie znalazłem dokumentów, które by potwierdzały, że ks. Jankowski donosił na Bogdana Borusewicza. Jeśli się spojrzy na informacje, które SB uzyskiwała od ks. Jankowskiego, to dotyczą one okresu tzw. karnawału Solidarności, nie ma tam informacji dotyczących podziemnej Solidarności. Nie ulega też wątpliwości, że Jankowski po wprowadzeniu stanu wojennego wspierał podziemie, stając się z czasem człowiekiem instytucją w Gdańsku – mówi Grzegorz Majchrzak. Zaznacza, że w drugiej połowie 1982 r. i na początku 1983 r. SB patrzyła już bardzo krytycznie na działalność ks. Jankowskiego, był formułowany przeciw niemu akt oskarżenia. Doszło też do tajemniczego śmiertelnego wypadku jego kierowcy.

W esbeckich materiałach dotyczących ks. Jankowskiego nie ma informacji o pociągu ks. Jankowskiego do młodych chłopców. Zdaniem ekspertów, gdyby esbecja zaobserwowała takie zachowania, wykorzystałaby je do werbunku jako TW, nie zaś „jedynie” w roli kontaktu operacyjnego.

ŚLEDZTWO Z WĄTPLIWOŚCIAMI

Pierwsze doniesienia o rzekomych pedofilskich skłonnościach ks. Jankowskiego pojawiły się w 2004 r., po publikacji „Gazety Wyborczej” opisującej historię 16-letniego Sławomira R., który wielokrotnie nocował na plebanii w parafii ks. Jankowskiego. Matka chłopaka twierdziła, że jej syn miał być molestowany przez kapłana. Przyznała jednak, że widziała jedynie, jak ksiądz całuje jej syna na pożegnanie. Śledztwo wszczęła gdańska prokuratura. A po informacjach, że prowadzący postępowanie prok. Ryszard Paszkiewicz jest synem ostatniego szefa SB w Gdańsku, postępowanie przeniesiono do Elbląga.

– Chodziło o to, by nie było zarzutów, że sprawa jest prowadzona stronnictwo, by nie było jakichkolwiek argumentów przeciw działaniom prokuratury – mówi „Do Rzeczy” Janusz Kaczmarek, w tamtym okresie szef Prokuratury Apelacyjnej w Gdańsku. Tą sprawą dobrze pamięta. – Nie było żadnych nacisków na prokuraturę czy na mnie, z żadnych środowisk, by sprawę prowadzić tak lub inaczej – podkreśla.

Wątpliwości co do pracy elbląskiej prokuratury jednak pozostały. Dlaczego? Ponieważ przez wiele tygodni tamtejsi śledczy nie zainteresowali się 21-letnim Piotrem J. pochodzącym z małej

Sekrety prałata

że w mojej ocenie ks. Jankowski był jednocześnie – używając języka potocznego, a nie terminologii SB – potencjalnie najcenniejszym agentem wpływu SB na styku Solidarności z Kościołem – mówi „Do Rzeczy” dr Grzegorz Majchrzak z IPN.

KONFIDENT I OPOZYCYJNISTA

Dla wielu ludzi znających proboszcza parafii św. Brygidy z czasów podziemnej Solidarności sugestia, że jednocześnie kołaborował z esbecją, jest nie do przyjęcia.

– Rozmawiał z esbekami, wszyscy, którzy u niego bywaliśmy, wiedzieliśmy o tym. Przychodzili, wypytawali, nie mógł odmówić rozmowy. Ale na pewno nie donosił, prowadził swoją grę z nimi, by nam pomagać – uważa Mariusz, były działacz Solidarności w czasach komuny, kibic Lechii Gdańsk.

– To bzdury. Jankowski nie był typowym OZi. Nie zajmował się „błahostkami” w rodzaju: ten drukuje ulotki, ten słucha RWE, a tamten zdradza żonę. Mamy do

darność” we wrześniu 1981 r. Wydział III KWMO w Gdańsku chciał wówczas wyeliminować ze składu delegatów osoby by nastawione konfrontacyjnie wobec PRL-owskiej władzy i uznane za radykałów. – „Delegat” nie tylko jest wówczas ważnym OZi bezpieczeństwa, lecz także odgrywa w zakulisowych rozgrywkach zjazdowych rolę inspiratora i pomagiera SB w całym procesie ochrony pozycji Wałęsy – uważa Cenciekiewicz.

Z nielicznych zachowanych raportów SB dotyczących współpracy z ks. Jankowskim może wynikać, że przynajmniej część działań udawało im się realizować właśnie poprzez niego. Nie sposób jednak jednoznacznie stwierdzić, czy zlecano mu zadania, czy nim manipulowano.

Wśród dzisiejszych obrońców ks. Henryka Jankowskiego są m.in. Lech Wałęsa, a także Aleksander Hall. Wśród gorących przeciwników znalazł się natomiast inny z byłych opozycjonistów – Bogdan Borusewicz, marszałek Senatu w okresie

■ miejscowości pod Gdańskiem, który jako 14-latek podczas ucieczki z domu przebywał na plebanii ks. Jankowskiego. Mężczyzna wysłał do prokuratury list, w którym informował, że chciałby opowiedzieć o tym, co miało go spotkać ze strony duchownego. Przez sześć tygodni nie doczekał się żadnej reakcji śledczych. Na przesłuchanie wezwano go dopiero po publikacji „Gazety Poznańskiej”, która wytknęła prokuraturze opieszałość.

W grudniu 2004 r. elbląska prokuratura umorzyła śledztwo w sprawie domniemanego molestowania byłego ministranta z parafii św. Brygidy w Gdańsku, a także Piotra J. Uznano, że chłopcy nie byli molestowani. – Prawda ujrzała światło dzienne; poczułem ulgę, ale nie w pełni – komentował ks. Jankowski.

Dwa lata później Piotr J. oskarżył o gwałt Krzysztofa Janika z SLD. Prokuratura uznała opowieści mężczyzny za niewiarygodne, a jego samego za konfabulanta. Weryfikacja opowieści Piotra J. pokazała, że wielokrotnie mijał się z prawdą.

– O umorzeniu postępowania zdecydowała opinia seksuologa prof. Lwa-Starowicza, a także to, że jeden z głównych świadków, chłopiec, który rzekomo miał być molestowany, wycofał się z takich twierdzeń. Z jego zeznań wynikało, że nie doszło do działań, które można by kwalifikować jako molestowanie seksualne, ale jedynie do pocałunku – wspomina były szef gdańskiej apelacji.

W wydanej w 2004 r. na użytek prokuratury opinii Lew-Starowicz pisał, że zachowania polegające na całowaniu w usta, klepaniu po pośladkach, przyciąganiu mocno do siebie „w wielu przypadkach nie mają charakteru seksualnego, bywają formą okazywania bliskości”. Tymczasem niedawno prof. Lew-Starowicz wyznał w jednym z wywiadów w mediach, że zdiagnozował wówczas u ks. Jankowskiego efebofilie, czyli pociąg do młodych mężczyzn.

Wiadomo jednak, że opinie seksuologa, a także biegłej psycholog, przesądzające o umorzeniu sprawy i stwierdzające u kapłana efebofilie, zostały wydane wyłącznie na podstawie akt, bez badania kapłana czy rozmów z jego domniemanymi ofiarami.

PEDOFIL CZY PRZYTULAS?

Już po śmierci ks. Jankowskiego jeden z jego najbliższych przyjaciół Peter Raina wydał książkę „Ostatnia bitwa prałata” zawierającą materiały z prokuratorskiego śledztwa. Ma dowodzić, że ks. Jankowski

został niewinnie pomówiony, jednak z opublikowanych materiałów wynika, iż ks. Jankowski rzeczywiście często przytulał, klepał po pośladkach i całował przebywających u niego młodych mężczyzn. Z mieszkającym w Niemczech Peterem Rainą nie udało nam się porozmawiać.

Sprawa kontrowersyjnych zachowań ks. Jankowskiego w relacjach z młodymi ludźmi wróciła w grudniu ubiegłego roku, ponownie za sprawą „Gazety Wyborczej”, która na łamach „Dużego Formatu” opisała historię Barbary Borowieckiej, rzekomo jednej z ofiar ks. Henryka Jankowskiego. Kobieta twierdzi, że wiele lat temu ks. Jankowski, jeszcze jako wikariusz ze św. Barbary na Dolnym Mieście, miał ją wielokrotnie molestować. Opowiedziała też historię swojej przyjaciółki, która rzekomo będąc w ciąży z ks. Jankowskim, miała popełnić samobójstwo. Gazeta, publikując opowieść, nie ustaliła, czy historia jest prawdziwa

Sprawa kontrowersyjnych zachowań ks. Jankowskiego w relacjach z młodymi ludźmi wróciła w grudniu ubiegłego roku, ponownie za sprawą „Gazety Wyborczej”

i czy domniemana ofiara ks. Jankowskiego w ogóle istniała. Z artykułu wynika też, że ks. Jankowski miał molestować również nieletnich chłopców.

Po publikacji „GW” grupa mężczyzn przewróciła pomnik ks. Henryka Jankowskiego znajdujący się nieopodal kościoła św. Brygidy w Gdańsku przy ul. Stolarskiej.

Wśród osób oskarżających ks. Jankowskiego o pedofilię i domagających się usunięcia jego pomnika są politycy i publicyści lewicy, m.in. Joanna Scheuring-Wielgus, Agata Diduszko i dziennikarz „GW” Wojciech Czuchnowski. Były działacz podziemnej „S” Jan Rulewski zażądał powołania specjalnej kościelnej komisji śledczej. Powołania komisji ds. pedofilii w kościele chcą też Fundacja „Nie lękajcie się” i stowarzyszenie Lepsizy Gdańsk. Z kolei nowo wybrana prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz chce, by pomnik ks. Jankowskiego zniknął z przestrzeni publicznej.

Prałat Jankowski ma też swoich obrońców. – Niech ci tchórze, którzy przyjeżdżają w nocy, przyjdą w dzień. My na nich zaczę-

kamy. Prałat tu był i będzie, i nic tego nie zmieni. [...] Tu jest prawdziwa Solidarność. I solidarność z człowiekiem, który nie bał się w 1980 r. przyjść do stoczniovców – komentował Piotr Duda, obecny lider NSZZ „Solidarność”.

– Byliśmy zaprzyjaźnieni i uwierzcie mi, nie wyobrażam sobie zwycięstwa Solidarności, mojej kariery, bez ks. Jankowskiego. W ogóle nie mieści mi się w głowie, że jest możliwe, to, co mu zarzucają. Czekam na dowody – mówił z kolei Lech Wałęsa podczas spotkania z sympatykami KOD w Kielcach.

Z kolei Mariusz Olchowik, były prezes Instytutu ks. Jankowskiego (został odwołany w atmosferze skandalu), twierdził w rozmowie z „Rzeczpospolitą”, że oskarżenia przeciwko prałatowi to kłamstwa, a on sam, mieszkając z ks. Jankowskim, „nigdy nie zauważył anomalii”.

W mediach pojawiły się kolejne osoby twierdzące, że w dzieciństwie były skrzywdzone przez prałata Henryka Jankowskiego. Telewizja TVN dotarła do mężczyzny, który jako młody chłopak, uczestnicząc w strajku w Stoczni Gdańskiej, miał być przez ks. Jankowskiego przytulany, kapłan miał też próbować go pocałować. Wirtualna Polska pisała o dwóch mężczyznach, którzy mieli być molestowani w czasach, gdy byli ministrantami prałata Jankowskiego.

Czy opowieści osób, które blisko dziewięć lat po śmierci ks. Jankowskiego opowiadają o tym, że miały być przez niego molestowane, brzmią wiarygodnie?

– Jest pytanie, czy mamy do czynienia z sytuacją, w której ktoś, faktycznie nosząc traumę, jednak postanawia z siebie to wyrzucić, czy chodzi o jakieś korzyści materialne bądź wywarcie negatywnego stosunku wobec określonego środowiska lub osób pełniących posługę kapłańską – uważa Janusz Kaczmarek, były prokurator krajowy. Przyjaciel rodziny ks. Jankowskiego – Grzegorz Pellowski – poinformował, że siostry kapłana Solidarności zamierzają pozwać „GW” za tekst o domniemanej pedofilii księdza.

Gdańska Kuria Metropolitalna stwierdziła, że w ciągu ostatnich 10 lat nie wpłynęły do niej żadne doniesienia potwierdzające podnoszone przez media zarzuty przeciwko ks. Jankowskiemu. Zarazem zadeklarowała, że jest gotowa podjąć próbę zbadania sprawy.

W czwartek Rada Miasta Gdańska odebrała honorowe obywatelstwo miasta ks. Jankowskiemu. © Wszelkie prawa zastrzeżone

ALEKSANDRA GINTROWSKA | JULIA GINTROWSKA | PAULINA GROCHOWSKA | RENATA PRZEMYSK
ŁUKASZ DRAPAŁA | MAREK PIEKARCZYK | JAKUB WOCIAŁ | KRZYSZTOF KILJAŃSKI
ORAZ ORKIESTRA POLSKIEJ FILHARMONII BAŁTYCKIEJ POD BATUTĄ JANA STOKŁOSY

*Niezapomniany
koncert*

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

Do wierszy Zbigniewa Herberta

GDAŃSK

POLSKA FILHARMONIA BAŁTYCKA IM. FRYDERYKA CHOPINA

18 MARCA 2019

GODZ. 20.00



Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

BILETY DOSTĘPNE
W KASACH FILHARMONII BAŁTYCKIEJ

Bilety²⁴

WWW.BILETY24.PL

WWW.GINTROWSKI.PL | /GINTROWSKI.PRZEMYSŁAW | #GINTROWSKI

niepodległa

Projekt realizowany w ramach obchodów
stulecia odzyskania niepodległości
oraz odbudowy polskiej państwowości

MECENAS KONCERTU:



PARTNERZY:



PATRONI MEDIALNI:



eprasa.pl 96ac3a668f



FOT. ANDRZEJ JULIANKA/FOTUM

Tęczowa Platforma



Rafał A. Ziemkiewicz

PO za sprawą Koalicji Europejskiej zmienia wizerunek na partię agresywnych perwersów wdzierających się do szkół, profanujących pamięć ofiar komunizmu i dyszących żądzą zemsty na „PiS-owcach”. Dokąd ich to zaprowadzi?

Zawiązanie antypisowskiej koalicji ze skrajną lewicą wyjdzie jeszcze Platformie bokiem. Minęło zaledwie parę tygodni, a już widać, że sprawy mają się odwrotnie, niż zapewne wyobrażali to sobie działacze PO, przekonani, że „połkną” nowe przystawki równie łatwo jak kanapowe ugrupowanie Barbary Nowackiej.

To znaczy pod względem, powiedzmy, „organizacyjnym” tak zapewne będzie. Można w krótkich dziejach III RP znaleźć wiele dowodów na to, że mając dwa byty, które uznają za podobne – a partie w koalicji upodabniają się nieuchronnie – wyborcy przerzucają głosy na ten, który uważają za silniejszy i skuteczniejszy. Grzegorz Schetyna zakłada niewątpliwie, że po eurowyborach SLD i PSL, o mniejszych podmiotach nie mówiąc, będą już musiały pozostać w obozie „zjednoczonej opozycji” i to na wszystkich warunkach, jakie on im podyktuje – sondaże będą

bowiem pokazywać, że ewentualne odłączenie się i start samodzielny to wynik poniżej progu wyborczego i zniknięcie ze sceny politycznej.

Chyba jednak, ufny w posiadane przez jego partię pieniądze, struktury i wpływy w samorządach, zupełnie nie wziął pod uwagę czynnika wizerunkowego. Nijaka programowo PO, niepotrafiąca od trzech lat wygenerować niczego poza tyleż historycznym, co jałowym oprotestowywaniem każdego ruchu PiS, nawet zgodnego z dawnymi działaniami i obietnicami samej PO, weszła w sojusz ze środowiskami wprawdzie słabszymi organizacyjnie, ale bardzo radykalnymi, wyrazistymi, stawiającymi skrajne, budzące emocje postulaty. Na dodatek cieszącymi się dużo większą sympatią antypisowskich salonów i mediów niż pozbawieni charyzmy czy wręcz uznawani tam milcząco za „obciachowych” politycy PO – a więc usilnie przez

antypisowskie elity, w obrębie własnego obozu, promowanych.

Efekt jest taki, jakby do butelki wody dolano kieliszek intensywnie czerwonego barwnika.

@

O sile Platformy Obywatelskiej w czasach, gdy jej potęgą wydawała się nie do podważenia, decydowało umiejętnie ustawienie się na pozycji „zdrowego rozsądku” pomiędzy „ekstremizmami” – lewicowym, postkomunistycznym, przypisanym przez Tuska SLD i pomniejszonym jaczekom, oraz prawicowym, „PiS-owskim”. Jedni chcą konserwować przeżytki komunizmu i narzucać jakieś ideologiczne szaleństwo, drudzy stale kogoś ścigają, „rozliczają” i chcą nas skonfliktować w Brukseli, Berlinie i Moskwie – a my tu w PO jesteśmy dalecy od szaleństw, w ogóle nie robimy żadnej polityki, tylko zamiast niej, „mając trzysta miliardów z Unii”, budujemy drogi, mosty i stadiony. Spokój, obywatele, zadowolenie, obywatele, bezpieczeństwo...

Przyjęto się tu mówić o „cieplej wodzie w kranie”, choć w istocie należałoby raczej o „ciepłych kluchach”, bo tak właśnie zdągnął Tusk temperament przeciętnego wyborcy – „liberalno-konserwatywnego socjaldemokraty”, pragnącego przede wszystkim spokojnie się dorabiać. Warto zresztą pamiętać, że w ciągu pierwszych

czterech lat rządów fundusze unijne, łatwo dostępne dzięki nim kredyty oraz pieniądze przysyłane przez pracujących w Unii Polaków rodzinom w kraju dały PO do rozporządzenia piąty, dodatkowy PKB. Przy takim zalewie pieniędzy Tuskowa doktryna niezamącania błogości była z punktu widzenia politycznego marketingu bardzo racjonalna; tylko nieliczni rozumieli, że marnowane są niepowtarzalne szanse i kiedyś przyjdzie tych „czasów zastoju” pożałować.

Częścią takiej polityki było, potocznie mówiąc granie sobie w kulki z liberalnymi salonami. Ważne dla nich postulaty obyczajowej rewolucji Tusk akceptował, ale tylko werbalnie, nie robiąc absolutnie niczego dla ich realizacji. Wiedział doskonale, że środowiska te, zapędziwszy się w antypisowską histerię, i tak muszą go popierać i nie musi im się za to poparcie odpłacać niczym poza pozorami. Ukoronowaniem starannie ukrytego lekceważenia postulatów „elit” była reakcja Tuska na wręczony mu publicznie, z zaskoczenia, list wielu „autorytetów” domagających się rozmaitych koncesji dla „środków kulturalnych”. Tusk demonstracyjnie dopisał swoje nazwisko do sygnatariuszy i zwrócił dokument autorom, kierując ich do stosownego ministra.

Niechęć Tuska do poddawania się postulatowi radykałów szła tak daleko, że ostatecznie wolała dopuścić do „wypączkowania” z PO partii Palikota. Jej 10-procentowy wynik w wyborach roku 2011 wprowała liberalną lewicę w stan bliski lewitacji – „udał nam się Palikot”, triumfował Piotr Pacewicz we wstępie „Wyborczej”. Salony odczytały ten wynik jako dowód na to, że zacošana Polska wreszcie wchodzi na drogę przebyta już przez Zachód i od tej pory popularność skrajnej lewicy może tylko rosnąć. Rzeczywistość przyznała jednak rację Tuskowi, Palikot wygrał dzięki wizerunkowi biznesmena i self-made mana, trochę też dzięki oczekiwaniu na „coś nowego”, które skonsumował później Kukiz, a nie dzięki wzięciu na listy Anny Grodzkiej i Roberta Biedronia. Gdy zdecydowanie przesunął swój wizerunek ku antyklerykalizmowi i LGBT, szybko swą chwilową popularność stracił. Podobną drogę przeszła niedawno Nowoczesna, z partii Ryszarda Petru stając się partią Pawła Rabieja.

Od wykalkulowanej zachowawczości odszedł Tusk dopiero w ostatnim roku swych rządów, gdy jego priorytetem stała

się walka o wysokie stanowisko w Unii Europejskiej. Zwrot na lewo, ku „konwencji antyprzemocowej”, „genderowi” i LGBT, kontynuowany bezrefleksyjnie przez Ewę Kopacz i Bronisława Komorowskiego, był jednym z czynników przegranej, z którą elity III RP nie mogą się do dziś pogodzić i której przyczyn nie mogą – chyba zresztą nie są do tego zdolne – zrozumieć, brnąc w swoje „urojenia wyższościowe” i frazesy o „populizmie”, „nienawiści” i „hołocie kupionej za pińset”.

@

Tempo marszu grupy, jak wie każdy harcerz, określa ten, który idzie najwolniej. Natomiast wizerunek formacji politycznej ten z jej uczestników, który jest najgłośniejszy i najbardziej wyrazisty. Być bardziej wyrazistym od aparatczyków PO, w zasadzie nieprezentujących żadnej innej wizji niż „znowu my”, nie jest trudno. Bycie głośniejszym zapewniają sympatie frontowych mediów „totalnej opozycji”, dla których zwalczanie „polskiego ciemnogrodu” i „cywilizowanie” go propagandową tresurą jest od zawsze prawdziwą pasją.

Ten mechanizm zadziałał wyraźnie w Warszawie, gdzie nijaki Rafał Trza-

Wszystkie dotychczasowe doświadczenia pokazują, że przejście na lewo kończy się w Polsce utratą wyborców

skowski, chyba zresztą w ogóle mało zainteresowany zarządzaniem miastem, dał się zdominować Pawłowi Rabiejowi, forsującemu radykalną agendę swojego niszowego środowiska. Chociaż Trzaskowski usiłował na podsumowanie pierwszego kwartału swych rządów przedstawić jakieś osiągnięcia z innych dziedzin, w oczach opinii publicznej nowe władze Warszawy nie zajmują się niczym poza wprowadzaniem deprawatorów LGBT do szkół, klubów sportowych i w ogóle życia publicznego, przy jednoczesnym wycofywaniu się z innych obietnic wyborczych i oszczędzaniu na tramwajach czy pielęgniarkach środowiskowych.

Równie beznadziejne jak podsumowania Trzaskowskiego wydają się starania prezesa PSL Kosiniaka Kamysza, próbują-

cego wyjaśnić swym wyborcom, że przystąpił do koalicji z „tęczową” lewicą, aby ją „ustabilizować” i „przesunąć na prawo”. PSL jest w szczególnie trudnej sytuacji, bo jego elektorat chyba najmniej skłonny jest do akceptowania antykościelnych ekscesów i wojującego homoseksualizmu. W dodatku kanapowa partia Zieloni, którą zaprezentowano przy zakładaniu Koalicji Europejskiej jako uczestnika równoprawnego z PO, PSL, SLD i Nowoczesną, to matecznik ekooszołomów, domagających się likwidacji hodowli zwierząt futerkowych, ferm drobiowych, a ostatnio nawet wprowadzenia zakazu dojenia krów.

Z każdym dniem wizerunek Koalicji Europejskiej upodabnia się do Zielonych, Razem czy schyłkowego Twojego Ruchu Palikota, zaprawionych postkomunizmem. Aborcja, promowanie homoseksualizmu, nienawiść do Kościoła i żołnierzy wyklętych, kibicowanie antypolskim posunięciom Timmermansa i oskarżeniom Polaków o „wyspany z mlekiem matki” antysemityzm oraz przywracanie komunistycznych nazw ulic w stolicy, doskonale zresztą pasujące do zapowiedzianego wystawienia z niej na „jedynce” Włodzimierza Cimoszewicza. Wspomnienie „konserwatywnej kotwicy”, zapowiadanej niegdyś przez Grzegorza Schetynę, dziś może już tylko śmieszyć. Z dawnego wizerunku PO zostały szczątki – balcerowiczowska retoryka w krytykowaniu (zresztą niekonsekwentnym) „rozdawnictwa” PiS czy zapowiedź szybkiego wprowadzenia Polski do strefy euro. Czyli akurat to, co było w nim najmniej atrakcyjne dla centrowego wyborcy.

Tymczasem to nie przemowy na konwencjach ani tzw. dokumenty programowe określają wizerunek partii, ale jej media. PO za sprawą Koalicji Europejskiej zmienia wizerunek na partię agresywnych perwersów wdzierających się do szkół, profanujących pamięć ofiar komunizmu i dyszących żądzą zemsty na „PiS-owcach”.

Wszystkie dotychczasowe doświadczenia pokazują, że przejście na lewo kończy się w Polsce utratą wyborców. Większość „autorytetów” opozycji, zwłaszcza tych medialnych, odrzuca te doświadczenia – ich zdaniem to już nieaktualne, obecnie społeczeństwo dojrzało wreszcie do rodzimego „zapateryzmu” i chce takiej właśnie lewicowo-tęczowej alternatywy dla konserwatywnych rządów PiS. Ile w ich nadziejach realizmu – przekonamy się niedługo.

PSL bez bajeru



Agnieszka Niewińska

Sławomir Świerzyński, gwiazda muzyki disco polo, po 25 latach odszedł z PSL. Nie chciał być w partii, która jest w koalicji ze zwolennikami związków partnerskich i aborcji

Rozwód z PSL został już przypię-
cętowany. Sławomir Świerzyński,
lider zespołu Bayer Full i szef
struktur PSL w gminie Łąck
(powiat płocki), spotkał się z partyjnymi
kolegami, wytłumaczył motywy odejścia
i oddał zgromadzoną dokumentację.
– Wyprowadził się ode mnie także
sztandar PSL. Zostanie przekazany innej
osobie. Koledzy będą musieli wybrać so-
bie nowego prezesa – mówi „Do Rzeczy”
Świerzyński.

„VANS”, „TRANS”, „ŚMANS”

Odkąd PSL ogłosiło, że wchodzi do
Koalicji Europejskiej, to nie prezes partii
Władysław Kosiniak-Kamysz był najczę-
ściej zapraszany do mediów PSL-ow-
cem, ale właśnie lider Bayer Full. Uznał,
że chłopska koniczyna zmieniła barwę
z zielonej na tęczową, więc dla niego
z partii już miejsca nie ma.

Wielokrotnie podkreślał, że jest kato-
likiem, więc nie po drodze mu z ludźmi
atakującymi Kościół. Nie jest tajemnicą,
że nie sympatyzuje ze środowiskami
LGBT. Zwierzył się, że jego niechęć wynika
m.in. z tego, że jako dziecko na koloniach
w Darłównie był molestowany przez
dwóch mężczyzn. Ostatnio ujawnił, że byli
to bliźniacy „z kręgu PO”. – Nie przeska-
dza mi to, że ktoś ma orientację homo-
seksualną, ale sprzeciwiam się nachalnej
promocji homoseksualizmu, wchodzącej
do przedszkoli i szkół – mówi.

Już w przeszłości krytykował parady
gejów. – Jestem wrogiem pokazywania
tych wszystkich parad dziwnych, gejów,
tych LGBT, „vans”, „trans”, „śmans” –
mówił w 2018 r. telewizji Polsat. Nie boi
się, że zostanie uwieczniony w raporcie
o homofobicznej mowie nienawiści. – Na
razie nikt nie wnioskuje, żeby odebrać mi

złotą czy platynową
płytę. To by zresztą
było śmieszne. Mnie
nie można niczego
odebrać, bo do
wszystkiego do-
szedłem sam. Na
koncertach jak
na razie nie było
żadnych prote-
stów homosek-
sualistów, a jak
się pojawiają,
to zagram im
„Majteczki
w kropecz-
ki”. Ja mam
cięty język.
Będzie
zabawa
na cztery
fajery –
śmieje się
lider Bayer
Full.

Bayer
Full istnieje
od 35 lat.
Świerzyński
jest spiritus
movens przedsię-
wzięcia. Choć
skład zespołu zmie-
niał się wielokrotnie,
lider wciąż jest ten
sam. Dzisiaj gra z nim
troje dorosłych dzieci
– Nikola, Sebastian
i Damian. Żona, Renata,
jest menedżerem.

Świerzyński w 1981 r.
zaczynał w szkole jako
nauczyciel. Prowadził chór,

EDYTOR: AGNIESZKA NIEWIŃSKA



harcerstwo. W 1983 r. wcielono go do wojska i grał w mundurowej orkiestrze. Później wrócił do szkoły, wyjechał też na zarobek do USA, gdzie trochę występował, ale częściej kosił trawniki. Po powrocie otworzył dyskotekę pod nazwą Bayer Full. Początkowo przynosiła zyski, ale dobiły ją odsetki od kredytów. Świerzyńskiego zaczęli nachodzić komornicy.

Żeby stanąć na nogi, postanowił grać na dancingach. Wkrótce Bayer Full stał się jednym z najpopularniejszych zespołów disco polo. Świerzyńskiego często nazywa się zresztą cesarzem tego nurtu muzyki. Kilka lat temu zespół chwalił się, że sprzedał 16 mln płyt. – Teraz na liczniku jest ho, ho, ho... o wiele więcej.

Te 16 mln to przekroczyliśmy dawno temu – mówi lider zespołu, choć konkretnej liczby nie podaje.

Sukces miał też trudne do przewidzenia konsekwencje. W 2005 r. dla okupu porwany został syn Świerzyńskiego – Sebastian. Związane go i przykutego do metalowego pręta w opuszczonej stodole mężczyznę przypadkowo znalazły bawiące się w pobliżu dzieci. Od tamtej pory zespół przykładą większą wagę do bezpieczeństwa, zaprzestał np. publikowania trasy koncertowej w Internecie.

„BARA-BARA” PO CHIŃSKU

Przed niemal dekadą polskie media dudniły o wielkiej karierze zespołu w Chinach – kontraktach, występach i 67 mln płyt. O przygotowaniach do podboju chińskiego rynku przez Bayer Full powstał nawet dokument „Miliard szczęśliwych ludzi”. W filmie widzimy, jak zespół z pomocą Krzysztofa Darewicza, mieszkającego w Chinach sinologa i dziennikarza, szykuje się do muzycznego wejścia na chiński rynek. Towarzyszymy członkom zespołu próbującym podołać karkołomnemu zadaniu wyśpiewania swoich hitów w języku Państwa Środka. Godzinami ćwiczą wymowę. Wielokrotnie powtarzają nagrania, w których słowa przeboju „bara-bara-bara/riki-tiki-tak” mieszają się z chińszczyzną. Dokument kończy się jednak mało optymi-

stycznie. Mimo nagrania płyty po chińsku nie dochodzi do wielkiego tournée. – Ten film pokazuje nas jak chłopców-roztropków, którym się nie udało, a jest zupełnie inaczej. Odnieśliśmy tam sukces, tyle że to się stało pół roku po tym filmie – mówi Świerzyński. Dodaje, że chińska płyta popularna jest przede wszystkim w chińskim Internecie.

Chiński triumf Bayer Fulla przed dwoma laty podała jednak w wątpliwość Weronika Truszczyńska, youtuberka mieszkająca w Szanghaju. W nagraniu opowiedziała, że chińska kariera Bayer Full to medialna mistyfikacja, bo w Państwie Środka polski zespół nie dał żadnego koncertu, płytę po chińsku wydał w Polsce i nie jest wśród Chińczyków znany. – Wiem, co opowiada ta dziewczyna, ale ona mieszka w Szanghaju, a my gramy w odległości 2,5 tys. km od niego. Chiny to przecież ogromny

jaki wybrać wędzidło. Znaczenie ma choćby strój stangreta, jego nakrycie głowy. Zasad, które trzeba znać, jest co niemiara – wylicza.

„MENTALNIE W PiS”?

Świerzyński z PSL rozstał się po 25 latach. Brał udział w kampanii Waldemara Pawlaka, czterokrotnie startował do Sejmu, bez sukcesu. – Miałem miejsca na końcu listy, niebiorące, ale też nigdy specjalnie mi nie zależało na zostaniu posłem – mówi. Co dalej z polityką? Świerzyński zapewnia, że z nikim nie rozmawia i pozostaje bezpartyjny. Zdaniem Jakuba Stefaniaka, rzecznika PSL, Świerzyński już dawno „mentalnie był w PiS”. Uważa też, że to media zrobiły z lidera Bayer Full czołowego polityka PSL. – Tymczasem to kpina. Nawet członkowie jego lokalnych struktur mówią, że nie przejawiał specjalnej aktywności.

Świerzyński: To PSL skreśliło w lewo. Za sprawą Janusza Piechocińskiego z komitetu wykonawczego zniknęli konserwatyści

kraj. Fakt, na tych stadionach, na których chciałem zagrać, na razie nie wystąpiliśmy. Na koncerty zapraszają nas chińskie ministerstwa: gospodarki, kultury, spraw zagranicznych – mówi Świerzyński. I dodaje, że na kolejny występ w Chinach zespół miał jechać w marcu, ale został on odwołany ze względu na aferę wokół pracowników firmy Huawei.

Chociaż muzycy do Chin w tym mieście nie polecają, to w kraju dadzą tylko jeden koncert – na dzień kobiet. Z zasady nie grają w Wielkim Poście. Świerzyński czas będzie mógł przeznaczyć na pierwsze prace polowe (jest też rolnikiem, prowadzi gospodarstwo w Woli Łąckiej na Mazowszu) i pasję, którą są konie i powożenie. Jako pierwszy w Polsce założył hodowlę koni fryzyjskich. Zgromadził kolekcję powozów i uprzęży, a w jego stadninie można wypożyczyć zaprzęg na wesele, ale też pobierać nauki jazdy konnej. Instruktorem jest syn Sebastian. – Pasię odziedziczyłem po dziadku, który był kawalerzystą po szkole w Grudziądzu – mówi. Sam wyspecjalizował się w powożeniu, był nawet sędzią na zawodach. – To jest snobizm, ale w dobrym znaczeniu. Trzeba wiedzieć, jakiego koloru uprząg zastosować do jakiego zaprzęgu,

Zwykle był nieobecny, bo jeździł z koncertami. Nie widziałem go ani w Sejmie, ani na spotkaniu dla samorządowców, ani na zjeździe kobiet kandydatek z całej Polski – wytyka Stefaniak.

– Rzecznik wypomina mi nawet, że grałem na konwencji PiS. Mogę mu powiedzieć: synuś, przez 35 lat grałem nie tylko dla PiS, ale także dla innych partii – od PSL przez SLD do Unii Wolności – odpowiada lider Bayer Full.

Stefaniak ripostuje: – Tym gorzej to o nim świadczy. Grał dla SLD i Unii Wolności, a teraz pluje na te partie. Chamskie zaczepki z pewnością mu nie służą. Jego krytyka PSL i tournée po mediach mają drugie dno. Niedługo się okaże, że dostanie biorące miejsce na liście PiS w wyborach europejskich albo parlamentarnych. A może kontrakt w publicznych mediach? Wspomni pani moje słowa.

Świerzyński twierdzi, że to nie on zmienił poglądy. – To PSL skreśliło w lewo. Za sprawą Janusza Piechocińskiego z komitetu wykonawczego zniknęli konserwatyści, ludzie Waldemara Pawlaka. W PSL żadne dyskusje nie mają znaczenia, bo tam jest demokracja sterowana, i mnie taka demokracja przestała się podobać – kwituje.



Marsz Świętości Życia w Warszawie,
15 kwietnia 2018 r.

FOT. ZBYSZEK KACZMAREK/GAZETA POLSKA/FORUM

Obrona życia: łatwo nie będzie



Tomasz Wiścicki

Musimy zrobić wszystko, by jak największy odsetek Polaków nie miał wątpliwości, że aborcja nie jest prawem, lecz barbarzyństwem

Irytacja środowisk katolickich, zwłaszcza obrońców życia, na rządzącą partię narasta. Problem w tym, że – jak wynika zarówno z sondaży, jak i obserwowanych reakcji społecznych – tzw. kompromis aborcyjny

jest dość powszechnie aprobowany. Dla zwolenników konsekwentnej obrony życia – do których sam się zaliczam – jest to trudne do zaakceptowania. Jednak nie sposób zlekceważyć faktów. Owszem, polskie społeczeństwo, zwłaszcza na

tle społeczeństw europejskich, jest konserwatywne. Kłopot w tym, że ten konserwyzm nie sięga tak daleko, by powszechnie uznać za niedopuszczalną aborcję „w pewnych wypadkach”. Co gorsza – sondaże z ostatnich miesięcy wykazują niepokojące zmiany – w kierunku rosnącej akceptacji aborcji. Oczywiście wiadomo, że badania opinii publicznej, zwłaszcza dotyczące kwestii będących przedmiotem głębokiego sporu cywilizacyjnego, a taką niewątpliwie jest dopuszczalność aborcji, trzeba traktować z dużą ostrożnością. Po pierwsze, badają one jedynie najbardziej powierzchowną, podatną na zmiany warstwę ludzkich przekonań, po drugie – szczególnie łatwo ulegają manipulacji: wystarczy inaczej sformułować pytania, by uzyskać zupełnie inne wyniki. Wszystko to prawda, jednak trend w ostatnich miesiącach jest mocno niepokojący.

Nie jest też – jak się wydaje – przypadkiem, że proaborcyjne czarne pro-testy – mimo nadzwyczaj radykalnych haseł i formy mocno odstręcającej zwykłych ludzi, niebędących radykalnymi

zwolennikami „prawa kobiety do własnego brzucha”, były jednymi z nielicznych, które wyszły poza żelazny – czy raczej betonowy – elektorat antypisu. Proaborcyjnym aktywistkom i aktywistom udało się przekonać sporą część opinii, że dalej posunięta obrona życia dzieci poczętych jest niedopuszczalną ingerencją w prywatność ludzi, zwłaszcza kobiet. Podkreślam: to nie jest mój pogląd – tak jednak najwyraźniej uważa znacząca część naszych współobywateli.

NIEPEWNA KARTA

Nie opowiadał się przy tym za popularną teorią wahadła, według której zbyt radykalne przesunięcie ku biegowi konserwatywnemu spowoduje reakcję przeciwną, w stronę – nazwijmy ją – liberalną. Ta teza jest tyleż efektywna, co pozbawiona empirycznego potwierdzenia: zwolennicy powszechnej wolności zabijania dzieci poczętych konsekwentnie dążą do swego celu, bez względu na to, czy napotykają na opór, czy nie. Kluczowe jest to, że postulat pełnej ochrony życia dzieci poczętych, choć bezwzględnie słuszny moralnie, nie wydaje się popierany przez większość opinii publicznej.

W tej sytuacji marzenie o partii, która będzie odzwierciedlać katolicką opinię publiczną, jest niestety niespełnialne, przynajmniej obecnie, i to z bardzo prostego powodu: słabości tejże opinii. Owszem, można stworzyć taką partię, tyle że nie ma ona wielkich szans na realny sukces, a to znaczy – na realizację swych postulatów. Jestem jak najdalej od niedoceniania wymiaru świadectwa, także w polityce. Jednak samo świadectwo niestety nie wystarczy: polityk ma kształtować rzeczywistość. Ci, którzy zniechęceni do PiS, wybierają własną drogę, skazując się – jak się wydaje – na automarginalizację, a co za tym idzie – na niespełnienie swych postulatów.

Oczywiście można sobie wyobrazić, że konsekwentnie trzymająca się zasad partia stanie się jęczyzkiem u wagi i w ten sposób uzyska możliwość wymuszenia na silniejszych spełnienia swych słusznych skądinąd postulatów. Jednak zaistnienie takiej sytuacji wymaga spełnienia tylu trudnych do przewidzenia warunków, że postawienie na tę kartę jest nadzwyczaj ryzykowne i daje niewielką szansę sukcesu.

Na początku lat 90., u początków III RP, pojawiły się dwie zasadnicze próby odbudowy polskiej prawicy. Jedną, w postaci

Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, stawiała na jednoznaczność wierność nauczaniu Kościoła. Druga, pod szyldem Porozumienia Centrum, odwoływała się do kwestii bardziej pragmatycznych, choć oczywiście także do wartości chrześcijańskich, ale dużo bardziej dyskretnie. Dzisiaj widać gołym okiem, która strategia odniosła sukces: PiS – spadkobierca PC –

To, że ludzi zabijać nie wolno, uznają co do zasady chyba wszystkie kodeksy moralne, a w świetle dzisiejszej nauki człowieczeństwo dziecka przed narodzeniem jest oczywiste

jest u władzy i ma trwałą pozycję jednej z dwóch najważniejszych sił politycznych w Polsce, ZChN pozostało jedynie pozycją w rejestrze partii politycznych, z którego większość faktycznie nieistniejących stronnictw nie jest wykreślana. O tym, że tak się stało, zdecydował spłot wielu okoliczności, nie tylko stosunek do zasad chrześcijańskich, jednak w świetle tego, co wiemy o polskim społeczeństwie, nie sposób uznać, że nie miało to większego znaczenia.

TO MY, POLACY

Wskaźniki polskiej religijności generalnie spadają powoli, a niektóre – jak np. odsetek chrzczonych dzieci, znacznie powyżej 90 proc. – pozostają stałe. Jest jednak jeden znamieny wyjątek, na który mało kto zwraca uwagę: otóż w latach 2005–2015, a więc w okresie po śmierci Jana Pawła II, bardzo znacząco spadł procent ludzi deklarujących się jako wierzący i żyjący zgodnie ze wskazaniami Kościoła – z 66 do 39 proc., zwiększył się natomiast odsetek wierzących na swój własny sposób – z 32 do 52 proc. Można powiedzieć, że gdy zabrakło naszego moralnego drogowskazu, niekoronowanego króla Polski, religijność znaczącego odsetka jego rodaków uległa swego rodzaju prywatyzacji. W tym samym mniej więcej czasie – w latach 2006–2016 – również znacząco, bo z 36 do 46 proc., wzrósł odsetek Polaków nie w pełni zgadzających się z moralnością katolicką, nawet jeśli uważających ją w większości za słuszną.

Trzeba tu poczynić istotną uwagę: ochrona życia dzieci poczętych nie jest kwestią religijną – to, że ludzie zabijają nie wolno, uznają co do zasady chyba wszystkie kodeksy moralne, a w świetle dzisiejszej nauki człowieczeństwo dziecka przed narodzeniem jest oczywiste. Jednak nie jest przypadkiem, że w dzisiejszym świecie właśnie Kościół katolicki pozostaje – przynajmniej w swym oficjalnym nauczaniu, bo niestety niekoniecznie w przekonaniach wiernych – głównym obrońcą nienarodzonych.

BĄDŹMY WIĘKSZOŚCIĄ

Doświadczenie kilkuletnich rządów PiS wskazuje wyraźnie, że konsekwentna obrona życia nie należy do priorytetów tej partii. Nie ma jej na liście spraw, dla których gotowa byłaby podjąć polityczne ryzyko. Jednak w świetle powyższych faktów widać, że Jarosław Kaczyński i w tym trafnie odczytał potrzeby większości Polaków, którzy nie pragną obyczajowej rewolucji, ale dalecy są od jednoznaczności w tej sprawie.

Czy to znaczy, że postulat konsekwentnej obrony życia skazany jest na porażkę? Bynajmniej – ale nie należy mieć złudzeń, że będzie łatwo. Konieczna jest długofalowa praca nad konsekwentnym uświadamianiem wszystkim, że dziecko poczęte jest takim samym człowiekiem jak każdy z nas. Że także dzieci poczętych dotyczy zasada, że chorych i niepełnosprawnych się leczy i się nimi opiekuje, a nie zabija. Że aborcja nie jest prawem człowieka, tylko dzikim barbarzyństwem. Każdy przekonany o tym człowiek przybliży moment, kiedy wszystkie dzieci poczęte, a nie jedynie ich większość, będą pod ochroną prawa.

Na krótszą metę potrzebne są roztropne działania sprawiające, że opór przed objęciem należącej opieki prawa wszystkich najstarszych stanie się politycznie nieopłacalny. Wszak dobrze zorganizowana mniejszość jest w stanie naprawdę wiele osiągnąć. Bądźmy taką mniejszością – i róbmy, co w naszej mocy, byśmy się stali większością. Wszak zwolennicy niewolnictwa w wielu krajach byli kiedyś w większości – a dziś, choć niewolnictwo wciąż niestety istnieje, to jednak jego pochwała stawia poza kręgiem ludzi cywilizowanych. Oby tak kiedyś stało się i z aborcją – każdą, także dziecka chorego czy upośledzonego.



Piotr Gociek

Film Pasikowskiego o Janie Nowaku-Jeziorańskim to przyzwoite kino historyczne, ale bardziej – zmarnowana szansa

Od pierwszych wspomnień z dzieciństwa (śmierć ojca w 1918 r.) do goryczy roku 1945, kiedy polskich żołnierzy zabrakło w defiladzie ku czci zwycięstwa nad Niemcami Hitlera – słynna książka „Kurier z Warszawy” obejmuje kawał historii Polski i dziejów jej autora, Zdzisława Jeziorańskiego, znanego jako Jan Nowak-Jeziorański. Ekranizacja tego morza wspomnień, tej gęstwy faktów i łańcucha nieprawdopodobnych przygód, byłaby niemożliwa, chyba że ktoś chciałby nakręcić serial telewizyjny na miarę „Kompanii braci”. Już na początku stał więc przed twórcami filmu wybór kluczowy: Który fragment historii opowiedzieć?

Zdecydowano się na gorące miesiące roku 1944, które poprzedzały wybuch powstania warszawskiego i najgłośniejszą misję dzielnego kuriera. Nowak okazał się ostatnim emisariuszem londyńskiego rządu, który dotarł do kraju przed wybuchem powstania, potem zresztą brał w nim udział (i poślubił w walczącej Warszawie łączniczkę Jadwigę Wolską), by potem ponownie przedostać się na Zachód, gdzie aktywnie działał na rzecz wolnej i niepodległej Polski jako szef rozgłośni polskiej Radia Wolna Europa.

Nie jest to więc tak naprawdę film o Nowaku-Jeziorańskim, lecz o powstaniu i o niemożliwych wyborach tamtego trudnego czasu. Rzecz zrozumiała, gdy zauważymy, że pomysłodawcą i współproducentem filmu „Kurier” było Muzeum Powstania Warszawskiego, kierowane przez Jana Ołdakowskiego. „Byliśmy inicjatorem, pomysłodawcą, natomiast nie znamy się na robieniu filmów” – mówił Ołdakowski w radiowej Dwójce w lipcu 2018 r., kiedy opinia publiczna poznała szczegóły przedsięwzięcia. „Za to odpowiada producent. Wzięliśmy zawodowców. Wzięliśmy Władysława Pasikowskiego jako scenarzystę i reżysera – tłumaczył Ołdakowski. – Zdecydowaliśmy się zrobić ten film z ludźmi, którzy się na tym znają”.



FOT. MATERIAŁ PRASOWE

Mam dla państwa – i dla dyrektora Ołdakowskiego – złą wiadomość. Ludzie ci nieco nadużyli jego zaufania. A może inaczej: nie wyszli ani milimetr poza to, czego można było oczekiwać od najemników zatrudnionych, żeby machnąć chałturkę. „Kurier” nie jest bardzo dobrym filmem, nie jest również filmem bardzo złym. To produkcja średnia, nijaka, bardziej przypominająca telewizyjny serial „Czas honoru” niż krwiste kino historyczne. Może są tacy, którym to wystarczy, ja pozostanę przy zdaniu, że niezwykle postacię zasługują na filmy niezwykle.

POLAK W STANIE CZYSTYM

Filmowego Nowaka-Jeziorańskiego (w tej roli Philippe Tłokiński, znany z licz-

nych seriali, ostatnio z drugiego sezonu „Belfra”) poznajemy podczas śniadania w okupowanym Londynie. Dwóch nazbyt pewnych siebie i chamskich Angoli czyni awanse samotnej kobiecie, która wpadła im w oko. Młody Polak staje w jej obronie, nieokrzesani Brytole wycofują się jak niepyszni. To dobre wprowadzenie, od razu łapiemy, że Nowak to chłopak wychowany jak należy, honorowy, odważny, a przy tym ryzykant, bo by skarcić przeciwników, powołuje się na nieistniejącą konsekwencję. Czyli Polak w stanie czystym. Dokładnie ten rodzaj rycerza, jakiego jego okupowana ojczyzna potrzebuje w trudnych czasach.

A jak podła to epoka, widzimy nieco wcześniej, w scenie łapanek i egzekucji na



ulicach Warszawy. Jest lato roku 1944 i historia przyspiesza – alianci lądują w Europie, lotnictwo brytyjskie i amerykańskie bombarduje Rzeszę, od wschodu szybko postępują armie Stalina. Wielka polityka i wielka historia upominają się o młodego kuriera, który wcześniej przetarł szlak nielegalnego przerzutu z Polski przez Szwecję do Wielkiej Brytanii. Tyle że to droga długa i czasochłonna, a nagle czas zaczyna być czynnikiem niezmiernie ważnym. W środku nocy i w głębokiej tajemnicy premier Stanisław Mikołajczyk (Sławomir Orzechowski) zabiera Nowaka na spotkanie z Churchilllem (Michael Terry, drugorzędny aktorski import z anglosaskiego obszaru językowego).

Kurier znów musi wyruszyć w drogę, z ważnymi informacjami dla dowództwa Armii Krajowej w Polsce.

UBÓSTWO

Tutaj zaczyna się kłopot z filmem „Kurier”, w którym przemieszanych zostało kilka opowieści, każdą ledwie sygnalizując, ale żadnej nie opowiadając porządnie, żadnej nie pogłębiając. Jest to film o wojennej polityce. Oprócz dyskusji Mikołajczyk-Churchill mamy ciekawe sceny pokazujące animozje wśród polskich emigracyjnych generałów (Jan Frycz gra gen. Kazimierza Sosnkowskiego, Rafał Królikowski gen. Stanisława Tatara). Jest to film o oporze wobec Niemców

w okupowanej Polsce, niestety esesmani ustawieni w równiutkim szeregu na podtarnowskich łąkach wyglądają jak operetkowi Niemcy ze „Złota dezertarów”, a wieś polska zadziwiająco przypomina przystrzyżony maszynkami do trawy pieczołowicie odpicowany skansen chwilę po wyjściu z niego wycieczki zadowolonych turystów. Jest to film o walce wywiadów i szpiegach, ale szpiegów mamy ledwie dwóch (Nowaka do nich nie kwalifikuję), zaś szpiegowskich operacji akcji jak na lekarstwo (odrobiny śledzenia do nich nie kwalifikuję).

W filmie Pasikowskiego jest zatem ukrytych kilka potencjalnych filmów, a może porządny serial (może kilka).

■ Ukrytych czy upchniętych? Dochodzimy do chronicznej choroby polskiego kina, czyli ubóstwa. Gdy środków brak, ale okazja do kręcenia jednak się nadarza, zbyt często próbujemy wepchnąć do jednego worka za dużo. To właśnie przytrafiło się „Kurierowi”, tak samo jak wcześniej polskiemu filmowi o polskich lotnikach w Anglii („Dywizjon 303. Historia prawdziwa”), który był zlepkim rozmaitych scen i konceptów, które zrodziły się podczas niemiłosiernie długiego procesu produkcyjnego. Konkurencyjny projekt pisany przez Brytyjczyków, czyli „303. Bitwa o Anglię” (w oryginale „Hurricane”), choć cierpiał na brak porządných scen walk powietrznych, pod względem konstrukcji i dramaturgii był wzorem.

Rozumiem twórców filmu „Kurier” dumnych z tego, jak wiele dialogów i motywów zostało zaczerpniętych ze wspomnień Nowaka-Jeziorańskiego oraz innych świadectw epoki, ale reguły biznesu filmowego są bezlitosne: od tego, że historia jest prawdziwa, ważniejsze jest, jak została opowiedziana. Myślę, że Pasikowskiemu zabrakło serca do tego projektu, że potraktował „Kuriera” jako pracę zleconą, która może poprawić jego wizerunek u widzów zniesmaczonych fatalnym i ahistorycznym „Pokłosiem”.

Często chwaliłem tego reżysera za czucie kina, które było widać na dużym i małym ekranie często, przypomnijmy sobie sugestywne kadry serialu „Głina”, przypomnijmy sobie, o ilej lepiej od Vegi nakręcił niedawno historię ze świata „Pit-bulla”. W „Kurierzach” takich zapadających w pamięć chwil jest niewiele. Dobra scena na początku (wspomniane już łapanie i egzekucja), świetna scena odwrotu niemieckich wojsk przekraczających Wisłę ze skradzionym dobytkiem, fragment perypetii Nowaka w Polsce, gdy próbuje pociągami dotrzeć do Warszawy. Reszta nie wykracza poza przeciętność, a już finałowe minuty opowiadające o wybuchu powstania w Warszawie to tylko gładkość w stylu telewizyjnego „Czasu honoru”. Jednocześnie sam się zastanawiam, czy nie idę na łatwiznę, sięgając po argument „znośny efekt, bo pieniądze niewielkie”. Proszę obejrzeć film Sergieja Łożnicy „We mgle”, kręcony za niewielkie pieniądze. Tam można zobaczyć, jak wiarygodnie



REŻ. WŁADYSŁAW PASIKOWSKI
„KURIER”
POLSKA 2019

wyst. Philippe Tłokiński, Patrycja Volny, Julie Engelbrecht, Grzegorz Małecki, Tomasz Schuchardt

i czasem nawet hipnotyzująco można pokazać czasy II wojny światowej. Po co zresztą sięgać do dzieł ukraińskiego reżysera, wszak „Wołyń” też w porównaniu z „Kurierzem” wygląda na bardziej przekonującą wyprawę w przeszłość, a przecież kleił go Wojciech Smarzowski przez lata za psie pieniądze.

Pochwałę Philippe’a Tłokińskiego za to, jak wypadł w głównej roli (zresztą obsada to w ogóle mocna strona „Kuriera”), choć i tu mam pretensję do scenarzystów (prócz Pasikowskiego była to Sylwia Wilkos), że nie potrafili się zdecydować, jaki właściwie ma być ich bohater, który czasem robi wrażenie wytrawnego agenta, a czasem rozhisteryzowanego nastolatka.

To wszystko jednak za mało. Obawiam się, że powstał kolejny film dla przekonanych, to znaczy tych, którzy i tak wiedzą, że Jan Nowak-Jeziorański to postać zasłużona i wyjątkowa – i z tego powodu pójdą do kina. Pewnie z pół miliona Polaków. A przecież powinno być odwrotnie: atrakcyjny film otwierający milionom Polaków oczy na historię, której nie znali, a z której mogą być dumni.

Boję się też, co będzie dalej. Kilka dni temu wyczytałem w gazetach, że powstaje film „Paderewski” Witolda Orzechowskiego. Wiem skądinąd, że był to projekt zgodnie odrzucany przez rozmaite gremia decydujące o finansowaniu nie dlatego, że ktoś nienawidzi polskich bohaterów, lecz dlatego, że zamiast scenariusza twórca obnosił po komisjach obszerne życiorysy sławnego wirtuoza i informację, że warto nakręcić o nim film, bo to ważna postać. Sorry, można dać dotację na dobry scenariusz, ale nie można jej dać tylko na dobre chęci. Dzisiaj czytam, że państwo sypnie groszem, a film wejdzie do kin jesienią 2020 r. Być może stał się cud i Witold Orzechowski nagle zatrudnił genialnego scenarzystę, który zdoła zrobić z tego film dobry. Wątpię. Po prostu koniunktura się zmieniła.

„Dziennik Gazeta Prawna” informował kilka tygodni temu: „Kino patriotyczne w natarciu. W przygotowaniu jest ponad 30 filmów, z czego połowa o II wojnie światowej”. Elżbieta Rutkowska precyzowała w tekście: „Część produkcji jest już na zaawansowanym etapie i najprawdopodobniej wejdzie na ekrany w tym roku.

Nad innymi filmowcy dopiero zaczynają pracować”. Kojarzenie tego wzmożenia z rządami PiS nie jest do końca uprawnione, zauważa także, podliczając, że niemal 350 mln zł Polski Instytut Sztuki Filmowej przeznaczył na historyczne produkcje w latach 2005–2015.

PIENIĄDZE JUŻ SĄ

Nowością natomiast jest na pewno aktywne włączenie się w proces stymulowania takich dzieł przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego, które „finansuje ekranizacje m.in. przez dotacje dla FilMOTEKI Narodowej – Instytutu Audiowizualnego (m.in. dokument »Niepodległa«), Telewizji Polskiej (serial »Młody Piłsudski«) czy Wytwórni Filmów Dokumentalnych i Fabularnych, produkującej właśnie historyczny kryminał »Czarny mercedes« Janusza Majewskiego” – informowała autorka tekstu.

Pytanie, „skąd wziąć pieniądze na produkcję polskich filmów historycznych”, nie jest już więc dzisiaj zasadne. Fundusze są. Jednak na pytanie, „skąd wziąć utalentowanych ludzi, którzy opowiedzą takie historie z pasją, sercem i w porównywalnym stylu”, wciąż nie wiadomo, jak odpowiedzieć. W „Kurierzach” jej nie znalazłem. A przecież robienie dobrych filmów o polskiej historii na polski rynek to dopiero początek. Powinny przekonywać do polskiej narracji historycznej widzów zagranicznych. Otóż dla nich „Kurier” będzie niezrozumiały, bo zbyt trudno wyjaśnić ludziom nieznaną polskiej historii, jaka właściwie kwestia leży w jego centrum.

A może powinniśmy posłuchać samego Jana Nowaka-Jeziorańskiego? W jednym z wywiadów sprzed niemal dwóch dekad znalazłem taką jego odpowiedź, gdy pytało go o to, jak za granicą promować Polskę, jak pokazać jej prawdziwe dzieje i oblicze: „Prowadzenie takiej kampanii bezpośrednio przez Polaków musi się skończyć niepowodzeniem, bo nie da się przetłumaczyć polskiej mentalności na obcą. Warunkiem sukcesu jest prowadzenie promocji poprzez pośredników. Poprzez Anglików – jeśli chodzi o Anglię, poprzez Niemców – w przypadku Niemiec, i tak dalej”.

Tak rzecz kurier z Warszawy. Czy mocną, dobrą odpowiedzią będą tajemnicze międzynarodowe koprodukcje, anonsonowane przez resort kultury? Jakże chciałbym doczekać czasów, w których z czystym sumieniem będę mógł napisać, że tak się stało.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Metempsychoza



Joanna Lichocka

Wędrowka dusz, pogląd oparty na przekonaniu, że dusza jest wieczna – ten motyw pojawia się stale w twórczości poety

Jak mówi notatka w »Raptularzu« (pochodząca prawdopodobnie z roku 1844), nieobjęta i nieukończona (nigdy się niekończąca) całość naszego życia – tutejszego i tamtejszego – dzieli się na żywot duchowy »w ciele« i »podług zegaru« oraz żywot bezcielesny i pośmiertny »podług czucia« – tłumaczy w książce „Słowacki. Encyklopedia” Jarosław Marek Rymkiewicz zagadnienie metempsychozy, tak jak ujmował to wieszcz. „Ów żywot bezcielesny Słowacki nazywał też »chrztem pośmiertelnym« – po takim chrzcie, jak pisał, duch »wraca w ciało i zaczyna znowu czuć podług wymiaru i czasu«. Jak długo miałyby trwać pośmiertny pobyt ducha „w beczcasie”, czyli między dwoma kolejnymi wcieleniami, wydawało się poecie (jak wynika z tejże notatki) sprawą w zasadzie bez znaczenia – „noce zaś pośmiertne są bez podziałów i trwają albo chwilę albo lat tysiące”. Potem w tym haśle „Metempsychoza” autor objaśnia koncepcję Słowackiego o zespoleniu duchów – trzech! – by mogło powstać nowe życie.

Wędrowka dusz, reinkarnacja, pogląd oparty na przekonaniu, że dusza jest wieczna, zmienia swoje ucieleśnienia, powracając jednak stale do tutejszego istnienia – pojawia się stale w twórczości poety. Jest jedną z hipotez zawierającą się w teorii wiecznego powrotu, wiecznego koła istnienia. Wprost metempsychoza w twórczości Jarosława Marka Rymkiewicza występuje – prócz rozdziału w „Słowackim. Encyklopedii” – w wierszach. „Metempsychoza” w tomiku oktostrychów pt. „Koniec lata w zdziczałym ogrodzie” mówi o wędrowce

dusz w kontekście poglądów Słowackiego. „Mesjanizm (na tarasie w piękny dzień październikowy)” pokazuje trwanie istnienia w ujęciu Mickiewicza. Jest wreszcie cały tomik poetycki zatytułowany „Metempsychoza”. „Nie da się całkowicie odejść z tego świata” – stwierdza w wierszu „Światło księżycy” Jarosław Marek Rymkiewicz. Albo w innym oktostrychu, z tego samego tomiku, pt. „Kołysanka” mówi tak:

*To co było – nieraz jeszcze się powtórzy
Teraz usnij potem wrócisz z tej podróży*

*Jedną chwilę i lat tysiąc będziesz spała
Potem zaraz powrócimy w nasze ciała.*

DOM IGNACEGO MYSŁICKIEGO

Trudno nie zamyślić się głęboko i nie przypomnieć sobie o metempsychozie, gdy przegląda się prasę z czasu urodzin Jarosława Marka Rymkiewicza. Czytając najważniejsze tytuły prasy codziennej ukazujące się wówczas w Warszawie nie sposób przegapić dużych nekrologów prof. Ignacego Mysłickiego. Jeden z nich jest w „Gazecie Polskiej” z 14 lipca 1935 r. na samym dole czwartej strony: „Ignacy Mysłicki doktor filozofii, Profesor Wolnej Wszechnicy Polskiej, zmarł 12 lipca 1935 roku w Piasecznie”. Po czym są informacje o terminie i miejscu pogrzebu – 15 lipca, o godz. 15.30, cmentarz ewangelicki przy ul. Młynarskiej róg Żytniej w Warszawie.

Profesor Mysłicki, wielki znawca, tłumacz i wielbiciel Spinozy – cóż ma wspólnego z naszym poetą? Zbieżność dat śmierci i narodzin (Mysłicki zmarł 12 lipca, Rymkiewicz urodził się naza-jutrz, 13 lipca 1935 r.) łączy przecież autora „Kinderszenen” z mnóstwem innych ludzi. Jest jednak coś jeszcze. To w domu Mysłickiego – nie znając go wcale – rodzina Szulców spędzała kolejne wakacje w latach 1943 i 1944. To w domu tego doktora filozofii, na letnisku w Piasecznie, zdecydował się (kolejny raz, kolejny punkt przecięcia linii przeznaczenia, o których pan Mareczek myślał w „Rozmowach polskich latem 1983 roku”) los poety, jego istnienie lub nieistnienie.

Na początek przyjrzyjmy się miejscu. W „Przewodniku po uzdrowiskach i letniskach” pod redakcją Czesława Rokickiego wydawanym kilka razy w latach 20. ubiegłego wieku czytamy, że „dzielnica letniskowa Piaseczna leży właściwie osobno między miasteczkiem a lasem wśród ogrodów. Składa się z kilkudziesięciu domków dla letników”.

Dojazd do domów z dużymi ogrodami, z wynajmowanymi mieszkaniami dla letników był łatwy. „Wtedy do Piaseczna (wtedy to znaczy przed Powstaniem; także przez jakiś czas po Powstaniu) z Dworca Południowego na Służewie jeździło się wąskotorową kolejką” – relacjonuje pisarz w „Kinderszenen”.

W Piasecznie główna stacja i zajezdnia wąskotorówki istnieje do dziś – przy drodze w kierunku Zalesia i Gołkowa. Przed wojną i w czasie wojny było to tuż o krok od letniskowej części miasta. I domu prof. Ignacego Mysłickiego.

NA CAŁE LATO

Wyjeżdżano na wakacje wcześniej, już w początkach czerwca, i spędzano całe lato aż do początku jesieni – powrót do mieszkania na Koszykowej następował nawet dopiero w październiku.

W jednym z albumów w domu w Milanówku jest kilka zdjęć pokazujących te wakacje. Fotografia z targu na rynku w Piasecznie. Jarek, Alinka i ich mama stoją na tle ludzi – kupujących od chłopów coś z ich wozów lub z wiklinowych koszy ustawionych wprost na ulicy. Mały Jarek bardzo czymś ucieszony. Na drugim zdjęciu, zrobionym pewnie kilka minut później, dzieci mają już w rękach kilka marchwi i torbę z zakupami.

Są też jeszcze zdjęcia na tle domu, w którym mieszkali. „Kinderszenen”: „Za willą był duży ogród, który przekształcono (jak to często w latach wojny się zdarzało) w pożyteczny warzywnik – były tam poletka kapusty, marchwi, sałaty, jeszcze jakichś innych jarzyn”. To tam, pomiędzy grządki z kapustą uciekł żółw siostry poety.

■ I to właściwie wszystkie informacje. Gdyby nie zdjęcia – niewiele więcej na ten temat udałoby się powiedzieć.

Na jednym Władysław Szulc stoi z Jarkiem i Alinką trzymającą w rękach złotwia. Za nimi duży dom, z balkonem na piętrze, pod dwuspadowym dachem, widoczna jest też dalsza część, wieża, przypominająca zamkową, widać dachówki na skrzydle domu. Na innym ten sam dom z drugiej strony, rodzeństwo na chodniku przed ogrodem, gdyby zdjęcie było w szerszym kadrze, byłoby widać biegnące wzdłuż chodnika i ścieżki tory kolejki. Dom od tej strony ma czterokątny dach z murowanym obramowaniem, góruje nad nim wieża.

Nie ma w tym wszystkim – wspomnieniach poety, zdjęciach, przekazach rodzinnych – ani słowa o prof. Myślickim, wielbicielu i badaczu Spinozy.

WILLA DLA LETNIKÓW

Czerwona dachówka i czerwona cegła obramowania dachu – są do dziś. Łatwo znaleźć. Willa stoi przy ul. Czajewicza, wtedy była to Leśna.

Dom powstał w 1907 r., miał wodociąg i kanalizację, był nowoczesny i przestronny. „Jadalnia miała chyba ze czterdzieści metrów kwadratowych, na ścianach była zielona tapeta z lamperią z zielonych deseczek, a najciekawszy był fresk na suficie. Dokoła białego plafonu namalowano jakieś owoce, ptaki z długimi ogonami, wszystko barwne i piękne” – wspomina córka powojennych właścicieli willi Teresa Hałacińska w publikacji wydanej przez urząd miejski Piaseczna pt. „Łapmy stare Piaseczno”. „W dużym pokoju, tym od strony podwórza, stał pod ścianą płaski, drewniany ołtarz – dowód na masonskie konotacje poprzednich właścicieli. [...] Masonskimi śladami są zewnętrzne płaskorzeźby na wieży. Na płaskorzeźbie nad oknem od strony północno-zachodniej widać rulon papieru, cyrkiel, węgielnicę oraz głowicę kolumny na tle laurowego liścia, na tej drugiej nad oknem od strony południowo-zachodniej są liniał, kielnia, młotek, arkusz papieru, pion i poziomic. Tutaj także tłem jest liść laurowy”. Tak, profesor Myślicki był wyznawcą Spinozy, ale był też i masonem.

I to właśnie w 13. numerze „Wolnomyśliciela Polskiego” w 1933 r. opublikował artykuł „Wyborna sposobność. Precz z językiem żydowskim”. „To hasło należałoby obecnie rzucać w masy żydowskie w Polsce, jak długa i szeroka, w odwet hitleryzmowi. Byłby to odwet pożytecz-

ny, albowiem skutkowałby nie tylko odebraniem Niemcom ich sympatyków, na których oni w swoich kombinacjach polityczno-wojennych liczą, lecz i pozyskanie oddanych Polsce obywateli. Wszak sympatia polskich żydów ku Niemcom nie ma opiera się na pokrewieństwie języka niemieckiego z językiem żydowskim, którego jest przegrodą, niedopuszczającą mas żydowskich do polskiej kultury i cywilizacji. Tę przegrodę murszejącą z czasem, może od razu zwalić wstrząs, do wykonania którego nadarza się obecnie wyborna sposobność”. Ta sposobność to Hitler i hitlerowski antysemityzm, przed którymi trzeba ustalić, jak się ratować. Polskość jako siła i ratunek, jako ocalenie – to był program prof. Ignacego Myślickiego. Brzmi znajomo.

Sam Myślicki urodził się jako Izidor Halpern w asymilującej się rodzinie przemysłowca z Tomaszowa Mazowieckiego, studia i pracę naukową prowadził przez

**Pod koniec sierpnia 1944 r.
z walczącej Warszawy
udało się wydostać siostrze
Władysława Szulca,
ciotce Lilce z mężem i synem**

wiele lat pod tym nazwiskiem, zmienił je po wojnie, w wolnej Polsce. Czuł się i był Polakiem.

Jedną z najgłośniejszych jego rozpraw była wydana po polsku i francusku w 1922 r. „Jonston et de Spinoza”. Ignacy Myślicki dowiódł, że filozof i autor formuły „Deus sive Natura” czerpał inspiracje z pracy i poglądów głoszonych przez polskiego biologa, medyka i filozofa Jana Jonstona, urodzonego w Szamotułach i podpisującym się Polonus.

Jednak autor „Kinderszenen” nie był świadom tej metempsychotycznej, duchowej relacji ani z nauczycielem Spinozy z Leszna, ani z badaczem jego filozofii z Piaseczna. W „Kinderszenen” napisał, że rodzice wynajmowali „piętro dużej willi, której właścicielami byli jacyś biali Rosjanie”. O Myślickich ani w książce, ani we wspomnieniach nie ma ani śladu.

Biali Rosjanie, państwo Strussowie z dwojgiem dzieci, faktycznie w wili mieszkali. Tak o nich pisze Teresa Hałacińska: „Zofia i Julian, przyjechali

do Polski w 1921 r. z Rosji. Bolszewicy wymordowali ich rodzinę, im cudem udało się uciec. W Moskwie pan Julian, z wykształcenia ekonomista, był dyrektorem banku. W Warszawie dzięki pomocy przyjaciół otrzymał posadę dyrektora Banku Rolnego. Jeszcze przed wojną, w roku 1933, Strussowie wynajęli mieszkanie w Piasecznie u państwa Myślickich, więc po tylu latach pobytu byli traktowani niemalże jak domownicy. Rodzeństwo Zofia i Jerzy, oboje bardzo dobrze wykształceni, znający kilka języków, pracowali jako nauczyciele w piaseczyńskich szkołach, a w czasie okupacji nauczali na tajnych kompletach”.

Trzeba dodać, że w obszernej willi oprócz pokoi dla letników działał także umieszczony tam przez niemieckie władze okupacyjne sąd grodzki. Czy tajne komplety odbywały się także w tym domu, pod nosem urzędu – tego nie wiemy. Pani Hałacińska wspomina coś innego – gdy po wojnie robiono remont, to „przy wybieraniu ziemi wokół głębokich, co najmniej trzymetrowych fundamentów, odkryto arsenał broni”.

Pod koniec sierpnia 1944 r. z walczącej Warszawy udało się wydostać siostrze Władysława Szulca, ciotce Lilce z mężem Tomaszem Jaworskim i kilkuletnim synkiem Tomkiem. „Zamieszkali razem z nami w mieszkaniu na piętrze w tej willi – mówił mi poeta. – Mój ojciec był jednak bardzo przezornym człowiekiem. Wiedział, że jak się chce przeżyć, nie należy się Niemcom pokazywać na oczy, i postanowił znaleźć jakieś inne mieszkanie, trochę dalej”. Można rzec – znał naturę rzeczy i umiał w zgodzie z tą wiedzą działać.

A jaka była owa natura rzeczy?

Jak można przeczytać w „Szkicach z dziejów miasta Piaseczna” Ewy i Włodzimierza Biegańskich: „W połowie sierpnia Niemcy zarządzili wysiedlenie ludności z pasa nadwiślańskiego. Piaseczno również znalazło się wewnątrz tego obszaru. W mieście ogłoszono termin 27 sierpnia do wywiezienia części ludności. Pod koniec miesiąca termin ten uchylono”. Czy wtedy ojciec poety zaczął rozglądać się za nowym lokum?

25 sierpnia w ramach rozprawy z oddziałami Armii Krajowej w Lasach Chojnowskich Niemcy urządzili – prócz rozstrzelania kilkudziesięciu Polaków podejrzewanych o pomoc Powstaniu – łapankę na uciekinierów z Warszawy m.in.

w pobliskim Żabieńcu. Wpadło w nią także wielu letników z Warszawy. Ludzie ci trafili do zorganizowanego w Żabieńcu obozu przejściowego, potem prócz niewielu, którym udało się wydostać, zostali wywiezieni w „nieznany kierunek”. Ów nieznany kierunek to obóz koncentracyjny.

Czemu wuj Tomek, muzyk warszawskiej filharmonii, tego zagrożenia nie odczytał? Musiały toczyć się na ten temat intensywne dyskusje, skoro dziewięcioletni Jarosław zapamiętał, że jego ojciec namawiał wuję i ciocię, by uciekali z Piaseczna. Znalazł wtedy pokój na poddaszu domu w Gołkowie.

Być może państwo Jaworscy podzielali przekonanie pojawiające się w wielu wspomnieniach z tego czasu – że Niemcy są już słabi, coraz słabsi. Lada dzień zostaną przegonieni.

ZEJŚĆ Z OCZU

Biegańscy w „Szkicach...” podają, że „w październiku w dwóch okresach Niemcy otoczyli wojskiem całe miasto i wyłapali uciekinierów z Warszawy w liczbie ok. 1000 osób. Warszawianków wywożono kolejami w nieznanych kierunkach”.

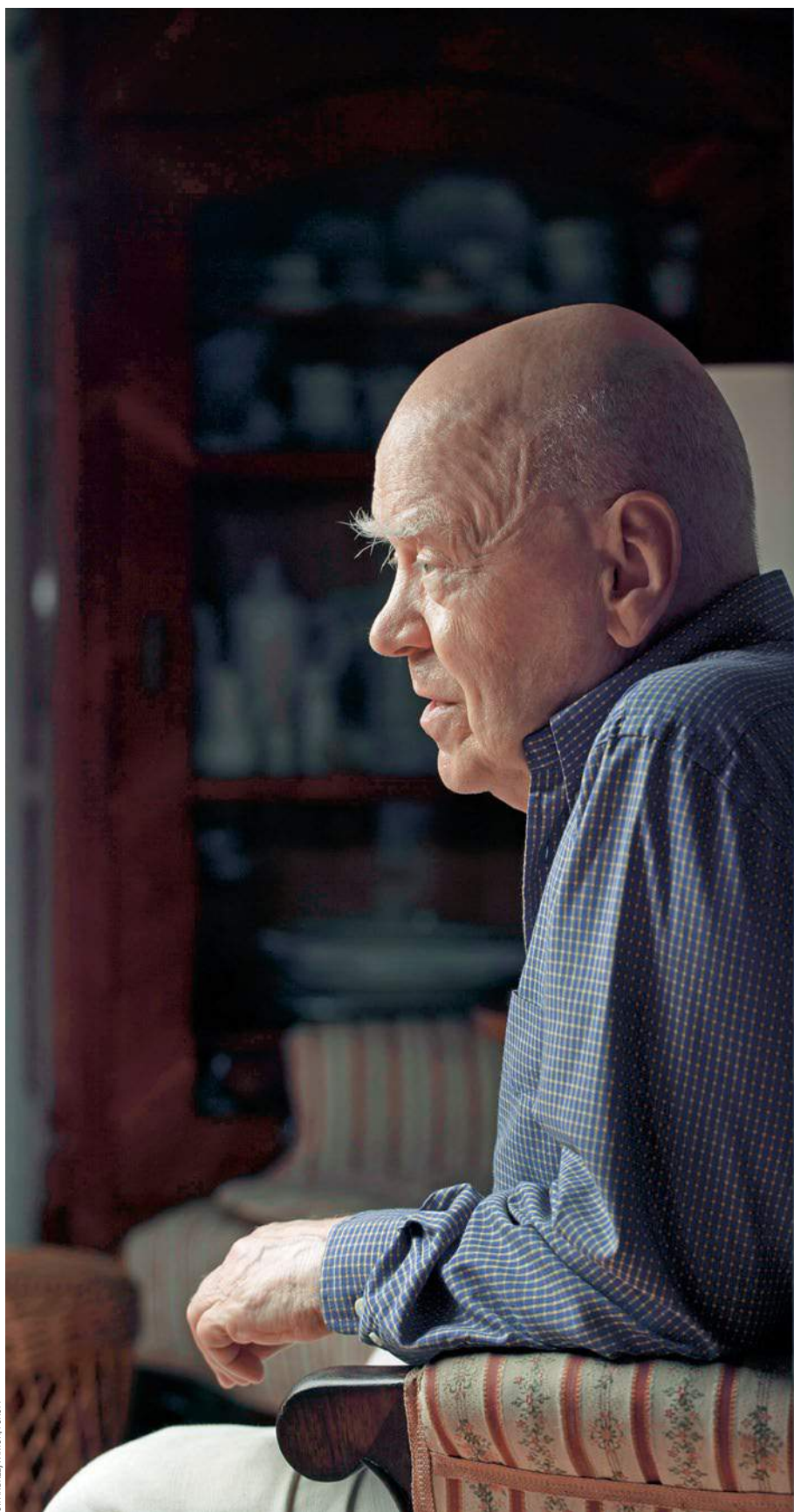
To jest ten kolejny moment, który zdecydował o życiu poety. Uniknął wtedy – na przełomie września i października 1944 r. – jakiegoś innego, dramatycznego losu. Rodzinę Jaworskich Niemcy wygarnęli z willi – wuj Tomek zginął w Stutthofie, ciotka z synkiem trafiła do Dulagu, obozu w Pruszkowie. Stamtąd udało się im wydostać i dotrzeć do Częstochowy, do zgromadzenia Zmartwychwstanek, gdzie druga ciotka poety, Marychna, była zakonnicą i przełożoną. Wojnę przeżyli. Czy mały Jarek także zdołałby wydostać się z mamą i siostrą (bo ojca pewnie, jak wuję, Niemcy by zabili) i trafić pod dach klasztoru żeńskiego w Częstochowie?

Władysław Szulc miał dobrze rozpoznaną naturę Niemców. Można rzec – nie miał co do niej złudzeń, gdy wyprowadzał z Piaseczna swoją rodzinę, zaprzęgnięty w wózek z kilkoma tobołami – tak by zejść im z oczu.

„Znajomość skutku zależy od znajomości przyczyny i obejmuje ją w sobie” – to aksjomat Barucha Spinozy zawarty w „Etyce w porządku geometrycznym dowiedzionej” w przekładzie Ignacego Myślickiego.

Aha, jeszcze jedno – wnuk Jarosława Marka Rymkiewicza ma na imię Ignacy.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. ANDRZEJ WIKTOR/EPRA



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW
CZEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Tyle słońca w całym mieście



★★★★★

REŻ. ADAM
GUZIŃSKI
„WSPOMNIENIE
LATA”
POLSKA 2016

wyst. Max
Jastrzębski, Urszula
Grabowska, Robert
Więckiewicz

Nigdy człowiek nie czuje się bardziej samotny niż wtedy, gdy ma 12 lat. Znika naiwna wiara, że świat jest bezpieczny, przyszłość przewidywalna, dorośli zaś wiedzą, co robią. Ojcowski autorytet wali się w gruzy, przyjaciel łatwiej się traci, niż zdobywa. Zaczynasz wątpić, że poradzisz sobie w życiu. Drobne niepowodzenie urasta do rozmiarów tragedii.

Nasi filmowcy lubili kiedyś takie klimaty. Za mistrzów opowiadania o dzieciach, które dziećmi być przestają, zasłużenie uchodzili Janusz Nasfeter i Stanisław Jędryka. Ten drugi przeniósł m.in. na ekran opowiadanie Janusza Domagalika „Koniec wakacji”, którego bohater przeżywał pierwsze miłosne zauroczenie, będąc jednocześnie świadkiem rozpadu małżeń-

stwa własnych rodziców. Fabuła „Wspomnienia lata” jest dziwnie podobna, akcja zaś rozgrywa się w czasach, gdy Nasfeter i Jędryka odnosili największe sukcesy, czyli w epoce gierkowskiej.

Oko cieszą więc lokomotywy buchające parą, woda sodowa z saturatora, siatki na zakupy, strzelnica, na której można wygrać kwiatka z papieru. Nad ulicą wisi transparent z napisem: „Program partii programem narodu”, w mieszkaniach – ślamiarki i wyszywane makatki w stylu: „Co ja ugotuję, to wszystkim smakuje”. Wszyscy palą papierosy. Dekada dobrobytu na kredyt dobiega już końca, jednak obywatele wylegujący się nad glinianką na kocykach, z radiem tranzystorowym nastawionym na „Lato z radiem”, jeszcze o tym nie wiedzą.

Piotrek, milczek i szachista, nudzi się jak mops. Ojciec tyra gdzieś za granicą, w domu pojawia się od wielkiego dzwonu. Matka za dnia pracuje, lecz wieczorami ją nosi. Chłopak, który złożył tacie obietnicę, że się nią zaopiekuje (czytaj: przypilnuje), ma coraz więcej powodów do zmartwień. Urszula Grabowska wzorowo odgrywa rolę kokietki i manipularki. Fabuła jest oparta na niedomówieniach, widz sam sobie musi dośpiewać, co wydarzyło się poza kadrem.

„Wspomnienie lata” obroniłoby się również bez historycznego sztafazu. Familii, w których co najmniej jedno z małżonków żyje i zarabia za granicą, jest wszak więcej niż w latach, gdy „Naród był z Partią, a Partia z Narodem”. Rodziców stosujących wobec swych pociech szantaż emocjonalny też by się dzisiaj trochę znalazło. Film Adama Guzińskiego już od dwóch lat tuła się po festiwalach, na ekranach wchodzi bez fanfar i nadziei na kasowy sukces. Ludzie chodzą przecież do kina po to, żeby się rozerwać, a nie patrzeć w lustro. Równieśnicy Piotrka są już po pięćdziesiątce. Ciekawe, czy zgodziliby się z opinią, że świat zmienił się na lepsze, bo zamiast nad gliniankę można pójść do aquaparku. ©©



KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „PRZEPRASZAM, ŻE PRZESZKADZAM”

Czarna komedia z elementami fantastyki i polityczna satyra zarazem, jeden z lepszych filmów roku 2018. Młody, czarnoskóry człowiek poszukujący swego miejsca w życiu, staje się trybikiem korporacyjnej maszyny telemarketingu. Odkrywa wkrótce, że znalazł się w samym środku intrygi o wiele niebezpieczniejszej niż groźba

posiadania bezwartościowej encyklopedii. Jest w tej historii duch spiskowych powieści Philipa K. Dicka, jest i szalony humor rodem z Monty Pythona. ©© **Piotr Gociek**

• „Przepraszam, że przeszkadzam”, reż. Boots Riley, wyst. Lakeith Stanfield, Tessa Thompson, Jermaine Fowler, Danny Glover, USA 2018

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „Przemytnik”, reż. Clint Eastwood, USA 2018
- „Kurier”, reż. Władysław Pasikowski, Polska 2019 (recenzja na str. 42)
- „Wszyscy wiedzą”, reż. Asghar Farhadi, Hiszpania/Francja 2018
- „High Life”, reż. Claire Denis, Wielka Brytania/Niemcy 2018

Kim ja jestem?

Odmieńcy są wśród nas. I co tu zrobić z tym fantem? – zastanawia się szwedzki reżyser, żeby było ciekawiej, urodzony w Teheranie. „Granica” jest dobrym testem na tolerancję: jednych zachwyca, innych odrzuca. Tych drugich byłoby jeszcze więcej, gdyby intrygi nie podano w cokolwiek baśniowym entourage’u.

Główna bohaterka, kobieta o oryginalnej urodzie i nadzwyczajnym węchu, jest postrachem przemytników przybywających do kraju ABBY od strony morza. Bez pudła wyczuwa ich strach i złe emocje. Po pracy relaksuje się na łonie natury. Z florą i fauną ma zresztą lepsze porozumienie niż z ludźmi. Tylko psy jej jakoś nie lubią.

Kłopoty Tyny z tożsamością,

spowalniające śledztwo w sprawie szajki pedofilów, współgrają z duchem epoki. Zerwać cywilizacyjne pęta, biegać na golasa po lesie i kąpać się w jeziorze, przytulać do drzew, wcinąć ślimaki i pędraki – z takim programem już wkrótce będzie można dostać się do europarlamentu.



★★★★★
REŻ. ALI ABBASI
„GRANICA”
(„GRÄNS”)
SZWECJA 2018

wyst. Eva Melander,
Eero Milonoff,
Jörgen Thorsson

W propagowaniu panteizmu „Granica” jest znacznie lepsza niż polski „Pokot”, ale jej siłę rażenia osłabia turpizm, serwowany w ilościach szkodliwych dla zdrowia. Zasłużonej nominacji do Oscara za charakteryzację powinno towarzyszyć dodatkowe wyróżnienie – za najbardziej obrzydliwą scenę erotyczną sezonu. A może i dekady.

©© **Wiesław Chełmniak**



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „STELLARIS”

Kto za młodu spędzał godziny nad „Master of Orion”, ten dobrze zna czar strategii rozgrywaną na isticie galaktyczną skalę. W świecie gier 4X (explore, expand, exploit, exterminate) nie pochylamy się nad jednym żołnierzem, ale nad planetami i flotami krążowników. Do tej pory

rozgrywki tego typu były jednak przypisane ściśle do komputerów osobistych. Za dużo tabelek, klikania i powolna rozgrywka sprawiała, że gracze konsolowi byli odstawiani na bok. Aż do teraz, bo jedna z najlepszych gier serii „Stellaris” po premierze na PC przenosi się również na



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

JAK ZESTARZEĆ SIĘ BRZYDKO

Z początku wydaje się, że będzie to kolejna sentymentalna komedia kryminalna o rabusiach na emeryturze. Szybko jednak się okazuje, że ani sentymentów, ani dobrego kryminału oczekiwać nie możemy. Kwiat brytyjskich aktorów wciela się w specjalistów od włamów, którzy po latach szykują skok na sejf z diamentami.

Po pierwszym zauroczeniu (wprowadzenie w fabułę jest naprawdę niezłe, w końcu reżyserem jest twórca „Teorii wszystkiego”) widz odkrywa, że szajka starszków jednak nie budzi sympatii, górę biorą animozje między nimi oraz między starą ekipą a jednym nowym (i młodszym) członkiem grupy. Wątek kryminalny też specjalnie emocjonujący nie jest, widzieliśmy wiele bardziej efektownych włamów. Robi się nudno, dialogi szwankują, a morał brzmi: „Kto się urodził bandytą, zawsze będzie bandytą” oraz „Oszukaj bliźniego swego, zanim on zdąży cię oszukać”. Na koniec dostajemy info, że podobna historia wydarzyła się naprawdę. No i co z tego?



★★★★★
REŻ. JAMES MARSH
„KRÓL ZŁODZIEI”
WIELKA
BRITANIA 2018,
DYSTR. MONOLITH

wyst. Michael Caine, Charlie Cox,
Michael Gambon, Ray Winstone

PEWNEJ KRWAWEJ NOCY

Świetny filmu początek, ale koniec żałosny: w podupadłym motelu melduje się gromada dziwnych gości. Książę, sprzedawca odkurzaczy, popchórzystka, zbuntowana dziewczyna ukrywająca w pokoju inną dziewczynę. Motyl jest dziwny i recepcjonista też, raz całkany po uszy, kiedy indziej targany potężnymi wyrzutami sumienia. No i pyszna obsada: Jeff Bridges, Jon Hamm, Dakota Johnson. Po co tu przybyli? Wszyscy coś ukrywają. Jednak to, co zaczyna się jak intrygująca psychodrama w duchu Quentina Tarantino, w połowie filmu zamienia się w zabawę tyleż krwawą, co jałową. Jeśli nie surrealistyczna metafora, to była i inna droga: pójść śladami Agathy Christie. Tyle że dzieła genialnej Brytyjki trzymały w napięciu do końca i były błyskotliwymi portretami obyczajowymi. W „Żle się dzieje w El Royale” postaci, zamiast zyskiwać na głębi, stają się coraz bardziej jednomyślnymi. ©© **recenzuje Piotr Gociak**



★★★★★
REŻ. DREW GODDARD
„ŻLE SIĘ DZIEJE
W EL ROYALE”
USA 2018,
DYSTR. IMPERIAL

wyst. Chris Hemsworth, Dakota Johnson,
Jon Hamm, Jeff Bridges

PlayStation i Xboxa. Naprawdę udana konwersja. ©© **Marcin Makowski**

- **Gatunek:** Strategiczna
- **Platforma:** PS4/XONE
- **Producent, dystrybutor:** Paradox Interactive
- **Klasyfikacja PEGI:** 7+



KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Liebert znad Dniestru



Feliks Łańcucki (z lewej) i Jerzy Liebert

FOT. BIBLIOTEKA NAUKOWA MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI, WIKIPEDIA

Na 80 stroniczkach małego tomiku mieści się cały dorobek literacki Feliksa Łańcuckiego, poety, którego odkrywamy właściwie dopiero teraz, 77 lat po jego przedwczesnej śmierci. A zmarł w wieku 23 lat. Na gruźlicę; w czasie wojny i okupacji ludzie umierali nie tylko od kul.

Urodził się Łańcucki w Żurawnie nad Dniestrem, był wychowankiem sławnego Liceum Krzemienieckiego. O swoim Wołyniu tak pisał:

Upokorzony złą samotnością

I próżną pychę –

**Patrzę jak słońce miodem napełnia
Kwiatów kielichy.**

I jak wieczorem do rudych uli

Wlatują pszczoły,

Jak błękitnie mgłą niebieskawą

Szeroki Wołyn.

Gdy ciemne chmury jasnością bodzie

Róg księżycowy,

Z łąk śpiewających rechotem żabim

Wracają krowy.

Mleko wytryska ciepłe i białe

Z kulistych wymion –

Wtedy znajduję niespodziewanie

Człowiecze imię.

„Dionizyjska żarliwość (czy wysłuchał ją u młodego Iwaszkiewicza?) chroni go przed blazą młodo-polskiej minoderii. Toteż nie sposób go nazwać epigonem zaprzyszłych poetów, nawet jeśli mówi się o jego juvenilnej twórczości z roku 1937. Czyż nie jest wszakże tak, że wrażliwość kresowa, więcej: krzemieniecka wrażliwość kresowa, nie tylko chroni przed epigonizmem w ogóle, lecz epigonizm ów logicznie i meta-

fizycznie – wyklucza. A jest to również przypadek charakterystyczny dla Feliksa Łańcuckiego, którego moglibyśmy nazwać »Liebertem znad Dniestru«. Moglibyśmy, lecz nie powinniśmy – twierdzi krytyk Karol Samsel. – Co nie zmienia faktu, że nastoletni zaledwie Łańcucki z Liebertem dyskutował, Lieberta rewidował, że dziedziny wrażliwości, które ich pociągały, następowały po sobie, jedna po drugiej, na jednym polu – choć z sześcioletnią pauzą: między rokiem śmierci autora tomu »Kołysanka jodłowa« (1931) a rokiem debiutu autora wiersza »Jodły czorsztyńskie« (1937)”. Może więc jednak wolno nam nazwać w tym miejscu Łańcuckiego Liebertem znad Dniestru? I uściślijmy: „Jodły czorsztyńskie” wyszły spod pióra Feliksa Łańcuckiego, edycji „Kołysanki jodłowej”, swojego najwybitniejszego tomu, Jerzy Liebert nie doczekał. Zmarł w wieku 27 lat na gruźlicę.

Możemy porównać wiersze tych poetów. PIW wydał bowiem, niemal równoległe, „Poezje zebrane” Jerzego Lieberta. Wśród wierszy tam pomieszczonych znajduje się, oczywiście – „Jeździec”, jeden z najważniejszych XX-wiecznych polskich utworów o tematyce religijnej:

Uciekałem przed Tobą w popłochu.

Chciałem zmylić, oszukać Ciebie –

Lecz co dnia kolana uparte

Zostawiały ślady na niebie.

Dogoniłeś mnie, jeźdźcu niebieski.

Stratowałeś, stanąłeś na mnie.

**Ległem zbity, laską podcięty
Jak dym, gdy wicher go nagnie.**

**Nie mam słów, by spod Ciebie się
podnieść.**

Coraz cięższa staje się mowa.

Czyżby słowa utracić trzeba.

By jak duszę odzyskać słowa?

**Czyli trzeba aż przejść przez siebie,
Twoim słowem siebie zawierzyć –
Jeśli trzeba, to trąć do dna,
Jestem tylko Twoim żołnierzem.**

Jedno wiem i innych objawień

Nie potrzeba oczom i uszom –

Uczyniwszy na wieki wybór,

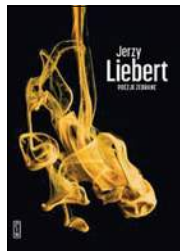
W każdej chwili wybierać muszę.

No, takiego wiersza młody Łańcucki nie napisał. Swoją drogą, Jarosław Iwaszkiewicz zarzucał Liebertowi rodzaj pychy, będący – jego zdaniem – „niepokojącym zjawiskiem u wierzących katolików, którzy w poczuciu posiadania prawdy mają czasem dla bliźniego zbyt wiele litości, graniczącej z pogardą. Kiedy jednak Liebert towarzyszył Iwaszkiewiczowi podczas czuwania przy umierającej matce, a potem wspólnie z nim przeżywał tę bolesną stratę – ten odczytał jego postawę zupełnie inaczej i porównał go do anioła pocieszenia”.

A według wspomnień Rafała Blütha Liebert miał zostać tercjarzem, czyli członkiem III zakonu św. Franciszka, i przez jakiś czas wahał się, czy nie zamieszkać w Lasakach i uczyć niewidome dzieci. Zdecydował w końcu inaczej, a niebawem wszystkie plany zniweczyła śmiertelna choroba. Ostatnie utwory pisał niecały miesiąc przed śmiercią. Nie mogła już go uratować kosztowna kuracja w Worochcie na Huculszczyźnie, dokąd przyjechał z Lasek ks. Kornikowicz, by zaopatrzyć go na ostatni już odcinek drogi mocą sakramentu namaszczenia chorych, i potem w tę drogę go odprowadził – na warszawskie Powązki. ©



★★★★★
FELIKS ŁAŃCUCKI
**„WIERESZE
ZEBRANE”**
PIW 2019



★★★★★
JERZY LIEBERT
**„POEZJE
ZEBRANE”**
PIW 2018



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Mroczne ścieżki serca

Był rok 1958. Udużona, porzucona wśród bluszczu na poboczu drogi kobieta miała na sobie błękitno-granatową sukienkę. Na palcu pierścioneł ze sztuczną perłą. Sprawca nieznany, odnotowała policja i zamknęła sprawę. Na imię miała Geneva, ale wszyscy mówili na nią Jean. Jej syn miał wtedy 10 lat. Żyje do dziś. Nazywa się James Ellroy.

W pierwszej połowie lat 90. Ellroy miał już za sobą 10 powieści, w tym słynny „kwartet Los Angeles”, którego najśłynniejszymi częściami są „Tajemnice Los Angeles” i „Czarna Dalia”. Za pieniądze z honorariów wynajął detektywa i rozpoczął własne śledztwo. Jego historię opisał.

Zdarzyło mi się tylko kilka razy w życiu, że zagłębiając się w lekturę, czułem się jak uderzony piorunem. Tak było, gdy wziąłem do ręki „Neuromancera” Gibsona, „Wojnę końca świata” Llosy czy „Życie jest gdzie indziej” Kundery. Tak było i z książką „My Dark Places” – przyznajcie, o ileż lepiej to brzmi w oryginale od polskiego „Cienie mojego życia”.

Długo czekałem na jej polską premierę.

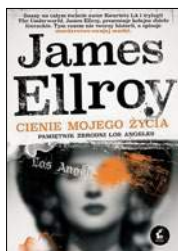
Być może nadeszła za sprawą narastającej i u nas mody na opowieści „true crime”.

Nieważny powód, ważny efekt: jest. Nareszcie.

Jamesa Ellroya zawsze czytałem łapczywie, nawet kiedy przeginał ze spiskowymi teoriami albo kiedy elegancka konstrukcja jego książek (znana z „Tajemnic Los Angeles” czy „Czarnej Dalii”) rozsypywała się w niektórych powieściach pod naporem nieokiełznanej pasji wścieklej pisaniny człowieka, który ma ochotę wysadzić świat w powietrze. „Cienie mojego życia” są moim zdaniem jego najwybitniejszą książką.

Ellroy jest niezwykłym, wielkim pisarzem, świetnym stylistą, to, że wyrósł akurat na podglebiu kryminału, jest nieistotne. Ludzie i emocje – to w jego książkach jest prawdziwe, nawet gdy wymyślone, a jego fraza jest nie do podrobienia. „Cienie mojego życia” dokładają do tego wszystkiego jeszcze jeden element – potworny ból i tęsknotę wprost z biografii samego pisarza.

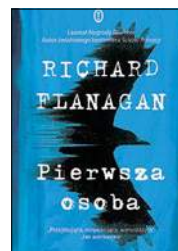
To proza napisana jak wielka elegia, a jednocześnie kryminalny poemat przepełniony wściekłością. „Umarłaś głupio i brutalnie. Chcę przywrócić ci oddech” – pisze Ellroy w liście do nieżyjącej matki, który otwiera tę książkę. To nie jest optymistyczna historia. Ale trudno znaleźć lepiej napisaną. ©©



★★★★★
JAMES ELLROY
„Cienie mojego życia”
SONIA DRAGA
2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Nowa powieść znakomitego pisarza australijskiego, autora „Nieznanej terrorystki” i „Ścieżek Północy”. Rzecz o zuchwałym oszuście i wynajętym przez niego do napisania autobiografii początkującym pisarzu. Trzyma poziom.



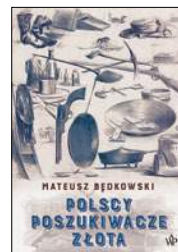
RICHARD FLANAGAN
„PIERWSZA OSOBA”
WYDAWNICTWO LITERACKIE

Polski debiut francuskiego lekarza i showmana, który od lat słynie z ostrych opinii wygłaszanych w mediach. Jego opowieść o tym, jak zadbać o swój umysł, przekonała mnie już w chwili, gdy doradzał łososia, a odradzał marihuanę.



MICHEL CYMES
„TWÓJ MÓZG”
ANDROMEDA

Gdzie złoto, tam przygoda, gdzie przygoda, tam Polacy. Od Kalifornii do Australii, od Syberii do południowej Afryki. Wśród bohaterów książki znane, dziś niesłusznie zapomniane postacie: Sygurd Wiśniowski i Paweł Strzelecki.



MATEUSZ BĘDKOWSKI
„POLSCY POSZUKIWACZE ZŁOTA”
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Albo tom pierwszy lub drugi, o ile je gdzieś dostaniecie, bo sprzedawały się jak ciepłe bułeczki. Seria komiksów o przygodach bohaterów to jeden z przebojów wydawniczych ostatnich miesięcy. ©©

poleca Piotr Gociek



AUTORZY RÓŻNI
„RICK I MORTY”, TOM 3
EGMONT

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

- Katarzyna Puzyńska „Rodzanie” (Prószyrski Media)** – 10 tom serii o policjantach z Lipowa. Szybko poszło, pierwszy ukazał się w 2014 r.
- George R.R. Martin „Ogień i krew. Część 2” (Zysk i S-ka)** – opowieść o czasach poprzedzających „Grę o tron”. Dzieje podboju Westeros i dynastii Targaryenów.
- Anja Rubik „#SEXED.PL” (W.A.B.)** – modelka Anja Rubik „Jamie tabu” w 18 rozmowach o seksie. Puściutki. Najbardziej niepotrzebna książka roku 2018.
- Bruce W. Cameron „O psie, który wrócił do domu” (Wydawnictwo Kobiece)** – bestseller autora „Był sobie pies” wraca na listy hitów za sprawą ekranizacji.
- Remigiusz Mróz „Nieodgadniona” (Filia)** – drugi tom cyklu rozpoczętego powieścią „Nieodnaleziona”, którego bohaterem jest Damian Werner.

(Najchętniej kupowane książki w sieci BookBook od 3 do 17 lutego 2019 r.)



FOT. TOMEK KACZOR

Elementy wspólne są tu dwa: Bóg oraz miejsce w Polsce, w którym od wieków żyją obok siebie wyznawcy różnych religii – Podlasie. „Jeden – wiele” to niezwykła płyta. Jest zapisem tego, jak przedstawiciele kilku różnych kultur i wyznań pieśnią oraz muzyką chwalą Boga. Wśród 15 utworów są więc

i pieśni chrześcijańskie, i prawosławne, i żydowskie, i muzułmańskie, i staro-wierców; są języki: polski, rosyjski, grecki, hebrajski, staroniemiecki, cerkiewno-słowiański i inne.

Na pierwszy rzut oka – mieszanka trudna do pogodzenia. Jednak tak nie jest. Mimo że pieśni te wznoszone

są do inaczej rozumianego Boga, w różnych językach, różne są też w warstwie muzycznej, to płyta (i zapewne koncerty „Jeden – wiele”) układają się w wygładzoną całość. Tak jakby jedna modlitwa uzupełniała drugą, jakby zupełnie naturalne było zestawienie XIX-wiecznej pieśni „Kiedy ranne wstają

zorze” ze słowami Franciszka Karpińskiego i muzyką Stanisława Moniuszki z pieśnią „Salam alejkum” ze słowami, które miał napisać dziadek Mahometa, żyjący na przełomie V i VI w. n.e. Abd al-Muttalib. Jakby oczywiste było, że np. prawosławna pieśń piel-grzymkowa i tradycyjna me-sjańska pieśń żydowska mogą tak ze sobą harmonizować. Łatwo można sobie wyobrazić, że takie współbrzmienie mogłoby istnieć nie tylko na płycie i koncertach...

Za projekt odpowiadają kompozytorka, wokalistka, aktorka i multiinstrumentalistka Karolina Cicha (potrafiąca grać na kilku instrumentach jednocześnie) oraz wokalistka i aktorka Elżbieta Rojek. Obie artystki mocno zakorzenione w folku i muzyce etnicznej, obie ciekawe i poszukujące nowych brzmień. Obie nagradzane. Zasłużenie zresztą. ©©

Radosław Wojtas



GRZEGORZ
BRZOSOWICZ

NA SŁUCH

Kiedy już nic nie musisz. John Mayall powraca



★★★★★
JOHN MAYALL
„NOBODY
TOLD ME”
FORTY BELOW

Ojciec brytyjskiego bluesa nie zwalnia. Mimo przebycia w ubiegłym roku zapalenia płuc nagrał swój 38. studyjny album.

Chociaż 85-letni John Mayall nigdy nie odniósł komercyjnego sukcesu, to z jego zespołów wyszli giganci światowego rocka, tacy jak Eric Clapton, Peter Green czy Mick Taylor. Do połowy lat 70. eksperymentował, łącząc bluesa z jazzem, psychodelią czy soulem. Później popadł w zapomnienie, ale zawsze cieszył się szacunkiem wśród muzyków. Na płycie goszczą m.in. Joe Bonamassa, Steven Van

Zandt, Alex Lifeson (Rush) czy niesamowity czarnoskóry Larry McCray.

Trudno oczekiwać, by dziś Mayall zdobywał nowe szczyty, ale jest to bardzo zacna płyta. Taka, na którą czekają miłośnicy bluesa wywodzącego się z elektrycznej szkoły chicagowskiej. Sekcja dęta pompuje z wielką siłą, gitarowe solówki rozrywają głośniki, a całość pięknie ozdabiają ustna harmonijka i organy lidera. Głos Mayalla brzmi godnie, a jak śpiewa z pasją: „Kiedy widzę ciebie spacerującą, tracę panowanie nad sobą”, to trudno mu nie wierzyć. ©©



★★★★★
**FRANCISZEK
POSPIESZAŃSKI TRIO**
„ACCUMULATED
THOUGHTS”
MONOCHROM
STUDIO

Akustyczny jazz w klimacie lat 70. w wykonaniu młodego polsko-węgierskiego tria. Muzycy po międzynarodowych akademiach, współtworząc wspaniały klimat, nie silą się na „awangardowe” jazdy. Nie tylko dla tradycyjalistów.



★★★★★
PHIL COLLINS
„SERIOUS HITS...
LIVE!” / „A HOT
NIGHT IN PARIS”
ATLANTIC

W czerwcu zagra na Narodowym. Teraz dostajemy jego odnowione dwżwkowo płyty koncertowe. Pierwsza ('90) podsumowuje najpopularniejszy okres dokonań Anglika, druga ('99) zawiera jazzowe, instrumentalne wersje piosenek Collinsa i Genesis. ©©

"Złodziejaszki skradły moje serce"

Grażyna Torbicka



OSCAR® 2019
NOMINACJA
NAJLEPSZY FILM



ZŁOTA PALMA
CANNES 2018

ZŁODZIEJASZKI

FILM HIROKAZU KORE-EDY

LILY FRANKY · SAKURA ANDO · MAYU MATSUOKA · KILIN KIKI

FLUJ TELEVISION NETWORK, CACA CORPORATION and AUI PRO. PRESENTS A FILM BY HIROKAZU KORE-EDA "SHOPLIFTERS" LILY FRANKY, ANDO SAKURA, MATSUOKA MAYU, KIKI KILIN. MUSIC BY HOSONO HARUOMI (VICTOR ENTERTAINMENT) DIRECTOR OF PHOTOGRAPHY KENDO RYUTO LIGHTING BY FLUJ ISAMU
SOUND BY TOMITA KAZUHIKO PRODUCTION DESIGNER MATSUMATSU KEIKO PRODUCTION BY AUI PRO. INC. CHIEF EXECUTIVE PRODUCERS ISHIBARA TAKASHI TOM YODA NAKAE YASUHIRO ASSOCIATE PRODUCERS OSAWA MEGUMI DOAKE SATOMI PRODUCERS MATSUZAKI KADIRU YOSE AKIHIKO TAGUCHI HIJURI WRITTEN, EDITED AND DIRECTED BY KORE-EDA HIROKAZU

W KINACH OD 22 MARCA

PMPC
POLSKIE
MEDIA

Classic

wprost

co jest
grane24

KINO

DO
RZECZY

DO
RZECZY

FILM

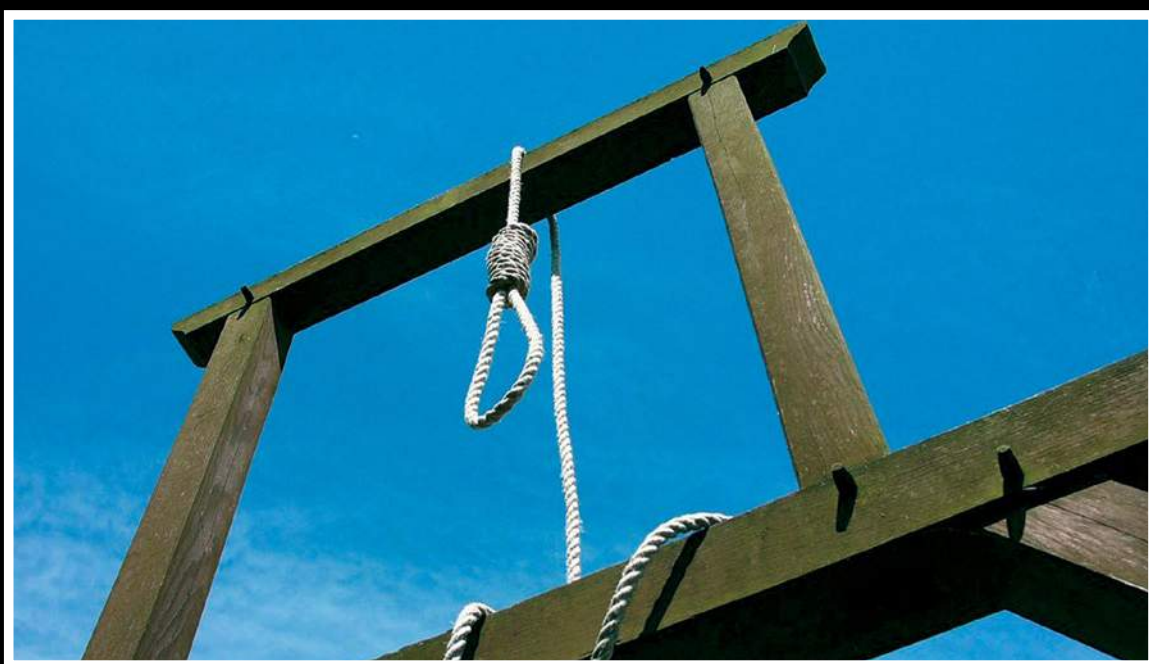
psychologia dla ciebie
sens

FILMOTERAPIA.PL

eprasa.pl/6a668f

Znowu wieszać?

[DYWAGACJE O KARZE ŚMIERCI
BĘDĄCEJ PONOWNIE NA TAPECIE WSKUTEK
ZASZTYLETOWANIA PREZYDENTA GDAŃSKA]



Jan Kochanowski: „Słusznie się zły człowiek śmierci boi...”

Bolesław Prus: „Kara następująca po zbrodni uczy innych,
że tego spełniać nie wolno”.

Cyprian Kamil Norwid: „Śmierci kara
Wyrzuconą jest z użycia
Jak pogan ofiara”.





Waldemar Łysiak

Styczniowy mord nożowniczy w Gdańsku ostro zatrzęsł rodzimą sceną polityczną i rewitalizował medialnie (który to już raz?) problem „kary głównej”. Jan Piński (szef „Bez Cenzury”): „*Brutalne zamordowanie na oczach całej Polski prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza przywróciło temat powrotu kary śmierci. Jest o czym rozmawiać...*” (2019). Istotnie jest, choć rozmawiać można również o ciekawostce takiej jak fakt, że po zaszytym Adamowicza (przez psychopatę-socjopatę/kryminalistę-recydywistę) głosy sugerujące przywrócenie kary śmierci rozległy się ze strony Salonu, a to przecież nikt inny, tylko dyszący żądzą humanizmu/humanitaryzmu Salon priwiślański, małpując swych zachodnich komilitonów, zniósł 22 lata temu (1997) karę śmierci nad Wisłą. Większość społeczeństwa polskiego jest tej decyzji przeciwna do dziś. Zwolennicy powrotu „kary głównej” uważają będący pepiniarą jej zniesienia humanitaryzm za zbyt wąskotorowy/jednokierunkowy, gdyż obejmujący wyłącznie zbrodniarzy (często zwyrodniałców), a lekceważący prawa ofiar, ich ból oraz krzywdę, ich tragiczny los. Nie ma wątpliwości, że temat „*poena capitis redivivus*” alias „*death penalty come-back*” będzie niczym bumerang wracał jeszcze wiele razy (właśnie wrócił też w Sri Lance, gdzie karę śmierci tego roku reaktywowano, oraz we Francji, bo pewna frakcja ruchu „*żółtych kamizelek*” zażądała reaktywowania „*la peine capitale*” alias „*la peine de mort*”, lecz prezydent Macron te żądania odrzucił).

PĘTLA HISTORII

Traktowana dziś jako anachronizm — kara śmierci przez całe tysiąclecie uważana była za normalną i cieszyła się niekwestionowanym (rzec można: aklamacyjnym) poparciem społeczeństw. Cywilizacja Rzymu starożytnego miała ją za ofiarę ze strony skazańca i za najlepszą metodę prześlągnięcia bóstw („*supplicium*”). Co prawda w II wieku przed Chrystusem rzymski ród Porcjuszów zniósł stosowanie tej kary wobec obywateli

Rzymu (tzw. „*Prawa Porcjuszów*” — „*Leges Porciae*”), ale kiedy przyszedł czas cesarzy stała się ona rutynową karą za ciężkie przestępstwa. Walczący z Rzymianami Germanie tracili winnych zdrady i mordu. W Europie średniowiecznej, renesansowej i nowożytnej powszechnie karano śmiercią liczne kryminalne czyny, od krwawych zbrodni i gwałtów, do fałszowania monet.

XVIII wiek („*Wiek Oświecenia*”) przyniósł pierwsze gromkie głosy dezawuuujące „karę główną” — jako niehumanitarną. Szczególny rozgłos zyskała książka „*O przestępstwach i karach*” (1764; polskie wydanie 1772), dzieło włoskiego prawnika Cesare Bonesana de Beccarii, żądające m.in. zniesienia kary śmierci bezwarunkowo. Przejęło się tym postulatem kilku europejskich władców, a pierwsi zastosowali go praktycznie dwaj synowie

austriackiej cesarzowej Marii Teresy: rządzący Toskanią Leopold II i rządzący Austrią Józef II (egzegezę Beccarii wszczępił im sławny wiedeński profesor prawa karnego Joseph von Sonnenfels). Toskański kodeks karny zniósł karę śmierci A. D. 1786, zaś rok później (1787) tak samo uczyniła austriacka „*Powszechna Ustawa Karno*”. Co prawda już wkrótce przywrócono „karę główną” i tu, i tam (w Toskanii 1790, w Austrii 1795), lecz ziarno zostało zasiane.

Pierwsza połowa XIX stulecia nasiliła działania „*aboliconistów*” (zwolenników zniesienia kary śmierci). Kolejne stany amerykańskie znosiły ją od roku 1846. W 1847 rozważały jej likwidację Stany Pruskie, lecz jej zwolennicy wygrali głosowanie 63:34. W 1849 kontrmonarchistyczne (rewolucyjne) austriackie Zgromadzenie Narodowe zniósł ją

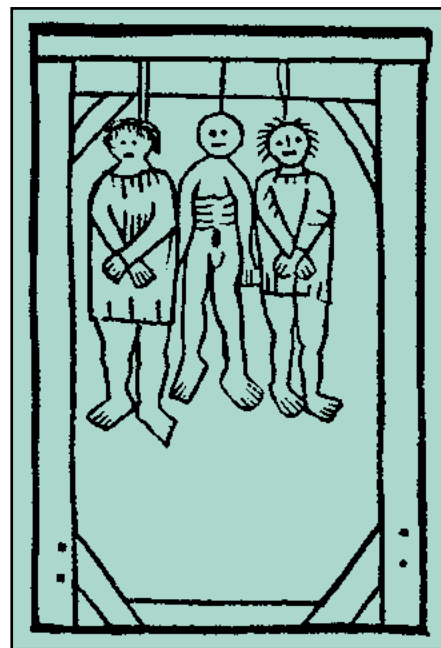


Hans Burgkmair Starszy, „Wieszanie” (drzeworyt z pierwszej połowy XVI wieku)

■ większością 197:106, lecz rychła klęska republikanów unieważniła werdykt. Tego samego roku (1849) całkowicie zlikwidowało karę śmierci państwo San Marino, Grecja w 1862, Rumunia w 1864, Portugalia w 1867, Holandia w 1870, itd. Równocześnie trwały coraz gorętsze spory publiczne à propos. Kazimierz Kalinka: „Kara śmierci jest jednym z przedmiotów dyskusji dotąd nieukończonych między prawnikami, publicystami i prawodawcami; zdaniem jednych kara ta jest potrzebną i słuszną, zdaniem drugich jest ona okrucieństwem

i pastwieniem się. Pierwsi mówią: społeczeństwo ma prawo odciąć zepsuty członek ciała swego, aby widokiem kary inni się od czynu złego odstraszyli. Drudzy twierdzą: przestępca jest jednostką chorą moralnie, popełnił czyn w chwili napadu tej choroby, społeczeństwo zaś jest osobą moralnie doskonałą, która odbierając życie jednostce podobny tamtemu czyn popełnia z rozważką, wiedzą i wolą, zabierając życie, którego nie dało” (1863).

Od początku XX wieku (Norwegia — 1902) wyrzucanie kary śmierci



z kodeksów prawnych przybierało na sile, automatycznie wzmagając temperaturę sporów o nią.

MIĘDZY „ZŁYM” A „DOBRYM”

We wzmiankowanym wyżej wzmaganiu temperatury sporu na temat słuszności/niesłuszności kary śmierci biorę od lat czynny udział nie tylko piórem publicysty, lecz i beletrysty. Exemplum moja wielokrotnie wznawiana powieść „Dobry” z 1990 roku. Jej główny bohater, Stefan Karśnicki vel „Książe”, pewnego dnia bezlitośnie rozbija ze swymi karatekami bandę sadystów gwałcących i okaleczających kobiety. Jego przyjaciółka, lekarka, typowa „Europejka poprawna politycznie”, widząc co „Książe” zrobił ze zwyrodnialcami, doznaje szoku. Rozpoczyna się gwałtowny dialog. Trzeci uczestnik dialogu, Mieczysław Heldbaum (pseudonim „Petroniusz”), robi lekarce wykład kontrabolicjonistyczny. Cytuję z książki kłótnię tego duetu:

„ — Jakie macie prawo zadawać śmierć?! — spytała go pani doktor. — Nawet państwo, kiedy zabija, sankcjonując taki odwet paragrafami, nie jest w porządku, bo zabijanie to barbarzyństwo, i nazywanie tego sprawiedliwością to też barbarzyństwo! W cywilizowanych krajach zniesiono karę śmierci, brzydząc się nią, i słusznie! Czy można nie brzydzić się czymś, co obraża człowieczeństwo, hańbi człowieka, jest ahumanitarne, bydlęce...

— Powiem pani coś, jeśli zechce mnie pani wysłuchać — przerwał jej «Petro-



Antonio Pisanello, „Wisielcy”
(fresk z pierwszej połowy XV wieku);
na prawej szpalcie: „Powieszeni”
(drzeworyt do pierwszego wydania
Villonowskiej „Ballady wisielców” 1489)

niesz». — W wielu krajach zachodnich, w których karę śmierci zniesiono, morduje się bez skrępowań i bez strachu, bo...

— Kim pan jest?! — zapiszczała.

— Heldbaum, współpracownik pana Karśnickiego, do usług.

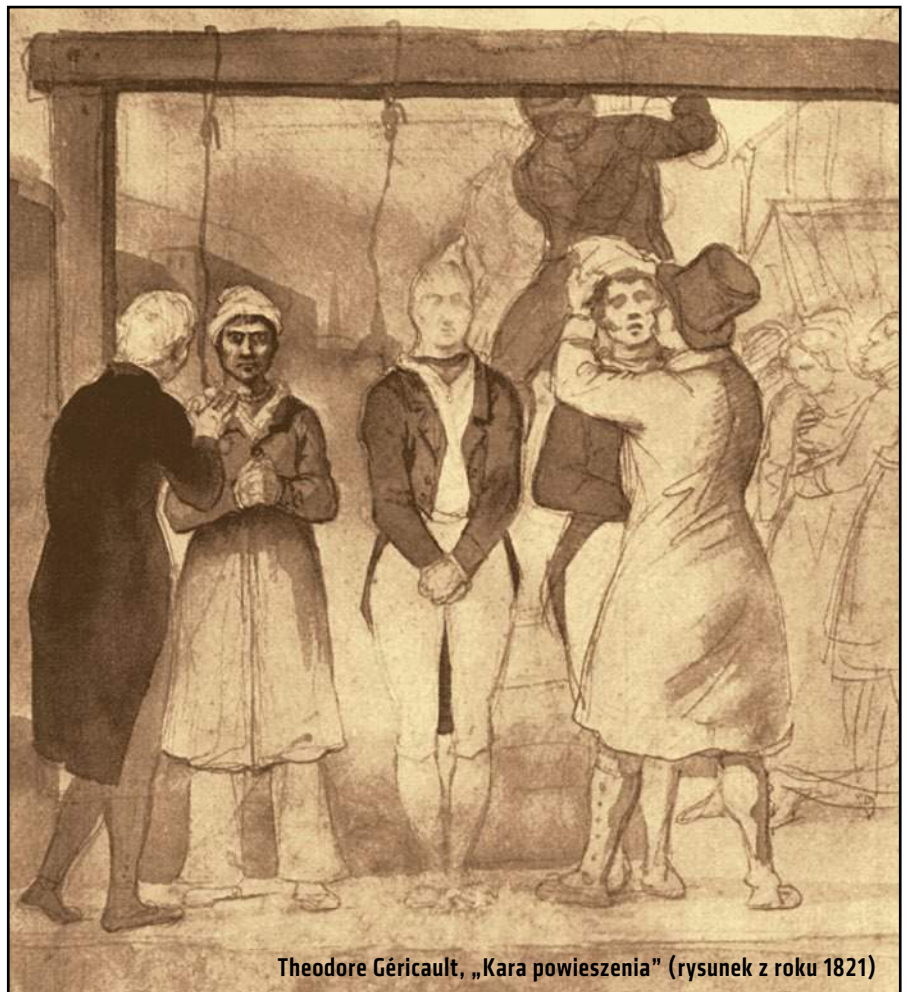
— Nie potrzebuję pańskich usług, panie Heldbaum!

— Z pewnością, ale potrzebuje pani kompasu do poruszania się przez krainę współczuć, żeby mogła pani trafić do współczuć właściwych, to jest takich, na które zasługują nie ci, których pani teraz obdarza litością. W tych krajach, o których wspominałem, bardzo często morduje się lub okalecza dzieci. Przyczyn jest bez liku, od seksualnych, poprzez kidnapingowe i sadyistyczne, aż do zemst na rodzicach. Lecz główną z przyczyn jest brak strachu przed okrutną karą! Porywacz nerwowo nie wytrzymuje, lub okup się spóźnia, więc ciach, dziecko w łeb! Albo je dusi. Albo je topi. Mafia sycylijska dopiero co zastrzeliła dwóch siedmioletnich chłopców i ich matkę, bo tatuś coś przewinił panom mafiosom. W zeszłym tygodniu w Mediolanie banda porywaczy wdarła się do domu przemysłowca, żeby mu porwać córeczkę, matka ją zastrzeliła i nie chciała oddać, więc kropnęli i matkę i dziecko, i poszli sobie. Pif-paf!, tak po prostu, proszę pani, czy to trudno nacisnąć cyngiel? Albo podłożyć bombę w domu towarowym? Łatwiusieńko. Takie rzeczy dzieją się w tych krajach przez trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku.

A przecież ja mówię tylko o dzieciach, dorosłych zabija się dużo częściej, dla morderców życie człowieka jest tyle warte, co życie kurczaka. Wie pani dzięki komu? Dzięki pani. I dzięki takim jak pani.

— Pan zwariował, to brednie, nie będę tego słuchać! — szepnęła.

— A czy ja zmuszam panią? Proszę odwrócić się i odejść. Uciekać przed prawdami, obrażać się na prawdę, tak zwanego Greka udawać, jest łatwiusieńko, nieomal tak łatwo, jak uciąć palec lub ucho porwanemu dziecku, żeby rodzice zmiękli. Umówmy się, że ja będę mówił dalej, a pani pokaże mi plecy kiedy pani zechce i już nie będzie pani musiała znosić moich słów. Będę mówił wciąż o dzieciach, bo to lepiej trafia do wyobraźni. Nawet do wyobraźni kobiet... Wie pani, co jest teraz plagą krajów, w których panuje cywilizacja? Tak zwane kampanie promocyjne mafii narkotycznych. Przed każdą ze szkół grupa bandziorów rozdaje dzieciom cukierki z kokainą lub heroiną. Po kilku takich cukierkach dzieciak jest uzależnionym dożywotnio narkomanem. Albo śliczne nalepki do zeszytów. Dzieci przylepiają je liżąc



Theodore Géricault, „Kara powieszenia” (rysunek z roku 1821)

klej — klej nasyciony kokainą. Kilka nalepek i ma się klienta na całe jego zmarnowane życie. Działalność prawie bezkarna, bo nawet jak ktoś wpadnie, to grozi mu tylko cela z telewizorem, z której i tak kumple lub adwokaci prędzej czy później uwolnią...

Nie mogła odejść, jakby ją zaczarował. Ale wprawiało ją to w gniew:

— Co pan chce przez to udowodnić?! Że zabójstwo w odwecie to słuszny czyn?! A może to cnota?

— Chcę tylko uzasadnić to, co już pani wytknąłem. Bo pani się myli. To ludzie pani pokroju, którzy żądają zniesienia kary śmierci lub gdzie indziej obstają przy utrzymaniu tego zniesienia, posługując się hasłkami typu: humanitaryzm, barbarzyństwo, okrucieństwo, sadyzm, deptanie ludzkiej godności i temu podobne, to oni depczą godność człowieka! Depczą godność człowieka krzywdzonego, bezkarnie mordowanego, i pozbawiają go praw, angażując się w obronę zabójców! Prawo do życia ma mieć ten, kto bez skrępowań zabiera życie innym! Humanitaryzm dla morderców, a co dla ofiar? Prawo do nekrologu, tak? Ale przecież to właśnie jest obrażaniem

człowieczeństwa, bo to jest negowanie praw do dysponowania własnym życiem, to jest deptanie ludzi pogrzebanych, którzy nie zasłużyli na śmierć okrutną, nieoczekiwaną i niezawinioną. To ten wasz selektywny humanitaryzm, przeznaczony tylko dla zbirów, podczas gdy kupa ofiar to kupa zeszlanych liści, szkoda sobie głowę zawracać — to on jest barbarzyństwem, bo tworzy cywilizację taniego życia, które można odebrać jak przedmiot! Podpisując się na swoich apelach i petycjach — podpisujecie zgody in blanco dla morderców na bezkarne mordowanie!

— To obrzydliwa demagogia, jak pan może tak mówić!? Pan sam nie wierzy w to, co pan mówi! Czy pan nie wie...

— Wiem, wiem! Wiem co piszą, znam tych mędrków z pani albumu dobrych serc! Że kara śmierci nie odstrasza. Ale prawdą to nie jest. Kara odstrasza, a kara śmierci odstrasza bardzo! Nie odstraszy kogoś, kto w afekcie zabija gacha swej żony na gorącym uczynku, lecz odstraszy tych, co z zimną krwią popełniają zbrodnie — porywaczy, bandytów, sadystów, trzy razy się zastanowią, zbyt duże ryzyko.

■ W tej dzielnicy długo nie będzie gwałci-
ciela, mogą pani ręczyć!...

Milczała, nie mogąc lub nie potrafiąc się
odszczeknąć. A on dał akord na finał, na
nokaut, chciał ją wylczyć:

— Czas przyrzeć się własnemu sercu,
droga pani. Nigdy nie pojmę dlaczego lu-
dzie o wielkich sercach, tacy jak pani, orę-
downicy zniesienia kary najsurowszej, mają
tak niewiele szacunku, tak niewiele serca,
tak niewiele h u m a n i t a r y z m u dla
czteroletniej dziewczynki zgwałconej i udu-
szanej, lub dla rodziny strażnika, którego
zastrzelono, a tak wiele szlachetnych słów
dla obrony łotra, który z braku jakiejś
dziwki pod ręką skrzywdził tę dziewczynkę
lub osierocił inną, i dla handlarza narkoty-
ków, który unieszczęśliwia całą generację?
Tacy jak wy nie bronią prawa do życia, lecz
swobody okradania z życia, podtrzymują
gmach strachu, a burzą gmach wolności,
do której jednostka winna mieć prawo. Ży-
czę pani wielu miłych lat bez wieczornych
niezaplanowanych spotkań z osobnikami,
na których pani głosuje!”

MORDERCZE (NOMEN OMEN) STATYSTYKI

„Petroniusz” szczególnie uwypuklił
w swej oskarżycielskiej tyradzie problem
dzieci krzywdzonych łapami bandzio-
rów, bo — jak sam konkludował — to
zawsze mocno przemawia do wyobraźni.
Podczas dramatycznych styczniowych dni
tego roku równocześnie z zamordowa-
niem prezydenta Gdańska rozpoczynał
się proces bestialca, który tak skatował
swego 3-miesięcznego synka, że dziecko
nie miało ani jednej kończyny niepoła-

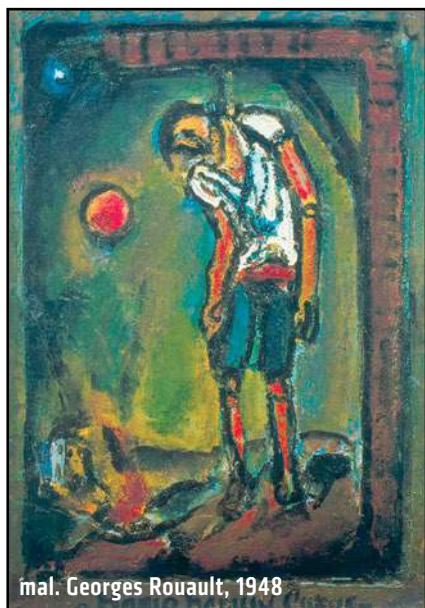


manej (!!!), i dla wielu ludzi to właśnie
ów zwyrondnialec prędzej niż gdański
nożownik kwalifikuje się na szubieni-
cę. Tymczasem dostanie góra 2–3 lata
odsiadki, a wyjdzie po roku jako „jed-
nostka zresocjalizowana” więziennym
resocjalizacyjnym programem (trzyнадца-
cie lat temu głośna była sprawa kilku zbirów,
którzy zgwałcili młodocianą pasażerkę
pędzącego pociągu i wyrzucili ją z niego
„w biegu”, przez co poniosła śmierć — dziś
są już wszyscy na wolności). Weteran
więziennictwa, były „klawisz” zakładu
penitencjarnego w Łławie, tłumaczył mi,
że 80–90% „klawiszów” polskich (a więc
pewnie i cudzoziemskich) uważa rytua-
lną już „resocjalizację osadzonych” za
„zupełną utopię” (tak to zwa oficjalnie)
alias za „kompletne gówno” (tak mówią
off record) — więźniowie śmieją się z niej
po cichu i sprzedają sobie sposoby jak
„ogrywać” psychiatrów, psychologów
i wszelakich resocjalizatorów więzien-
nych. Tymczasem „kara główna” nie jest
do śmiechu, najtwardsza „recydywa” ma
miętko w portkach gdy myśli o niej.

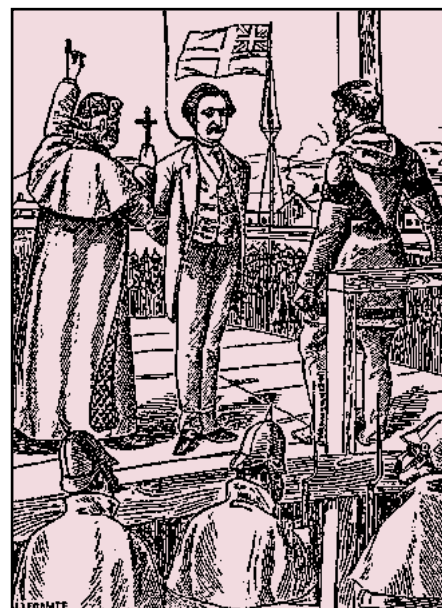
I tu dochodzimy do problemu pt. staty-
styki. Są one częstym orzechem „abolicjoni-
stów” perorujących, że „według statystyk
kara śmierci nie odstrasza”, ergo: jej
praktykowanie nie zmniejsza ciężkiej
przestępczości ani ciut. Tymczasem jest
to zwykłe salonowe (charakterystyczne
dla całej deprawacyjnej/kontrkulturo-
wej/nihilistycznej działalności Salonu)
kłamstwo — ten koronny humanitarny
argument politpoprawnych to beczelny
„fake news”, od dekad bowiem wszystkie
tyczące problemu statystyki wykonywane
przez najbardziej renomowane ośrodki
naukowe globu dowodzą niezbitie, iż kara
śmierci wyraźnie zmniejsza zabójczą
przestępczość. Dzięki tym właśnie ba-

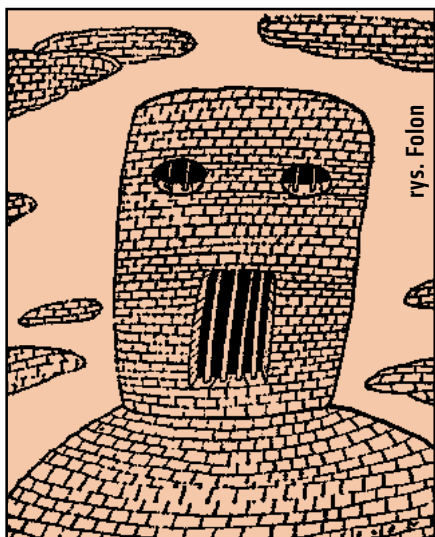
daniom statystycznym już do roku 2005
przywrócono karę śmierci w 37 amery-
kańskich stanach, nawet tam, gdzie wcze-
śniej funkcjonowało rekordowe liczbowo
lobby jej wrogów — w stanie Nowy Jork.
Efektem był radykalny spadek ciężkiej
przestępczości (tylko przez pierwsze
12 miesięcy od przywrócenia „kary głów-
nej” — A.D. 1995 — liczba morderstw
spadła tam o prawie połowę, zaś wskaź-
nik wszystkich nowojorskich przestępstw
okazał się najniższy od 23 lat!). Podobnie
było w innych stanach, choćby w Teksa-
sie, gdzie wprowadzenie moratorium na
wykonywanie kary śmierci skutkowało
silnym wzrostem zabójstw, a jej przywró-
cenie gwałtownym spadkiem ich liczby.

Wojujący „abolicjonista” jest kłamcą
m.in. dlatego, że nie chce sięgać po liczne
prace naukowe relacjonujące badania
w sprawie kary śmierci (exemplum:
H. Naci Mocan & R. Kaj Gittings, „**Getting
Off Death Row. Commuted Sentences
and the Deterrent Effect of Capital Pu-
nishment**” — „Odejsie od kary śmier-
ci. Zasądzone wyroki i odstraszający
efekt kary głównej”; Dale O. Cloninger
& Roberto Marchesini, „**Execution and
Deterrence**” — „Egzekucja i odstrasza-
nie”; tudzież wiele innych, podobnych).
Badania te dowiodły, że — w zależności
od obszaru (mały czy duży) — każda
wykonana egzekucja mordercy zmniej-
sza roczną liczbę zabójstw na danym
terenach od 5 do 18! Vulgo: statystyki
tyczące sprawców morderstw i liczby
morderstw są mordercze dla faryzejskiej
retoryki „abolicjonistów”. Co więcej: inne
badania (vide: Lawrence Katz, Steven D.
Levitt & Ellen Shustorovich, „**Prison**



mal. Georges Rouault, 1948





Conditions, Capital Punishment and Deterrence — „Warunki więzienne, kara główna i odstraszanie”) dowodzą w sposób niezbity, że istnieje bezwzględna korelacja między warunkami więziennymi a przestępczością — im bytowe warunki penitencjarne są gorsze, tym mocniej przestępczość na danym terytorium spada. I wreszcie trzeci rodzaj badań/statystyk dowodzi, że łagodzenie kar skutkuje wzrostem samosądów, bo gdy państwo nie wypełnia jednego ze swych głównych obowiązków wobec społeczności (zapewnienie bezpieczeństwa), to ludzie muszą bronić się sami.

NIEOCZEKIWANI WIELBICIELE DEKALOGU

Odwracając wniosek z wyżej cytowanych badań można rzec, iż każde darrowanie mordercy życia skazuje na śmierć kilku do kilkunastu niewinnych ludzi rocznie, lecz „*abolicjonistów*” to nie obchodzi, dalej krzyczą, że kara śmierci jest „*prymitywną, barbarzyńską zemstą*”. Jednocześnie masowe/rutynowe wykonywanie kary śmierci na istotach nienarodzonych zupełnie im nie przeszkadza — propagują takie egzekucje ze wszech sił. Gwoli tego „*humanitaryzmu*” zrzeszają się niczym proletariusze słuchający Marksa i Lenina („*Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!*”) — łączą się w ramach Salonów lokalnych i Salonu globalnego („*Polityprawniacy wszystkich krajów łączcie się!*”). Exemplum: światowa „Liga Obywateli i Parlamentarzystów na rzecz Zniesienia Kary Śmierci do roku 2000” (była taka u schyłku XX stulecia, gdy na 184 państw członkowskie ONZ karę śmierci wykonywano w 96) — jej sztandarowe hasło brzmiało: „*Nie zabijaj Kaina!*”. A to ozna-

cza, że salonowcy — tak chętnie flekujący chrześcijaństwo, tak zawzięcie niszczący Kościoły protestanckie (co się już właściwie udało) i Kościół katolicki (co jest w toku) — gdy trzeba nie mają oporów, by sięgać do nomenklatury i terminologii z kręgu biblijnego, przywołując „*Stary Testament*” i „*Nowy Testament*”.

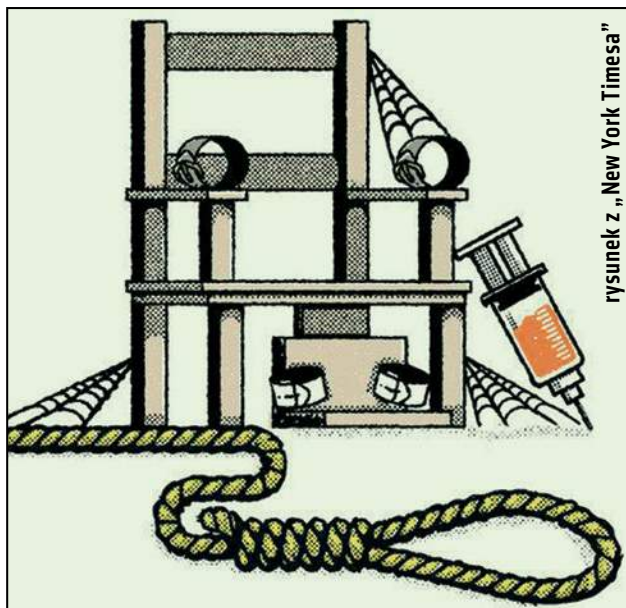
Na tym gruncie istna „*Wunderwaffe*” abolicjonizującego Salonu to Dekalog, którego piąte przykazanie żąda: „*Nie zabijaj!*”. Podczas lekcji religii uczą się tego miliony dzieciaków. „*— Koniec, kropka!*” perswadują tutaj „*abolicjoniści*”. Lecz się mylą. „*Nie zabijaj!*” mówi bowiem tylko źle przetłumaczone piąte przykazanie, oryginał hebrajski mówi coś innego. Użyte tam słowo „*rasah*” znaczy: mordować, więc oryginalna treść piątego przykazania to: „*Nie morduj!*” („*Nie dopuszczaj się mordu!*”). Dla zabójstw wojennych, tudzież dla kary śmierci, język hebrajski ma czasowniki inne: dla pierwszych „*harag*”, dla drugich „*hemit*”. Przeciwnicy „*kary głównej*” wiedzą o tym, lecz twierdzą, że wyciąganie różnic językowych to kuglarstwo semantyczne, które nie zmienia całkowitego zakazu. Religia nie zezwala na żadne zabójstwa, nie wolno odbierać życia nikomu i pod żadnym pozorem, tak uczy Dekalog! — mówią ci dobrzy ludzie, a ich słowa stanowią klasyczne „*reductio ad absurdum*”, czyli bzdurę oczywistą. Gdybyśmy bowiem mieli wedle tej wykładni traktować piąte przykazanie, nie wolno by nam było bronić przed agresją domu, rodziny, ojczyzny, samego siebie, niczego, gdyż broniąc się moglibyśmy zadać śmierć napastnikowi czyli popełnić śmiertelny — nomen omen — grzech. Zaś à propos urzędowej kary śmierci wypowiedział się celnie Franco Cardini, historyk religii, znawca chrześcijaństwa, islamu oraz judaizmu (notabene katolik). Podczas międzynarodowej konferencji na temat kary śmierci (Tunis, październik 1995) Cardini stwierdził, iż w świętych pismach żadnej religii monoteistycznej nie sposób znaleźć jakiegokolwiek zakazu ferowania czy egzekwowania kary śmierci.

Można go natomiast znaleźć w kultowych pismach głośnych

celebryckich bądź artystycznych lewaków, chociażby u Alberta Camusa („*Kara śmierci to mord z ewidentną premedytacją*”). Ci dobrzy ludzie, wpływowi medialnie, wmawiają społeczeństwu, że „*kara główna*” to czyn ekstremalnie niemoralny i stanowiący fundament „*cywilizacji śmierci*”, którą oni się brzydzą. Ale równie silnie (lub jeszcze silniej) brzydzą się nią zwolennicy karania odbieraniem życia! Według nich: „*cywilizacja śmierci*”, która obecnie panuje, i która polega na tym, że zbrodniarze coraz bezkarniej dokonują egzekucji, a ich ofiary mają tylko jedno prawo (do pochówku) — może być uzdrowiona wyłącznie odbieraniem życia za odebranie życia, czyli karą najsurowszą. Brak tej kary równa się haniebnemu, z gruntu niemoralnemu, patologicznemu przyzwalaniu, by „*cywilizacja śmierci*” dalej zbierała swoje nikczemne żniwo. Każdy system, w którym jedyną karę za mord stanowi cela więzienna, to system, w którym ofiara ma mniejsze prawo do życia niż mordercy. Z każdego więzienia wychodzi się (dzięki amnestiom, grzecznym sprawowaniom, przekupstwu, itd.) na wolność. Z grobu się nie wychodzi. Taki system — probandycki, lekceważący ofiary mordu — budzi powszechne obrzydzenie, gdyż jest to kliniczna n i e s p r a w i e d l i w o ś ć.

DEMOKRACJA I KONKLUZA

Użyłem wyżej sformułowania: „*powszechne oburzenie*”, dzięki czemu możemy wrócić do statystyk. Problem kary śmierci jest zabójczy dla demokracji,





kompromituje demokrację bardziej niż cokolwiek innego, stąd krytycy demokracji przywołują ten problem najczęściej.

Rzecz w tym, iż — jak pokazuje od lat badania statystyczne „all over the world” — wszędzie, również tam (a w istocie zwłaszcza tam) gdzie kara śmierci została dawno zniesiona, jej zwolennicy przeważają (często bardzo znacznie) nad „abolicjonistami”. U nas jeszcze dwie dekady temu ta przewaga była miazdząca (2:1), lecz propaganda abolicjonistyczna robi swoje, stąd dzisiaj już tylko 42% Polaków chce przywrócenia kary śmierci, 39% wspiera utrzymanie zakazu (szczerze mówiąc: nie wierzę w ten sondaż — myślę, że został „dohumanizowany”). Demokracja to z definicji „rzędy większości”, ale gdyby demokracja istotnie realizowała wolę większości — kara śmierci zostałaby bez trudu przywrócona we wszystkich krajach: za pomocą wyborczych urn. Nie jest żadną tajemnicą, iż Salon, oberstrażnik demokracji, stosuje ją wybiórczo vel politpoprawnie. Czyli szanując ją tak, jak szanował prawo pewien sadystyczny cesarz starożytnego Rzymu. Kiedy pragnął legalnie wymordować wszystkich członków którejs rodziny, a prawo bezwzględnie wzbraniało

skazywać na śmierć dziewczę, rozkazywał pretorianom, by wcześniej gwałcili dziewczę, co likwidowało barierę prawną i można było działać „*lege artis*”.

Na koniec kilka uwag typu konkluzyjnego:

- Groźba otrzymania kary śmierci nie powstrzyma człowieka, który morduje w tzw. afekcie, wszakże często powstrzyma zbrodniarza, który myśli o efekcie, czyli zimno kalkuluje co się opłaca.
- Wymierzona mordercy śmierć nie przywróci życia ofierze mordu, ale ciężar dydaktyczny (perswazyjny) rozgłoszonej egzekucji uratuje sporą liczbę potencjalnych ofiar, gdyż potencjalni mordercy przekalkulują sobie ryzyko.
- Niewymierzanie kary śmierci (jej prawna likwidacja lub moratorium na wykonywanie) ośmiela zbrodniarzy, ośmiesza system bezpieczeństwa, osieraca dzieci, oświadcza, że prawa zabijanych są żadne w porównaniu z prawami zabójców.
- System, który zezwala masowo mordować bezbronne dzieci (aborcja) i nie zezwala eliminować zwyrodniałych morderców — jest z gruntu niemoralny, podły, wstrętny.
- Jedyny racjonalny i etycznie sensowny argument przeciwko wymierzaniu kary śmierci to możliwość omyłki sądowej, co

się w historii zdarzało nie raz. Zatem kara ta winna być ferowana tylko przy stuprocentowych dowodach (nigdy poszlakowo) i tylko wobec zbrodni bardzo ciężkich (szczególnie brutalnych, sadystycznych, lub zbrodni, których ofiarami są dzieci) oraz wobec zabójców zdegenerowanych, nie wyrażających skruchy ni żalu.

• W Polsce od lat wyroki śmierci są egzekwowane masowo — przez bandytów. Bandytom w Polsce od 22 lat nie grozi kara śmierci. Bandyci w Polsce od 22 lat bezkarnie karzą bezbronnych ludzi za bezmyślność władzy. Kółko się zamyka, vulgo: zamknięty obieg „cywilizacji śmierci” terroryzuje społeczność kraju, w którym ludzie są stawiani przed trybunałem i skazywani dlatego, że ośmielili się czynnie bronić swego życia lub mienia podczas napadu bandytów rozzuchwalonych leseferyczną tolerancją zbrodni.

PS. Pisanie powyższego artykułu ukończyłem tego dnia, kiedy media ogłosiły, że dwóch młodych zwyrodniałców trzonkami od siekier zatłukło na śmierć człowieka, który niechętnie ochlapał ich błotem, i że zrobili to w obecności czwórki jego dzieci, i że grozi im za to aż do 10 lat więzienia. No to fajnie, trzonki rządzą, niech żyje demokracja, a z nią pupilka politpoprawności — tolerancja! © ©



PRENUMERATA 2019

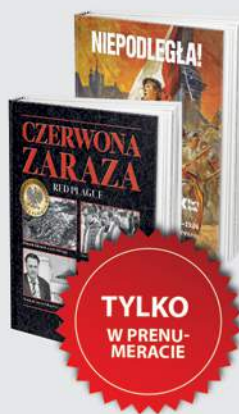
TYGODNIK LIŚCIKOWY
**DO
RZECZY**

ROCZNA PRENUMERATA



**TYGODNIK
„DO RZECZY”**

WERSJA PAPIEROWA
TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP
DO E-WYDAŃ W APLIKACJI



**TYLKO
W PRENU-
MERACIE**

W PREZENCIE
KSIĄŻKI

ANDRZEJ NOWAK

„NIEPODLEGŁA! 1864-1924
JAK POLACY ODZYSKALI OJCZYZNĘ”

NIEPOWTARZALNY ALBUM
POD PATRONATEM DO RZECZY
„CZERWONA ZARAZA”

~~486~~ zł



240,00 zł



**OSZCZĘDNOŚĆ
248 zł**

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: prenumerata.dorzeczy.pl

Manifest kardynała Müllera



Kardynał Gerhard Müller, były prefekt Kongregacji Nauki Wiary

FOT. DONATELLA GIAGNORI/DDP/FORUM



Tomasz Rowiński

Jeśli kard. Müller może być nowym Lutrem, to może trzeba go zacząć słuchać od razu, już teraz, bez ociągania, a nie za 500 lat „odzyskiwać”?

Były prefekt Kongregacji Nauki Wiary, kard. Gerhard Müller, opublikował niedawno w siedmiu językach tekst zatytułowany „Manifest wiary”. Do jego napisania zainspirowali go duchowni i świeccy zaniepokojeni zamętem panującym w Kościele. Zamęt ten nie dotyczy już tylko ekstrawaganczy teologów, lecz także wielu biskupów i kardynałów. Nietrudno też zauważyć, że jednym z inspiratorów tego zamieszania jest sam papież Franciszek, który niemal od samego początku pontyfikatu – razem ze swoim przybocznym teologiem kard. Walterem Kasperem – forsują zmiany

takie jak choćby te w katolickiej wizji małżeństwa. Chodzi o sprzeciwiające się słowom Chrystusa Pana, a więc prawu Bożemu, przyzwolenie na przystępowanie do Komunii Świętej osób, które zawarły sakramentalne małżeństwo, ale teraz żyją jak mąż i żona z inną już osobą. Podobnej ingerencji w nauczanie papież dokonał w przypadku kary śmierci, która chociaż miała w dziejach Kościoła różne swoje praktyczne wytyczne dotyczące jej stosowalności, zawsze stanowiła punkt odniesienia w katolickiej nauce o sprawiedliwej karze.

Kardynał Müller w swoim manifestie przede wszystkim przypomniał podstawowe prawdy wiary dotyczące Boga, Kościoła, sakramentów, prawa moralnego i życia wiecznego. W znacznej mierze tekst jest utkany z bezpośrednich odniesień do Katechizmu Kościoła katolickiego. Część poświęcona życiu wiecznemu kończy się słowami: „Milczenie o tych i innych prawdach wiary albo też nauczanie tego, co jest im przeciwne, jest najgorszym oszustwem, któremu Katechizm stanowczo się sprzeciwia. To jest ostatnia próba Kościoła, polegająca

na »oszukiwaniu religii, dającej ludziom pozorne rozwiązanie ich problemów za cenę odstępstwa od prawdy« (KKK 675). To jest oszustwo Antychrysta [...]”.

Po tych słowach następuje „wezwanie” do odpowiedzialności, które zawiera cytaty z II Listu do Tesaloniczan: „Głoś naukę, nastawaj w porę, nie w porę, [w razie potrzeby] wykaz błąd, poucz, podnieś na duchu z całą cierpliwością, ilekroć nauczasz. Przyjdzie bowiem chwila, kiedy zdrowej nauki nie będą znosili, ale według własnych pożądań [...] będą sobie mnożyli nauczycieli” (2 Tm 4, 1–4).

CO Z TYM LUTREM?

W normalnych okolicznościach tekst kard. Müllera zapewne przeszedłby bez większego echa, ponieważ byłby uznany za jeden z wielu aktów wiary ludzi Kościoła. Jeszcze bardziej prawdopodobne, że w ogóle by nie został napisany. Jednak nie żyjemy w normalnych czasach i na proste wyznaczenie byłego prefekta Kongregacji Nauki Wiary bardzo nerwowo zareagował wspomniany przyboczny teolog papieża Franciszka, kard. Walter Kasper. W swojej medialnej ripostie zadał pytanie, czy jego

niemiecki współbrat kardynał zamierza być nowym Lutrem, liderem buntu przeciwko papieżowi. Równocześnie stwierdził, że „Manifest wiary” wprowadza zamęt i dezorientację wśród wiernych, ponieważ posługuje się retoryką półprawd i manipulacji. Nie wiadomo jednak jakich i w jaki sposób prawdy katechizmowe mogą służyć manipulacji, skoro zostały tak sformułowane, by bez dwuznaczności mógł je zrozumieć każdy wierny niebędący zawodowym teologiem. Dzisiaj okazuje się, że najwięcej trudności z Katechizmem mają niektórzy zawodowi teologowie.

Co do zamętu to rzeczywiście na pewno nie jeden wierzący musi czuć się dziś zdezorientowany. Tyle razy już w ostatnich dekadach słyszeliśmy, że Luter jest ważnym pisarzem tradycji chrześcijańskiej i katolicy winni go odzyskać, przestać obarczać winą za rozerwanie jedności widzialnego Kościoła, ba, powinni go zacząć słuchać. A teraz znów używa się jego nazwiska jako obelgi. I to w stosunku do kardynała cytującego Katechizm. Jak to w końcu jest? Jeśli kard. Müller ma być nowym Lutrem, to może trzeba go zacząć słuchać już dziś, bez ociągania, a nie za 500 lat „odzyskiwać”?

Kasper pyta: „Czy za tym manifestem stoi Luter redivivus, który chce zmieniać Kościół wbrew papieżowi?”. To łatwe pytanie, na które bez problemu można by odpowiedzieć: „Kim jest papież, który chce zmieniać Kościół przeciwko Chrystusowi?”, bo przecież choćby konkluzje tekstu adhortacji „Amoris laetitia” bezpośrednio uderzają w nauczanie Pana. Czy kard. Kasper nagle stał się wyznawcą absolutyzmu papieskiego w sprawach wiary?

WINNY SIĘ TŁUMACZY

Podobne stanowisko zajmują media w praktyce popierające zerwanie z wiarą katolicką. „Tygodnik Powszechny”, który od lat sieje zamęt w sprawach doktryny, krytykuje papieża za nadmiar władzy, w swoim komentarzu do sprawy (Wojciech Pięciak, „Starcie kardynałów”, Tygodnikpowszechny.pl, 11.02.2019) nagle staje się obrońcą sytuacji, w której papież zachowuje się, jakby mógł zmienić dowolną treść wiary gestem tyrana. Do tego tygodnik ten głosi, że nie należy o tych sprawach mówić, myśleć, by przypadkiem nie podniósł się bunt przeciw zmianie.

W przeszłości papież przezwyciężał z wielką ostrożnością podchodząc do zmiany choćby jednego zdania w mszale,

ponieważ postrzegali siebie jako tych, którym powierzono ochronę depozytu wiary, a nie jego tworzenie. Czy od XXI w. papież nagle stał się następcą Chrystusa Pana z jego boską władzą, a nie św. Piotra, który ma w wierze umacniać?

Sytuacja jest kuriozalna. Papież ze swoim przybocznym teologiem i przychylnymi mediami najpierw wywołali jeden z najpoważniejszych kryzysów w dziejach Kościoła, a teraz ten teolog oskarża o sianie zamętu kardynała przypominającego podstawowe prawdy wiary i słowa Pisma Świętego. Reakcja Kaspera jest zachowaniem zgodnym z porzekadłem mówiącym, że tylko winny się tłumaczy. Kardynał Müller nigdzie w swoim „Manifestie...” nie zaatakował Franciszka, papież nie pojawia się nigdzie w tekście „Manifestu...”, a jednak Kasper zareagował bardzo szybko. Tak jakby „Manifest...” Müllera był bezpośrednim atakiem na Franciszka. Jak widać, same katechizmowe podstawy wiary oskarżają doktrynalne posunięcia Stolicy Apostolskiej i wydają się tam atakiem.

Sprawa jest poważna, ponieważ papież, idąc za kard. Kasperem, podważa kwestie wywiezione z doktryny Kościoła z prawa Bożego. Dzieje się tak – z coraz większą konsekwencją – przynajmniej od 2014 r. i przemówienia tego przybocznego teologia papieskiego otwierającego wtedy synod, który miał być poświęcony rodzinie. Przemówienie to, wydane potem jako książka, było próbą uzasadnienia dopuszczenia do Komunii Świętej niektórych osób, które zawarły sakramentalny związek małżeński, ale współżyją seksualnie poza swoim ważnie zawartym małżeństwem, czyli faktycznie trwale pozostają w relacji cudzołóżnej. Intelektualną słabość tej propozycji, jej sprzeczność z całą tradycją Kościoła i słowami Chrystusa Pana wykazano wielokrotnie, poczynając od tzw. książki pięciu kardynałów (wydanej w Polsce pt. „Pozostać w prawdzie Chrystusa. Małżeństwo i komunია w Kościele katolickim”); w Polsce bardzo skrupulatnie tę propozycję analizował dominikanin o. prof. Jarosław Kupczak w „Źródłach sporu o »Amoris laetitia«”. Mimo tych wiarygodnych i intelektualnie przekonujących głosów krytyki papież Franciszek, stosując strategię salami, przeformułował nową koncepcję. Po drodze zignorował oficjalne zapytanie czterech kardynałów o zgodność nowej doktryny z wiarą katolicką. Tak zwane dubia wciąż czekają na odpowiedź. Nie wspominam tu

nawet innych, niższych rangą wypowiedzi formułowanych przez rozmaite środowiska katolickie na całym świecie. Unikanie odpowiedzi w sprawie tak zasadniczej dla całego porządku sakramentalnego w Kościele papież zakończył opublikowaniem w „Acta Apostolicae Sedis” swojego prywatnego listu do biskupów Argentyny, w którym poparł zmianę doktryny w kierunku sprzecznym ze słowami Pana Jezusa o pierwotnej w planie Bożym nierozzerwalności małżeństwa.

JEDYNY ARGUMENT

Jest zatem oczywiste, że tekst kard. Müllera nie powstał w próżni i wywołał reakcję, którą musiał wywołać u manipulującego przy doktrynie kard. Kaspera. „Tygodnik Powszechny” czyni zarzut, że „tekst [manifestu] utrzymany jest w szczególnym tonie: jakby autor przemawiał z mocy Urzędu Nauczycielskiego”. Jest oczywiście, że kard. Müller bez wątplenia posiada w Kościele autorytet przynależny kardynałom, a także ten wynikający z jego wcześniejszej funkcji w Kongregacji Nauki Wiary. Nie bez znaczenia pozostaje również, że jest uczniem papieża Benedykta XVI. Do tego stał się w ostatnich latach jednym z rozpoznawalnych publicznie obrońców wiary katolickiej, a nie robi przecież wiele więcej niż to, że powtarza w mediach stanowisko wiary Kościoła.

To, że upleciony z cytatów katechizmowych „Manifest...” stał się dla kard. Kaspera kamieniem obrazy, do tego stopnia, że ten oskarżył byłego prefekta Kongregacji Nauki Wiary o igranie kacerstwem – czym jest bowiem w rzeczywistości pytanie, czy kardynał zamierza być nowym Lutrem? – pokazuje stan wiary i umysłów ludzi sprawujących dziś doczesną władzę w Kościele.

Warto jeszcze na koniec dodać – w sprawie rzekomego buntu kard. Müllera – że w książce „Papież. Posłuszeństwo i misja” był prefekt Kongregacji Nauki Wiary mówi o tym, że nie ma w Kościele mechanizmów buntu przeciw papieżowi. Zatem w sprawach władzy kardynał przyjmuje postawę pokornego posłuszeństwa i wyklucza możliwość takiego ruchu, niezależnie, jak wiele miałyby do zarzucenia aktualnemu pontifexowi. Ale jedyny argument, który ma kard. Kasper, to wsparcie papieża, które pozwala mu na nieuczciwe uderzanie w wiarygodność swojego kardynała współbrata.



Nowy-stary produkt



Jerzy Karwelis

Sprawność kampanii Roberta Biedronia ze spektakularną konwencją i z „przypadkowo” wysokim wynikiem sondażowym zaraz po niej – robią wrażenie. Tak samo startował Janusz Palikot, tę samą ścieżkę powtórzył w 2015 r. Ryszard Petru. I w tym roku rezultaty mogą być takie same

We wszystkich tych projektach widać podobny zamysł – zajęcie skostniałej Platformy z jej słabej strony, podnoszenie modernistycznych (ale tylko kulturowo) postulatów z wybijanym antyklerykalizmem, którego Platformie – z powodów swoich centrowych aspiracji – coraz trudniej unikać. I tak jak Nowoczesna miała być projektem PO 2.0, to znaczy „nowego otwarcia” dla zwolenników Platformy zniesmaczonych ośmiorniczkami, tak Biedroń także uderza w podobne tony. Spoglądająca na centrum Platforma traci wyrazistość w aksjologicznym szpagacie i byłby prezydent Słupska chce dziś zebrać w grupę wyborców zwolenników tej części totalnej opozycji, która zwątpiła w skuteczność swej totalności. Do tego dodaje retorykę „trzeciej siły” i „nowej jakości”, choć wszyscy widzą (z pewnym wyjątkiem, ale o tym później), że i tak „trzecia siła” wiadomo kogo wybierze spośród starych plemion, towar zaś jest co najwyżej drugiej świeżości, bo pan Biedroń dodał swemu staremu projektowi z Palikotem jedynie wersję 2.0.

WYDMUSZKA

Widać tę samą rękę. Od dawna obserwuję zwrot od kariery komercyjnej do politycznej jednego z guru polskiego marketingu – Kuby Bierzyńskiego. Pan Kuba przyłożył rękę do obu wcześniejszych projektów – Palikota i Petru. Po klęsce formacji liberalnej w wyborach w 2015 r. publikował wiele artykułów na temat sytuacji politycznej w Polsce. Były to de facto listy motywacyjne w poszukiwaniu zajęcia. Takie shrekowskie: „Ja! ja!, weź mnie!”. Guru marketingu dokonywał wnikliwych analiz błędów totalnej opozycji i dawał jej dobre rady, z których ta nie skorzystała. Wziął się więc do kreacji własnego produktu, który miał mu pasować do pozycjonowania politycznego, na którym nie poznały się elity anty-PiS.

Z punktu widzenia marketera, a o takim stworzeniu tu mówimy, mamy dwa tryby podejścia: ekstensywny i intensywny. Ekstensywny tryb jest wtedy, kiedy mamy już towar, który trzeba sprzedać bez znaczącego gmerania w samym produkcie. Trzeba tylko dla niego znaleźć pozycjonującą narrację. Podejście intensywne polega z kolei na znalezieniu wolnej niszy na rynku i uplasowaniu w niej dopasowanego produktu, który się specjalnie dla tej niszy tworzy. Po bezskutecznych próbach marketingu ekstensywnego pan Kuba wybrał wersję intensywną. Namierzył, a właściwie

odkurzył starą niszę i stworzył nowy-stary produkt. Oczywiście produkt pt. Biedroń istniał i wcześniej, ale trzeba mu było nadać różnicujące cechy, by zagospodarować niszę.

I tu trafiamy na słabą stronę marketów, która objawia się, gdy specjaliści od opowiadania o cudownych cechach produktu zabierają się do jego produkcji. Często wychodzi im wydmuszka – pustka, a owszem, owinięta jedynie w atrakcyjne opakowanie.

Widać to po produkcie o nazwie Biedroń. Pełno tam hasel wyraźnie zaczerpniętych z wyników badań pt. „Co Pani/Panu przeszkadza najbardziej, a co totalna opozycja zaniedbała?”. Ta „mieszanka studencka” nie ma żadnej systemowej koherencji – jest jak kupka świecących trybików i śrubek w odróżnieniu od maszyny spójnego programu. Maszyna, choćby najprostsza, działa, podczas gdy rozrzucone trybiki i śrubki tylko wyglądają. Mogą się jednak przydać do konstrukcji gotowych już maszyn, choćby do ich ozdoby. Po prostu marketerzy są w stanie tylko zgrabnie opowiadać – prawdziwy zaś produkt tworzy jedynie wizjoner, ktoś z instynktem, wiedziony przekonaniem, nie tabelkami Excela i prezentacjami z PowerPointa.

Niemniej pozycjonowanie jest ciekawe i cwane, bo odwołuje się do nieweryfikowalnych kryteriów u odbiorcy. Co cztery lata do urn podchodzi po raz pierwszy nowe pokolenie wyborców, bez pamięci poprzednich wyborów. I co cztery lata nabiera się na tę samą palikotowo-petrowo-biedroniową wersję „nowego otwarcia”, pogonienia „staruchów”, nawet z Platformy, z kulturowymi hasłami, którym coraz trudniej przychodzi ukrywanie lewactwa pod płaszczykiem centrowości. Tak może być i teraz. Kolejne zastępy wyborczych debutantów wspomagane przez rzeszę tych, którzy kiedyś uwierzyli w takie projekty i na nie głosowali – by teraz tłumaczyć samych siebie, że dobrze zrobili, bo późniejsze niepowodzenia to błędy i wypaczenia – ruszą do urn. Będą głosować za nową jakością i końcem wojny polsko-polskiej. Wybiorą zaś tak naprawdę trzecią już wersję odreagowania politycznych frustracji marketingowego guru i nową, jeszcze bardziej agresywną wersję plemiennego sporu Polaków. Wybiorą Biedronia, nie wiedząc, że to tylko ogolony Palikot.

W najbliższych wyborach plemiona się bowiem zrównoważą. Nawet kilkunastu posłów „spoza” polityki

dwóch obozów partyjnych może być niepomijalnym koalicjantem. Władza będzie wtedy leżała na ulicy. Nikomu nie powinno być obojętne to, kto ją podniesie. Języczek u politycznej wagi może zdecydować o tym, w którą stronę pójdzie Polska na długie lata.

IMPULS ZDROWEGO ROZSĄDKU

Pytanie jest fundamentalne: czy w dzień po wyborach będziemy się czerwieniły czy brunatnieć? Czy będziemy toczyć spory o trzecią, genderową toaletę na dworcach, czy o mesjanistyczną rolę Polski w historii Europy i kosmosu? Czy też wykorzystamy ten unikatowy w III RP moment, gdy języczkiem u wagi stać się może pragmatyzm? A właściwie nie języczkiem, ale językiem obwieszczającym dwóm rozemocjonowanym plemionom koniec wojny polsko-polskiej.

Z zastoju pata wywołanego znośnymi się nawzajem racjami może nas wybić niewielki impuls. Zróbmy wszystko, by był to impuls zdrowego rozsądku. Z naszej doświadczonej perspektywy wygląda to na postulat rewolucyjny. Takich smutnych czasów dożyliśmy. Zdrowy rozsądek to dziś marzenie utopistów.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI

w Ciechocinku „Pod Tężniami”

Leczymy m.in.:

- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu

posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu

- dwa badania lekarskie
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe

Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie:
17.03 - 18.04 oraz 23.04 - 23.06.2019 r.



Klinika Uzdrawiskowa
„Pod Tężniami” im. Jana Pawła II
ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl

tel. 54 416 70 00

Pawła Adamowicza zabiła mowa nienawiści” – powiedział prezydent Białegostoku Tadeusz Truskolaski, otwierając debatę o mowie nienawiści, w której właśnie brałem udział. Spośród jej pięciorga uczestników byłem jedynym, który zakwestionował przedstawione jako oczywistość stwierdzenie Truskolaskiego, i jedynym, który zdecydowanie opowiadał się za wolnością słowa.

Debatowanie o mowie nienawiści jest ostatnio bardzo modne, podobnie jak modne stało się składanie aktów oskarżenia z niesławnego art. 212 Kodeksu karnego. Czy grozi nam cenzura?

ARTYKUŁ BIAŁORUSKI

Nikt oczywiście nie wprowadzi z powrotem urzędu z ul. Mysiej. Cenzura może natomiast przybrać postać efektu mrożącego, w którego sprawie alarmują od dawna m.in. dziennikarze protestujący przeciwko trwaniu w Kodeksie karnym art. 212. Efekt mrożący to nic innego jak rodzaj autocenzury: w obawie przed konsekwencjami obawiamy się powiedzieć wprost, o co nam chodzi, wyrazić jasną i jednoznaczną opinię, zgodną z naszymi poglądami, albo powiedzieć czy napisać coś niekorzystnego o osobie, która mogłaby nas za to ścigać. Niezależnie od tego, że będziemy głosić prawdę lub podawać wiadomości sprawdzone najlepiej, jak się da. Atak na wolność słowa idzie z kilku stron. Mamy więc trwający uparcie w Kodeksie karnym art. 212 oraz coraz wyraźniejsze nawoływania głównie z lewej strony, żeby rozszerzyć zakres art. 256 (propagowanie faszyzmu, innego ustroju totalitarnego lub nawoływanie do nienawiści) i 257 (znieważenie lub naruszenie nietykalności grupy ludności albo osoby z powodu przynależności narodowej, etnicznej, rasowej, wyznaniowej) Kodeksu karnego i objąć nimi szeroko rozumianą „mowę nienawiści”. Co ciekawe, rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar jest z jednej strony, zgodnie ze swoją ideologiczną proweniencją, zwolennikiem poszerzenia zakresu penalizacji „mowy nienawiści”, ale zarazem opowiada się za przynajmniej ograniczeniem art. 212 i dostrzega związany z nim problem. Z kolei Jarosław Kaczyński ponad dekadę temu opowiadał się za skasowaniem „dwieście dwunastki”, mówiąc, że to zagrożenie dla swobody wypowiedzi, a dziś używa jej w sporze z „Gazetą Wyborczą”.

Artykuł 212 Kodeksu karnego zawiera cztery paragrafy, z czego kluczowe są pierwszy i drugi:



Łukasz Warzecha

Wolność słowa jest coraz bardziej zagrożona. Jeśli raz wejdziemy na drogę zakazów, to obudzimy się z ręką w nocniku

Cena wolności

§ 1. Kto pomawia inną osobę, grupę osób, instytucję, osobę prawną lub jednostkę organizacyjną niemającą osobowości prawnej o takie postępowanie lub właściwości, które mogą poniżyć ją w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności, podlega grzywnie albo karze ograniczenia wolności.

§ 2. Jeżeli sprawca dopuszcza się czynu określonego w § 1 za pomocą środków masowego komunikowania, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku.

Wbrew powszechnej opinii art. 212 nie jest batem wyłącznie na dziennikarzy. Pod paragraf pierwszy, a także drugi podpadają także dziennikarze obywatelscy, blogerzy, a nawet zwykli użytkownicy

mediów społecznościowych. To oznacza, że ofiarą „dwieście dwunastki” może paść niemal każdy.

Po art. 212 sięga się chętnie, bo wystarczy napisać prywatny akt oskarżenia (jest to bowiem przestępstwo prywatnoskargowe), zapłacić w sądowej kancelarii 300 zł za jego złożenie i gotowe. Nawet jeśli ostatecznie oskarżony nie zostanie skazany, czekają go nierzadko tak ogromne uciążliwości, że już to będzie mieć działanie mroźące: uciążliwe rozprawy poza miejscem zamieszkania, konieczność wynajęcia dobrego prawnika, stres związany z możliwością skazania na wysoką grzywnę. Sąd może też zarządzić badania psychiatryczne. No i nie ma się statusu równorzędnego z powodem, tak jak w procesie cywilnym o naruszenie dóbr osobistych, gdzie to właśnie powód musi dowieść, że taki fakt nastąpił i przyniósł mu szkodę. Tutaj jest się oskarżonym i trzeba dowodzić swojej niewinności. Zaś w przypadku skazania ponosi się wszelkie życiowe konsekwencje, związane z faktem umieszczenia w rejestrze skazanych. W przypadku orzeczenia grzywny kara zaciera się szczęśliwie już po roku, ale w razie orzeczenia kary ograniczenia wolności są to trzy lata, a gdyby sąd orzekł karę pozbawienia wolności (co się szczęśliwie nie zdarza) – aż 10 lat. Zresztą utrzymywanie w Kodeksie karnym właśnie możliwości orzeczenia kary pozbawienia wolności za słowo jest najczęściej wskazywane jako właściwsze dla systemu typu białoruskiego niż zachodniego.

Liczba skazań związanych z art. 212 wyraźnie wzrosła w ciągu ostatnich lat. Co zresztą nie dziwi – ma na to zapewne wpływ ogólny wzrost emocji i brutalność języka. W 2016 r. z art. 212 skazano aż 330 osób. W 2017 r. – 261 osób, ale już w samym I półroczu 2018 r. – 152 osoby.

Fatalny przepis łączy obie strony politycznego sporu – obie po niego chętnie sięgają. Głośna jest sprawa Wojciecha Biedronia z tygodnika „Sieci”, którego skazano z prywatnego aktu oskarżenia, złożonego przez sędziego Łączewskiego, w związku z ewidentnym błędem w tekście Biedronia – właśnie: błędem, a nie zniesławiającym sformułowaniem. Sięgnął po art. 212 Jarosław Kaczyński w swojej walce z „Gazetą Wyborczą”. Z kolei dziennikarz tejże „Gazety Wyborczej” Bartosz Wieliński chce uderzyć art. 212 w Rafała A. Ziemkiewicza za nazwanie go volksdeutschem. TVP pod kierownictwem Jacka Kurskiego ściga z art. 212 Wojciecha Sadurskiego. Blogera Piotra Wielguckiego za pomocą

212 uciszał Jerzy Owsiak. Były funkcjonariusz SB Ryszard Bieszyński doprowadził do skazania w 2011 r. z art. 212 Jerzego Jachowicza. Tutaj w 2012 r. prawo łaski zastosował prezydent Bronisław Komorowski. W 2016 r. z art. 212 skazano Tomasza Wróblewskiego za tekst opublikowany w 2010 r. w „Dzienniku Gazecie Prawnej” pod jego kierownictwem, dotyczący sytuacji RUCH-u. W roku 2017 Wróblewski został ułaskawiony przez prezydenta Andrzeja Dudę. I tak dalej, i tak dalej.

KARA ZA OPINIĘ

Rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar zorganizował w ubiegłym tygodniu w swojej siedzibie konferencję na temat art. 212. Mówił na niej, że brał za dobrą monetę deklaracje PiS sprzed 2015 r., że przepis ten należy wykreślić z Kodeksu karnego, i po objęciu urzędu przypomniął je Zbigniewowi Ziobrze. Bez odzewu. Na konferencji nie pojawił się też – mimo zaproszenia – nikt z Ministerstwa Sprawiedliwości. Był za to minister Andrzej Dera z Kancelarii Prezydenta, jest więc nadzieja, że Andrzej Duda sprawą się zajmie.

Konferencja pokazała zarazem, że zdania na temat art. 212 wcale nie są jednoznaczne. Podczas gdy Jacek Żakowski i ja sam twierdziliśmy, że art. 212 powinien zniknąć, bo na drugiej szali leży wolność słowa, a swojej reputacji i czi można bronić na gruncie prawa cywilnego, sceptyczni wobec takiego stanowiska byli m.in. minister Dera i mecenas Maciej Lach, i sędzia Sądu Najwyższego Włodzimierz Wróbel.

Głównym hamulcem rozprawienia się z nieszczęsnym przepisem wydaje się błędne przekonanie obywateli, że dzięki niemu są w stanie niewielkim wysiłkiem utrzymać nosa „złym elitom”, np. dziennikarzom. To nieprawda – jest dokładnie przeciwnie: to elity wykorzystują art. 212, żeby rozprawiać się z niewygodnymi dla siebie informacjami i opiniami. Właśnie: opiniami. Do sądów z art. 212 trafiają bowiem często wypowiedzi, które nie są nieprawdziwe, bo w ogóle nie dotyczą faktów, a są po prostu ostrymi, może niesprawiedliwymi, ale opiniami. Zaś sądy mimo to się nimi zajmują.

Takie jest zresztą oczekiwanie niektórych – że sądy na mocy art. 212 będą karać za opinie. W trakcie dyskusji w biurze RPO dziennikarz Jan Ordyński stwierdził, że powinien zostać zachowany sposób ukarania w procedurze karnej za nazwanie kogoś np. zdrajcą. Tyle że kategoria zdrady

jest tak ocenna i nieprecyzyjna, że tego typu opinia w żadnym razie nie powinna podlegać Kodeksowi karnemu.

Wolności słowa zagrażają również nawoływania, żeby kodeksowo rozprawić się z „mową nienawiści”. Zwolennicy poszerzenia zakresu penalizacji, rekrutujący się głównie z lewicy, lekceważą – nieprzypadkowo oczywiście – podstawowy problem, jakim jest nieprecyzyjność definicji. Prowadzący wspomnianą na wstępie debatę w Białymstoku Konrad Piasecki cytował definicję Rady Europy, zgodnie z którą mowa nienawiści „obejmuje wszelkie formy wypowiedzi, które szerzą, propagują czy usprawiedliwiają nienawiść rasową, ksenofobię, antysemityzm oraz inne formy nienawiści bazujące na nietolerancji, m.in. nietolerancję wyrażającą się w agresywnym nacjonalizmie i etnocentryzmie, dyskryminację i wrogość wobec mniejszości, imigrantów i ludzi o imigranckim pochodzeniu”. To definicja, która niczego nie definiuje. Gdyby w jakiejś formie implementować ją do polskiego prawa, natychmiast zaczęłyby się próby podciągania pod nią każdej wypowiedzi, nieodpowiadającej lewicowemu paradygmatowi. Widać bowiem gołym okiem, że jest ona zbudowana na podstawie lewicowego paradygmatu właśnie. Trudno byłoby w Polsce na jej podstawie uznać za wypowiedzi agresywne wobec katolików czy nienawistne komentarze, spadające ostatnio choćby na Zofię Klepacką za jej stanowisko w sprawie promocji LGBT, ale już można by argumentować, że mową nienawiści są słowa tejże Klepackiej albo stwierdzenie, że imigranci z obcej strefy kulturowej mogą sprawiać problemy.

ZŁUDNY KOMFORT

Jeśli przyjrzeć się szerszemu obrazowi, którego częścią byłyby i pieniactwo, bazujące na art. 212, i nawoływania do surowego karania za szeroko pojmowaną „mowę nienawiści”, widać, że wolność słowa jest coraz bardziej zagrożona. W dążeniu do zapewnienia różnym grupom złudnego komfortu, polegającego na wyciszeniu opinii dla nich nieprzyjemnych, ginie rzecz zasadnicza: zrozumienie, że wolność słowa wiąże się z kosztami. Ten koszt to m.in. pogodzenie się z tym, że urażone mogą być różne uczucia i wrażliwość, ale nie państwo jest od tego, żeby zajmować się ściganiem takich przypadków. Jeśli raz wejdziemy na drogę zakazów, szerokich i nieprecyzyjnych definicji, restrykcyjnych przepisów – to obudzimy się z ręką w nocniku i kagańcem na ustach.



Maria Kądzilska

Postępowanie dyscyplinarne wobec prof. Jacka Bartyzela na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu powinno wstrząsnąć światem naukowym w Polsce

Cenzura myśli



FOT. JACEK LEOCIAK/PRIMA

Podczas niedawnej konferencji w Paryżu poświęconej Holocaustowi stwierdzono m.in., że „Polacy zabili na wsiach więcej Żydów niż Niemcy w obozach zagłady”. Autorami tez, które obciążały Polaków dużą odpowiedzialnością za Holocaust, byli polscy pracownicy Instytutu Badań Literackich PAN oraz Centrum Badań nad Zagładą Żydów, m.in. Jan Tomasz Gross i prof. Jacek Leociak.

WYSTĘPEK BARTYZELA

Do tego wydarzenia odniósł się profesor nauk społecznych i wykładowca politologii Jacek Bartyzel (jego wpis został szybko usunięty przez administratorów Facebooka).

„To, że nas Żydzi nienawidzą i opluwają, jestem w stanie przyjąć ze spokojem – w końcu czegoż można spodziewać się od tego plemienia żmijowego pełnego pychy, jadu i złości? Trzeba po prostu trzymać ich na dystans, tak wielki, jak tylko możliwe. W ogóle nawet nie próbować dyskutować czy przekonywać, bo to daremne; oni nie są zdolni do okazywania wdzięczności, uważają natomiast, że wszystko im się należy” – napisał profesor. I dodał: „I w nosie mam też, ile polskich drzewek »sprawiedliwych«” będzie w Yad Vashem, może nie być nawet żadnego.

Ale nie mogę mieć innego pocucia, jak bezbrzeżnej pogardy dla tych Polaków (z metryki), którzy kałają własne gniazdo, gorliwie przyłączając się do polakożerczej kampanii pomówień. Dla tych renegatów nie może być żadnego wybaczenia ani litości. Gdyby to ode mnie zależało, karałbym ich – nie więzieniem, bo po co obciążać podatników kosztami ich utrzymania w tych wygodnych pensjonatach, jakimi są dzisiaj zakłady penitencjarne – ale dożywotnią infamią narodową oraz cieleśnie: publiczną chłostą w sempiternę”.

Wpis został uznany za antysemicki i wzywający do nienawiści. W efekcie prof. Jacek Bartyzel może stracić pracę na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Na kolegium rektorskim zapadła decyzja, żeby skierować sprawę do rzecznika dyscyplinarnego. On będzie miał trzy miesiące na rozpatrzenie sprawy. Profesor nie chciał skomentować tej sytuacji z uwagi na możliwe kolejne konsekwencje.

Profesor Bartyzel swoich opinii nie oparł na uprzedzeniach rasowych, a tym bardziej religijnych, ani nie domagał się ograniczenia praw Żydów. Trudno uznać krytykę antypolskiej działalności Żydów za antysemityzm.

Dlaczego więc wszczęto postępowanie dyscyplinarne? I czy taka praktyka akademicka nie prowadzi do zastraszania naukowców?

Wielu profesorów, do których dzwoniłam w tej sprawie, wyrażało swoje ubolewanie nad decyzją uniwersytetu toruńskiego i solidarność z prof. Bartyzelem. Jednak i oni obawiali się upublicznienia nazwisk z uwagi na możliwe reperkusje.

Jednym z nielicznych godzących się publicznie zająć stanowisko jest prof. Paweł Okołowski z Instytutu Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. – Sprawą prof. Bartyzela jestem bardzo poruszony. Znam go i cenię. W 1950 r. prof. Elzenberg został wydalony z uniwersytetu w Toruniu jako „wrogi ludu”, dziś grozi to prof. Bartyzelowi jako „wrogowi ludu wybranego”. Jeżeli różnym Grossom w Paryżu zagwarantowana jest wolność słowa do opluwania Polski i Polaków, to także Bartyzelom w Toruniu ma być dana wolność odpowiedzi na te agresywne działania. Inaczej wracamy do ustroju stalinowskiego – skomentował Okołowski. – Nie każda bowiem niechęć do Żydów jest antysemityzmem, a tylko irracjonalna. Ta uzasadniona – jako reakcja na żydowskie prowokacje

– antysemityzmem nie jest. Uczył tego prof. Wolniewicz. Kiedy powodem niechęci jest nasilający się antypolonizm Żydów, mamy do czynienia z normalną polityczną walką. Lepsza ona niż uliczna bijatyka – to norma demokracji. To ten antypolonizm jest irracjonalny, gdyż stawianie Polaków w roli pobratymców Hitlera to niedorzeczność historyczna, a przypisywanie im „sprawstwa tysięcy żydowskich ofiar” to wyjątkowa podłość – dodał.

OSTRACYZM

Wykorzystywanie hasła „antysemityzmu” jako formy cenzury nie jest zjawiskiem nowym. W latach 90. ostracyzm spotkał prof. Bogusława Wolniewicza na Uniwersytecie Warszawskim, po części w związku z krytyką prac Zygmunta Baumana. Ocenił go jako „Hochsztaplera intelektualnego na dużą skalę” i... został oskarżony o antysemityzm.

Profesor Okołowski uważa, że „Polska profesura winna zewrzeć szyki i przeciwstawić się stanowczo stalinowskiemu praktykom w rodzaju „sprawy Bartyzela”. – W innym przypadku sama będzie musiała żyć w ciągłym strachu – podsumowuje.

– Informacja o wszczęciu przez rzecznika dyscyplinarnego UMK postępowania przeciw panu prof. Jackowi Bartyzelowi jest wiadomością przynębiającą. Oto po raz kolejny w Polsce mamy do czynienia z próbą szkanowania wybitnego naukowca – w tym przypadku jednego z najwybitniejszych znawców dziejów myśli politycznej – za poglądy w myśl starej jako-bińskiej zasady, że „nie ma wolności dla wrogów wolności” – mówi „Do Rzeczy” prof. Grzegorz Kucharczyk, historyk. – Jeśli na uniwersytecie mają być prezentowane „jedynie słuszne” poglądy, to oznacza to powolną śmierć uniwersytetu.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Nadmiar komunikacji

Ostatnio chciałem kogoś przygwoździć. To była sprawa zawodowa. Ktoś się do czegoś zobowiązał, ale tego nie zrobił. I bezczelnie twierdził, że wcale się nie zobowiązywał.

Ale ja miałem na niego haka. Wiedziałem, pamiętałem, widziałem, że obiecywał na piśmie. Wystarczy to znaleźć, podsunąć mu pod kłamiwy nos i zatriumfować. Rozpocząłem poszukiwania. Przetrząsałem naszą korespondencję e-mailową. Nie ma. Zlustrowałem SMS-y. Nie ma. Przeszukałem WhatsAppa. Nie było. Sięgnąłem po Messengera. Ani widu, ani słyhu. Mina trochę mi zrzedła. Pożaliłem się żonie, bo komuż mogłem się pożalić. Zrozumiała, bo też lubi przygwaźdzać ludzi (coś nas jednak wciąż łączy).

Apotem podzieliła się własnymi zgryzotami. – Zupełnie się pogubiłam w tych wszystkich grupach na komunikatorach. Tu klasowa, tam pracowa, ówdzie jedna przyjacielska, tamże druga kumpelska, tam jeszcze stara przedszkolna, tu same laski bez facetów, a jeszcze od hiszpańskiego, a jeszcze od robotyki, a od rady rodziców, a wakacyjna, a harcerska. Nie dość, że nie nadążam z odpisywaniem, to jeszcze zobowiązałam się do tylu rzeczy, że zupełnie się nie wyrabiam! Gorzej – zapomniałam, do czego się zobowiązałam. Rozumiesz?

Rozumiałem bardzo dobrze, ale tylko pokiwałem z frasunkiem głową i nie

ciągnąłem tematu. Jakbym pociągnął, to jeszcze mogłaby dojść do wniosku, że właściwie to w niektórych ja mógłbym się poudzielać i do czegoś zobowiązać. Bez wątplenia miałyby rację, nadmiar kanałów komunikacji prowadzi do angażowania się w zbyt wiele spraw i w efekcie do zagnębienia. Jednak ja też bym pozapominał, więc w sumie wyszłoby na to samo. Tym bardziej, że i ja miałem swoje problemy i przeciążenia komunikacyjne. Tyle tych komunikatorów, obowiązków, PIN-ów, haseł, logowań, grup, chatów, poczt. Chwila, chwila! Pocztę! Przecież sprawdziłem tylko pocztę służbową, a mam jeszcze dwie prywatne (nie wiem, po jaką cholerę).

I bingo! W ostatniej możliwej poczcie znalazłem korespondencję, która mnie interesowała. Wczytałem się w dawniejsze e-maile, aż wreszcie znalazłem kluczową wymianę zdań. Brzmiała mniej więcej tak: „Cześć Igor, jak chcesz, to się tego podejmę”. Ja: „Eee, właściwie to nie ma potrzeby”. On: „Nie chcesz, to nie”.

Ręce mi opadły. I poczułem się jak Tadeusz Iwiński, o którym mówiono, że zna siedem języków, ale w żadnym nie ma nic sensownego do powiedzenia. Ja też miałem tyle komunikatorów do wyboru i nie potrafiłem z nich zrobić sensownego użytku. Chyba czas z czegoś zrezygnować. Może zarejestruję się na Twitterze i nie będę go używać? ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Skórka za wyprawkę

Zastanawiam się czasem, jak wyglądają kalkulacje sztabów wyborczych. Jak trzeszczą szare komórki, kombinując nad tym, co w obliczu nadchodzących wyborów się opłaca, a co nie? Rozumiem, że takie leciwe formacje jak ludowcy lub lewica dokonały stosownych obliczeń, czy warto iść razem, czy osobno, i wyszło, że razem, bo tak wskazywały na to sondaże, choć na chłopski rozum pożytek może mieć tylko kilku facetów z jedynek, którzy załapią się na europejski żołd, a to niepewne.

Jednak o ile tu widać ślady jakiegoś rozumowania, o tyle zupełnie pojąć nie mogę owego nachalnego przytulania się do bractwa tęczowej flagi. Oczywiście ten i ów z prominentnych działaczy może kierować się względami osobistymi. Ale co z resztą? Elektorat wiejski nie pomyli

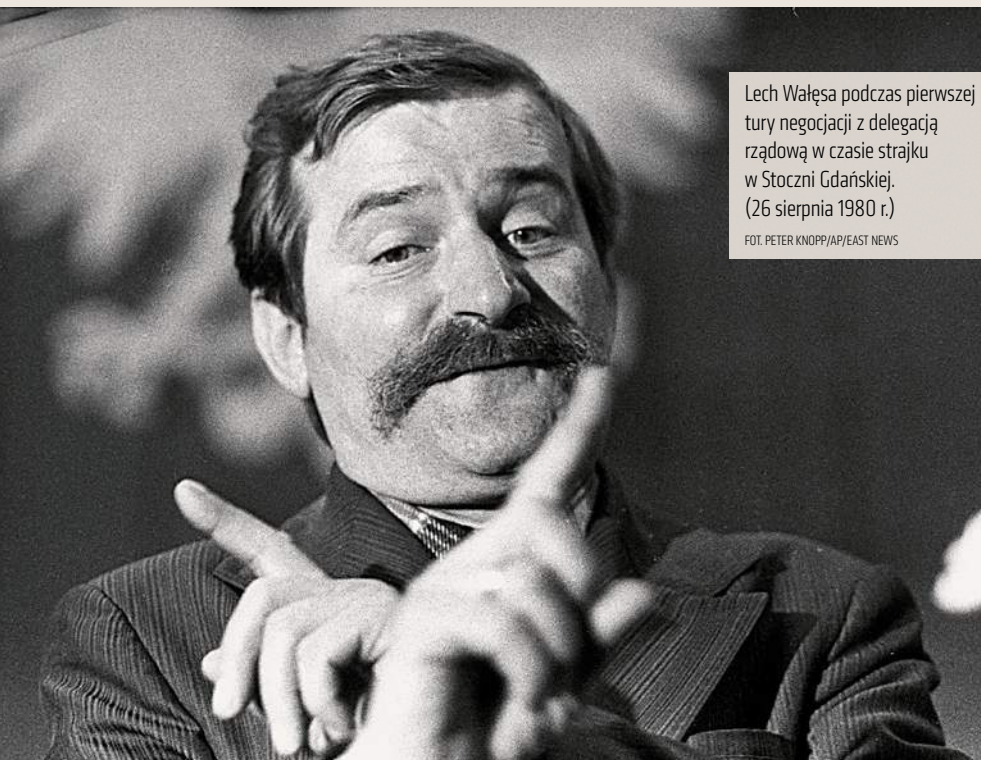
raczej łowickiego pasiaka z banderą love parade.

A miejski? Przy wyborach samorządowych krzykliwa mniejszość mogła mieć jakieś znaczenie. Ale w tych, które nas czekają?

Czy ktoś policzył, ilu wyborców hasła LGBT przyciągną, a ilu odstraszą?

Donald Wielki (wielki, w odróżnieniu od tego amerykańskiego karła reakcji) postępował chytrzej. Wyhodował sobie niezawodny skansenik lewactwa, postawił na czele towarzysza Palikota, sam pozostając centrowym postępowym katolikiem, prawo lewym liberałem ku zadowoleniu wujów z SB i ciotek z Unii Wolności. Czy teraz można by powtórzyć podobny manewr? Cudowne dziecko lewicy – Biedroń – w odróżnieniu od teoretyka Palikota praktyk głoszonych idei – czyli idealny koalicjant centrowej Platformy. Tyle że rywalizując o ten sam elektorat, staje się groźnym konkurentem. Oczywiście można powiedzieć: nie mój cyrk, nie moje małpy, które im bardziej będą agresywne, tym chętniej reszta elektoratu zamiast przyjąć pakiet europejskich wartości, mocniej poprze Zjednoczoną Prawicę. ©©

**Czy ktoś policzył,
ilu wyborców hasła LGBT
przyciągną, a ilu odstraszą?**



Lech Wałęsa podczas pierwszej tury negocjacji z delegacją rządową w czasie strajku w Stoczni Gdańskiej. (26 sierpnia 1980 r.)

FOT. PETER KNOPP/AP/EAST NEWS

A „nóż” się uda



Sławomir Cenckiewicz

Lech Wałęsa zapowiedział ostatnio rozprawę sądową ze wszystkimi, którzy twierdzą, że był agentem bezpieki o pseudonimie Bolek

Lista osób, którym Wałęsa grozi sądem, wciąż rośnie i liczy już blisko 30 nazwisk. Dopytywany w mediach społecznościowych o wielokrotnie zapowiadany prywatny akt oskarżenia wobec mnie Wałęsa odparł, że „Cenckiewicz od sierpnia 2018 r. jest już w sądzie”. Pofatygowałem się więc do gdańskiego sądu, ale pochyłając się nad lekturą pozwu, z trudem powstrzymywałem śmiech.

SKAZANY NA KLĘSKĘ

Początkowo wszystko zapowiadało powagę sytuacji... Jest pozew o ochronę dóbr osobistych z 27 sierpnia 2018 r. i pełnomocnictwo wystawione zaangażowanemu politycznie mecenasowi Jackowi

Dubois z 21 maja 2018 r. I na tym kończy się wszystko, co poważne. Pozew dotyczy mojej książki „Wałęsa. Człowiek z teczki” (Poznań 2013). Było w niej wszystko: opis burzliwego dzieciństwa i chuliganerii, kradzieże, nieślubne dziecko i zdewastowany grób Grzesia Lewandowskiego w Chełmicy Dużej, opis patologii rodzinnych u Gołosiów i Wałęsów, esbecka agentura i niszczenie ludzi zaangażowanych w Grudzień '70, zdradzieckie przywództwo, układy z komunistami, szantaże i naciski, forsa, szemrane relacje i siedlisko agentów w Belwederze... Pomyślałem sobie, że to spory potencjał procesowy, jak na całościową delegitymizację „dobra narodowego” przystało. Wprawdzie wszystko jest dowiedzione i udokumentowane, ale w pol-

skich warunkach, zważywszy na polskie (gdańskie) sądy i legendarną już ochronę prawną Wałęsy, możliwa jest tylko moja klęska i niewypłacalność do końca życia.

NIE „BOLEK”, ALE NÓŻ

Udałem się do czytelnicy sądowej w Gdańsku (pomijam tutaj względy prawne, w tym zasadność skierowania pozwu do Gdańska, skoro książkę wydano w Poznaniu). Po kilku stronach lektury urzędowych pism dotarłem wreszcie do pozwu. Przez chwilę myślałem, że śnię, że to nie może być prawda... Otóż już na początku pozwu Wałęsa wezwał mnie do wpłaty na fundację jego imienia w Europejskim Centrum Solidarności (a jakże!) 15 tys. zł oraz zamieszczenia na portalu internetowym Polskiej Agencji Prasowej (w dziale „Kraj”) oświadczenia zatytułowanego „Sławomir Cenckiewicz przeprasza Lecha Wałęsę” o następującej treści: „Przepraszam Pana Prezydenta Lecha Wałęsę za to, że w książce pt. »Wałęsa. Człowiek z teczki«, której jestem autorem, rozpowszechniłem nieprawdziwe i szkalujące informacje, jakoby Pan Lech Wałęsa dopuszczał się zachowań polegających na odrywaniu z płotów sztachet, których następnie miał używać w bójce, jak również polegających na wywoływaniu bójek z użyciem noża. Swoją wypowiedzią naruszyłem dobra osobiste Pana Prezydenta Lecha Wałęsy w postaci dobrego imienia, czci oraz godności”.

A zatem z całego arsenału zarzutów, opisanych kompromitujących historii i uwikłań Wałęsy zostały w zasadzie tylko sztachety i noże z okresu szczenięcego! Żeby było jeszcze śmieszniej, cały ten chuligański wątek książki jest w istocie powtórzeniem ustaleń i zaznaczonych w tekście cytatów autorów, piszących o młodocianym Wałęsie przede mną: Jerzego Surdykowskiego („Notatki gdańskie”, Londyn 1982), Rogera Boyesa („Nagi prezydent. Życie polityczne Lecha Wałęsy”, Londyn 1995) i Pawła Zyzaka („Lech Wałęsa. Idea i historia. Biografia polityczna legendarnego przywódcy »Solidarności« do 1988 roku”, Kraków 2009).

SZTACHECIARZ I NOŻOWNIK

Ucieszyło mnie, że Wałęsa w pewnym sensie – przynajmniej w moim przypadku – pogodził się z zarzutem agenturalności. Wałęsa kompletnie pominął „Bolka”. Ubodły go za to szczególnie przywołane przeze mnie fragmenty

książek znanych od wielu lat, przeciwko którym – przynajmniej w tym zakresie – nigdy nie protestował. Prawie ćwierć wieku temu Roger Boyes pisał w „Nagim prezydencie” tak: „Jeden z miejscowych chłopów pamięta braci Wałęsów chodzących na odpusty, z najmłodszym Lechem jako szefem grupy. – Po drodze odrywali z płotów sztachety, by użyć ich potem w bójce. Dlatego nazywaliśmy go sztacheciarzem”. Tym samym tropem poszedł Paweł Zyzak, który po zebraniu relacji w okolicach Popowa w 2009 r. napisał: „Lech pełnił raczej rolę »kierowniczą«. Z racji tego, że atakował nożem, zyskał sobie pseudonim »nożownik« bądź »scyzoryk«”.

Wałęsa (i jego mecenas) próbują więc ścigać mnie za cudze ustalenia, z którymi nigdy nie polemizowałem, bo nie był w stanie ich zakwestionować. W zasadzie nie ukrywa tego mecenas Dubois, który nie podając jakichkolwiek argumentów, zaznaczył jedynie, że to wszystko nie jest prawdą („absolutnie nieprawdziwe”). Zauważyć też raczył, że autor „powołuje się w większości na informacje z innych źródeł” (Dubois wymienia książki Boyesa i Zyzaka), ale i tak „nie zwalnia” mnie to

z „odpowiedzialności za naruszenie dóbr osobistych”.

„CHULIGAŃSKI TRYB ŻYCIA”

Mecenas Dubois widzi w książce „Wałęsa. Człowiek z teczki” tylko to, co chce. Zapomniał dodać, że ustalenia Boyesa i Zyzaka znalazły potwierdzenie w dokumencie SB, który w swojej książce również zacytowałem (zaznaczając to). W listopadzie 1966 r. lipieńska bezpieka charakteryzowała Lecha Wałęsę (w kontekście podejrzenia kradzieży broni) i ustaliła, że zarówno Lech, jak i jego bracia „nie cieszyli się dobrą opinią wśród miejscowej ludności z uwagi na chuligański tryb życia, skłonność do kradzieży i wywoływania bojek przy użyciu noża” (IPN By 069/258, t. 18, k. 336).

Adwokat Wałęsy na tyle nieuważnie zapoznał się z moją książką, że nawet napisał, iż „nie znalazłem” na potwierdzenie tych „okoliczności” (użycia sztachet i noża) jakichkolwiek dokumentów (sic!), które mogłyby te czyny potwierdzić.

Ignorując to wszystko, Dubois na koniec oświadczył w imieniu Wałęsy, że „nigdy nie dopuścił się [on] czynów polegających na wyrywaniu sztachet z płotów,

by następnie używać ich w bójkach, jak również nigdy nie wywoływał bójek przy użyciu noża i nigdy nie atakował nikogo nożem”.

Po tak sformułowanej deklaracji bez pokrycia mecenas Dubois pozwolił sobie na kuriozalną charakterystykę Wałęsy, z której – jak rozumiem – ma wynikać nieprawdziwość historii związanej ze „sztachetami i nożami”. I tak Dubois „zarzucił” sąd cytatami i wydrukami z Wikipedii (które opieczętował i osobiście potwierdził podpisem) o bohaterstwie Wałęsy, o jego roli w procesie przyjęcia Polski do NATO, o Nagrodzie Nobla (załączył przy tym cały panteon wizerunków noblistów od Frédérica Passy do Juana Manuela Santosa), o otrzymanych odznaczeniach... Całość tych pseudodowodów wieńczy wydruk wywiadu z tygodnika „Polityka” z Jackiem Santorskim na temat krzywdy medialnej, która spotkała Kamila Durczoka.

Jaki ma to związek ze sprawą, wiedzę zapewne jedynie Wałęsa z Dubois. W każdym razie tak absurdalnego pozwu nigdy nie czytałem. Pewnie dlatego wolny od nacisków i presji gdański sąd wciąż nad nim deliberuje, nie wiedząc, co z nim począć.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



orcheston

prezentują:

GROMEE

Orkiestra Akademii Beethovenowskiej

17.05.2019

COS Torwar

Warszawa

Bilety: PRESTIGEMJM.COM

zaprasza mecenas



BUKOVINA

RESORT



Prestige
MJM

REGENT
WARSAW HOTEL

RMF

RMF MAXXX

RMF Classic

wprost

4CLUBBERS.PL

RZECZY

Multikino

4 TV

pap

WP

VIXON

cgm.pl

PRESS SERVICE



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Gorzki sukces

Polacy mają słuszne pretensje, że rola naszych rodaków w złamaniu szyfru „Enigmy” jest na Zachodzie konsekwentnie pomijana. Cała chwała spływa na Brytyjczyków. Sprawa jest poważna, bo złamanie niemieckich szyfrów było jednym z kluczowych czynników, które doprowadziły do zwycięstwa nad III Rzeszą. Polakom odbiera się więc olbrzymią zasługę.

Na szczęście pojawił się jednak Dermot Turing ze swoją pasjonującą książką „XYZ”. Autor jest bratankiem samego Alana Turinga, słynnego kryptologa z Bletchley Park. Mimo to w swojej książce nie pozostawia żadnych wątpliwości – złamanie „Enigmy” to zasługa genialnych polskich oficerów.

„Przed 1940 rokiem – pisze Turing – brytyjscy kryptoanalizyści nie poczynili żadnych postępów w pracach nad złamaniem szyfru wojskowej wersji Enigmy. W jaki więc sposób tak szybko i skutecznie udało im się zmienić sytuację? Brakującym elementem jest wkład polskich kryptoanalityków, którzy pracowali nad tym problemem od ponad dziesięciu lat i którzy podzielili się swoją wiedzą ledwie sześć tygodni przed wybuchem wojny na arcyważnym spotkaniu pod Warszawą”.

Książka „XYZ” to miód na polskie serce. Nie jest to jednak jedyny powód, żeby po nią sięgnąć. Turing przedstawił

historię złamania „Enigmy” w sposób przystępny i klarowny, nie przeładowując jej – trudnymi dla przeciętnego czytelnika – szczegółami technicznymi. Książkę czyta się więc bardziej jak szpiegowski thriller niż naukową monografię.

Niestety, „XYZ” nie kończy się happy endem. 5 lipca 1945 r. Wielka Brytania uznała marionetkowy reżim wprowadzony przez Stalina w okupowanej Polsce. A tym samym wycofała swoje uznanie dla prawowitego rządu niepodległej Rzeczypospolitej, który urzędował w Londynie. Zdrada się dopełniła.

Wśród dziesiątek tysięcy żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, którzy znaleźli się na lodzie, byli też nasi kryptolodzy. Grupa fachowców, którzy złamali „Enigmę”, nagle stała się Brytyjczykom niepotrzebna.

Symboliczne mogą być losy jednego z nich – Maksymiliana Ciężkiego. Ten wybitny polski oficer po wojnie musiał pracować w Londynie w firmie

sprzątającej. Potem był bezrobotny i władze Wielkiej Brytanii nie pozwalały mu na sprowadzenie na Wyspy ukochanej żony. Schorowany, utrzymujący się z zasiłków, Ciężki zmarł w 1951 r. Miał zaledwie 52 lata.

„XYZ” to historia wielkiego polskiego sukcesu. Ale również wielkiego rozczarowania. ©©



★★★★★
DERMOT TURING
„XYZ. PRAWDZIWA
HISTORIA
ZŁAMANIA SZYFRU
»ENIGMY«”
REBIS



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Na Kowno, Wodzu!

Powstała w 1918 r. Republika Litewska prowadziła konsekwentną antypolską politykę. Litwini nigdy nie potrafili zapomnieć, że Wilno zostało przy Polsce, wobec czego Kowno ogłoszono tymczasową stolicą kraju, a z naszym krajem nie utrzymywano stosunków dyplomatycznych. W tej sytuacji rozdzielone

Litewskiej. W Kownie narażało zaniepokojenie, gdyż dotychczas podobne incydenty załatwiano na szczeblu lokalnym. Tymczasem w Warszawie przygotowano dość wyważone ultimatum, którego głównym żądaniem było nawiązanie normalnych stosunków dyplomatycznych bez żadnych warunków wstępnych. W innym przypadku rząd polski miał „własnymi środkami zabezpieczyć słuszne interesy swego państwa”.

17 marca, tuż po wysłaniu ultimatum, w polskich miastach odbyła się seria manifestacji popierających decyzję władz. Największa odbyła się w Warszawie. Po wiecu na pl. Piłsudskiego zorganizowano pochód, wznosząc okrzyki na cześć marszałka Śmigłego-Rydza. Atmosfera była pełna entuzjazmu, a wśród tłumu dominowały „roześmiane, ubawione twarze młodych chłopców, akademików i uczniów starszych klas szkół średnich, biorących udział w tej demonstracji”. Jej humorystyczną wersję przedstawił po latach Andrzej Munk w „Zezowatym szczęściu”.

Rząd w Kownie przyjął ultimatum, na początku przywrócono komunikację drogową i kolejową, łączność pocztową i telefoniczną, a następnie żeglugę na Niemnie. Po raz pierwszy od niemal 20 lat rodziny rozdzielone granicą mogły się ze sobą oficjalnie kontaktować. Nawiązano stosunki dyplomatyczne i gospodarcze, a jesienią władze z Kowna poleciły prasie porzucenie antypolskiej retoryki i rozwiązały Związek Wyzwolenia Wilna. ©©

Dotychczas podobne incydenty załatwiano na szczeblu lokalnym

granica rodziny przedstawały się przez nią nielegalnie, uprawiano też na dużą skalę przemyt.

Do kryzysu doszło wiosną 1938 r. O świcie 11 marca dwuosobowy patrol KOP próbował zatrzymać dwie osoby przekraczające granicę. Z litewskiej strony kordonu padły strzały, w efekcie których żołnierz KOP, strzelec Stanisław Serafin, został śmiertelnie ranny. Grupa litewskich policjantów wciągnęła go na swoją stronę granicy, a następnie przeniosła dalej, gdzie po kilku godzinach zmarł.

Przez następne dni sprawą żyła cała Polska. Prasa ukazywała się w zwiększonych nakładach, donoszono (niezgodnie z prawdą) o koncentracji wojsk litewskich nad granicą. Dominowało stanowisko antylitewskie, a gazety endeckie niemal wprost nawoływały do inkorporacji całej Republiki

POMAGAMY SPRAWIEDLIWIE

JUŻ JESTEŚMY BEZPIECZNE



Jeśli jesteś osobą pokrzywdzoną lub świadkiem przestępstwa, skorzystaj z pomocy Funduszu Sprawiedliwości:

- organizujemy pomoc prawną
- zapewniamy wsparcie psychologiczne i materialne
- pomagamy sfinansować przejściowe problemy z opłatą czynszu
- pokrywamy koszty leczenia, rehabilitacji, edukacji i aktywizacji zawodowej

Znajdź najbliższy ośrodek pomocy na stronie www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl



FUNDUSZ
SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO
SPRAWIEDLIWOŚCI

www.ms.gov.pl



Marcin Makowski

Piotr Semka spogląda w przeszłość i stara się poukładać w całość elementy historii, których był uczestnikiem

Tytułowa „piątka” z „Piątki u Semki” to bezpośrednie odniesienie do 50. urodzin autora, ale przecież też szmat czasu, który Piotr Semka przeżył, będąc świadkiem i uczestnikiem – najpierw końcowego etapu walki z komunizmem, później – tworzenia się pookrągłostołowego ładu medialno-politycznego. Rozmowa, którą odbył z historykiem Janem Hlebowiczem, autorem monografii o „Niepokornych z Topolówki” (gdańskiego liceum, do którego uczęszczał Piotr, stawiając pierwsze kroki w dziennikarstwie), nie dotyczy jednak tylko tego, co Semka widział i myśli. Nie jest to egocentryczny wywiad rzeka, których pełno na rynku. Jego siła polega bowiem na uzupełnianiu się wiedzy pytającego i doświadczeń pytanego, które razem tworzą obraz przekroju trzech epok – przedwojennej, komunistycznej i demokratycznej.

Dzisie się tak za sprawą aptekarskiej wręcz staranności, z którą Piotr odtwarza losy swojej rodziny, które z powodzeniem mogłyby posłużyć jako alternatywny scenariusz „Domu” albo „Polskich dróg”. Nie da się bowiem zrozumieć Semki bez zrozumienia, w jakich wartościach został wychowany. Pradziadek pamiętający powstanie listopadowe, rodzina od pokoleń zanurzona w życiu pogranicza polsko-niemieckiego, nazwisko, choć polskie i wywodzące się z terenów Litwy właściwej, w pruskim zaborze metodycznie germanizowane jako Sehnke. W życiu pradziadka Mateusza odbijały się zresztą dylematy nie tylko jednego rodu, lecz także szerszego dylematu ziem zachodnich, w postaci wyboru polskości albo niemieckości.

ANECDOTYCZNIE

Co może być dużym zaskoczeniem podczas lektury, „Piątka” to z początku zbiór bardzo ciekawych i nieznanych anegdot z czasów pomiędzy rozbiorami a wrześniem 1939 r. Autor przytacza np. historie rozprężenia panującego



Piotr Semka w 1986 r. (wyżej) i jego dziadek – Józef Woźnicki (pierwszy z lewej) – na mostku kapitańskim „Wichra” z Józefem Piłsudskim (poniżej)

FOT. JAROSŁAW RYBICKI



w pruskiej armii na początku XX w.; przypinania zdobytych przez Polaków Krzyży Żelaznych psom do ogonów czy strzelania w rozgardiaszu bitwy w plecy upokarzającym Polaków synom pruskich junkrów.

Sposób, w jaki Piotr opowiada o najbliższych, po prostu wciąga. Mam wrażenie, że po niespełna 400 stronach lektury poznałem dziadka Jana Semkę, pochłoniętego pracą organiczną na ziemiach II Rzeczypospolitej. Brałem udział w tułaczce przez Piekło, Malbork i Sztum do Gdańska oraz exodusie babci

Bronisławy Arciszewskiej – zaradnej szlachcianki i „panny kresowej” spod Mińska, która uciekając przed wojskami Tuchaczewskiego w 1920 r., zawędrowała na Pomorze.

Również druga strona drzewa genealogicznego to temat na osobną i barwną opowieść. Dziadek Józef Woźnicki to komandor marynarki wojennej, znajomy Józefa Piłsudskiego i analityk wywiadu morskiego AK „Alfa”, który wsławił się analizą żyroskopową przejętej od Niemców rakiety V2. Jego żona Maria była przebojową i modną kobietą, pałającą

niechęcią do komunistów i miłością do motocykli. Niemal cała rodzina Piotra Semki czymś się wsławiła, nie pozostała bierna. Dziadek Jan oraz jego trzej synowie, w tym ojciec autora, służyli w Armii Krajowej, a po wojnie, psychicznie wyczerpani, rzucili się w wir „odbudowywania polskości na dawnych ziemiach zaboru pruskiego”. Być może właśnie dlatego dopiero w latach dwutysięcznych Semka dowiedział się, że Jan pomagał oddziałom mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki”, „legalizując” jego podwładnych i obsadzając nimi stanowiska w poniemieckich gospodarstwach. Odwaga kosztowała jednak dekonspirację i więzienie UB, z którego uratowała go komunistyczna amnestia. Jak twierdzi Semka, było to pokolenie, które tak mocno dostało w kość podczas wojny i w latach stalinowskich, że nie miało już siły do dalszej walki. Wolało po prostu pozytywistyczne zakłęcia i ucieczkę od bieżącej polityki. „W tę lukę weszła lewica laicka z Michnikiem i Kuroniem na czele” – twierdzi Piotr.

ROZCZAROWANIE MICHNIKIEM

Poza rodziną równoprawnym bohaterem wspomnień jest także Gdańsk. „Tylko ludzie, którzy doświadczyli tak bliskiej obecności kultury i mentalności naszych zachodnich sąsiadów, są w stanie zrozumieć zagrożenia płynące ze strony Niemiec lat 30. i 40. XX w. Nie rozumieją tego Rafał A. Ziemkiewicz i Piotr Zychowicz, którzy w sojuszu z III Rzeszą upatrują niezrealizowanej szansy Polaków w czasie II wojny światowej” – mówi Semka, upierając się, że to nie Hanza i dziedzictwo Wolnego Miasta, ale kresowe korzenie repatriantów ze wschodu stworzyły solidarnościowe i przekonane wobec komuny „miasto wolności”. Gdańsk to również przestrzeń pierwszych prób dziennikarskich w postaci gazetki szkolnej „BIT” („Biuletyn Informacyjny Topolówki”), samorządu uczniowskiego i współpracy z braćmi Kurskimi – Jarosławem i Jackiem.

„Piątka” oczywiście nie kończy się na Gdańsku. Wraz z kolejnymi żywotnymi wyborami Piotra wędrujemy do Lublina na KUL, gdzie studiował historię. Poznajemy dwa oblicza uczelni, która z jednej strony zaskakiwała jak na ówczesne czasy skalą swobód, z drugiej – paraliżowała niekiedy pryncypialnym pragmatyzmem, opisanym jako chodzenie na ugody z władzą, „w zamian za dodatkowe worki

cementu” do remontu infrastruktury. Podoba mi się u Piotra Semki to, z jaką szczerością podchodzi do swojego dojrzenia ideowego, opisując kolejne rozczarowania i momenty zwrotne. Jednym z nich był zawód postawą Adama Michnika. Oto w 1987 r. Marcin Król (KORowiec, uczestnik protestów marca 1968 r., sygnatariusz Listu 59) podjął rozmowy z władzą na temat legalnego wydawania ukazującego się w podziemiu pisma „Res Publica”. Adam Michnik, dowiadując się o tym, według Semki miał wpaść w szal, krzycząc: „Co wy udajecie idiotów? To wy nie wiecie, że to jest najgorszy zdrajca? On poszedł na układ z Urbanem”. „W ciągu jednej minuty »Adaś« zamienił się w zamordystę, dzielącego ludzi wedle białocznego podziału – albo jesteście z nami, albo przeciwko nam” – konkluduje autor.

Być może dopiero w tym kontekście można w pełni zrozumieć autentyczny szok, który zmaterializował się przy okazji produkcji nieco zapomnianego już dzisiaj programu publicystycznego „Reflex”, realizowanego z Jackiem Kurskim. Panowie, czekając pod radiową Trójką na Michnika z prośbą o komentarz do innej sprawy, zastali go wychodzącego ze studia po debacie o 10-lecie wprowadzenia stanu wojennego z Jerzym Urbanem właśnie. Reszta jest historią, udokumentowaną na wideo i powtarzaną później w telewizji dziesiątki razy: Michnik ucieka przed swoimi dawnymi kolegami, do samochodu pod radiem wchodzi Urban i prowadząca audycję Monika Olejnik, po chwili samochód się zatrzymuje, a do środka wskakuje naczelny „Wyborczej”. Koniec ujęcia. O zdradzie w „Gazecie” nikt nie pisze, obrywa się natomiast dziennikarzom „Reflexu”, który ze względów politycznych po jakimś czasie spada z anteny.

ROZGRYWAJĄCY III RP

Siłą rzeczy i przez książkę, i przez życie Piotra Semki musi się jeszcze przevinąć wiele do tej pory kluczowych w polityce postaci. Jest Donald Tusk, którego Piotr poznał w 1987 r. jako dziennikarz „Regionówki”. Autor relacjonuje następującą wypowiedź Tuska do kolegi: „Wpadnij do mnie dzisiaj wieczorem. Bę-

dzie nieźla whisky, superkuchnia i dobre cygara”. I pyta: „Kogo, oprócz partyjnych kacyków, było wówczas stać na cygara i whisky? Okazało się, że w szeroko pojętym świecie opozycji są już równi i równiejsi”. Tusk nie jest jednak w tej opowieści postacią zero-jedynkową. Podoba mi się, jak bez ogródek pisze innym razem wprost, tym razem o innych rozgrywających późniejszej III RP. „Jak wszyscy polityczni laicy – musiałem dopiero odkryć, że Kaczyńskich jest dwóch. Ten drugi to Jarosław, który dopiero przyjechał z Warszawy. W porównaniu z Lechem Jarosław był jakiś mniej stylowy, ubierał się w lekko znoszone marynarki i koszule w kratę” – mówi. Albo jak tłumaczy swoje skomplikowane relacje i stosunek do Lecha Wałęsy w kontekście fotografii „Wałęsa – TAKI!” z Jackiem Kurskim. „Za

to zdjęcie dostaję w sieci po głowie od lat od fanów i przeciwników Wałęsy. Jedni oburzają się, że popierałem Lecha, a teraz go krytykuję, inni pytają, jak mogłem popierać kiedyś agenta. Między innymi po to udzieliłem tego wywiadu, żeby spokojnie wytłumaczyć, że kiedyś świat nie był taki prosty” – tłumaczy autor.

„Piątka Semki” to naprawdę różnicowana lektura i podróż po okresie transformacji: upadku rządu

Jana Olszewskiego, losach „pampersów”, perypetii zawodowych konserwatywnych dziennikarzy. Nie jest jednak książką idealną. Jeśli czegoś mi w niej brakuje, to wątku osobistego, którego Piotr chroniący swoją prywatność unika. Dajmy na to, jego wesele pojawia się w książce nagle, jako ostatnie miejsce, gdzie spotkało się (bez Wiesława Walendziaka) całe środowisko „pampersów”. Jednak jak do niego doszło, co było dalej – a to przecież też z perspektywy ludzkiej ciekawe – cisza. Zrobiona zbyt pobieżnie i bez takiej głębi pierwszych rozdziałów jest również ostatnia część rozmowy na temat obecnej polityki PiS i opozycji. Dodana jak gdyby na siłę, aby uzupełnić chronologiczny tok narracji. Niemniej jednak „Piątka u Semki” to intrygujący kawałek losów człowieka i jego rodziny, w których odbija się jak w soczewce los wielu Polaków. Warto.





Teresa Stylińska

W kierownictwie Nowego Sojuszu Flamandzkiego (N-VA) jakiś czas temu zrodził się pomysł, by w eurowyborach miejsce na liście zaoferować Carlesowi Puigdemontowi, przywódcy separatystów katalońskich

Wygłąda to nieco dziwacznie – gdzie Belgia, gdzie Katalonia? Jednak przecież to w Belgii, dzięki flamandzkim przyjaciołom, Puigdemont znalazł schronienie, gdy w Katalonii groziło mu aresztowanie.

Ta informacja, choć niepotwierdzona oficjalnie, zapewne nie była bezpodstawna. Obie strony bowiem miałyby interes w wystawieniu katalońskiego przywódcy. On sam – bo zyskałby dobry punkt zaczepienia do przyszłej działalności. A Sojusz Flamandzki – bo mógłby czarno na białym pokazać, że choć współzrządzac Belgia, nieco stonował swój separatyzm, w głębi duszy jest taki, jaki był. Separatyści flamandzcy i katalońscy utrzymują zresztą kontakty tak bliskie, że Theo Francken z N-VA, minister do spraw imigracji, zaoferował azyl wszystkim Katalończykom, którzy go potrzebują.

BASKIJSKIE PRAWIE PAŃSTWO

Ruchy separatystyczne czy też etniczne starają się wzajemnie udzielać sobie wsparcia, ale dzieje się to głównie w formie przyjaznych deklaracji czy udziału w manifestacjach. Gdy Katalonia szykowała się do referendum, na ulicach Barcelony pełno było biało-niebieskich szkockich flag z krzyżem św. Andrzeja, weneckich z lwem św. Marka i żółtych flamandzkich z czarnym lwem. Bracia separatyści zjechali z całej Europy, by zademonstrować poparcie dla suwerenności Katalonii, a pośrednio również dla własnej. Nie inaczej było przed referendum w Szkocji.

Czy można zatem mówić o wykluwaniu się międzynarodówki separatystycznej? To teza kusząca, ale zdecydowanie przedwczesna. Sprawy nie wyglądają aż tak prosto. Sympatie sympatiami, gdy jednak przywódcy separatystów mają podjąć decyzje, które mogłyby zagrozić ich własnym dążeniom, wykazują



Bracia separatyści

powściągliwość, z pozoru zaskakującą, ale zrozumiałą.

Katalończycy odczuli to na własnej skórze. Tym bardziej dotkliwie, że dystans wobec ich dążeń zachowały dwa narody, które cechuje wyjątkowo silne poczucie odrębności i które, choć w różny sposób, uparcie dążyły do posiadania własnego państwa – Szkoci i Baskowie. Okazało się, że przychylność to jedno, a wzgląd na własne interesy to całkiem co innego.

Weźmy Basków – zmęczonych latami terroru, ale też usatysfakcjonowanych szeroką autonomią, z jakiej korzystają. Nie zamierzają narażać tego na szwank. Chcą zapomnieć o burzliwej przeszłości, wyłeczyć rany i zrobić jak najlepszy użytek z tego, co zdołali osiągnąć. – Czy naród, żeby czuć się narodem, koniecznie musi mieć własne państwo? – zastanawiał się w rozmowie z „Politico” Andoni Ortuzar, przywódca Nacjonalistycznej Partii Basków (PNV). Baskowie, choć do niedawna o wiele bardziej bojowi niż Katalończycy, w zderzeniu z machiną państwa hiszpańskiego wykazali zaskakującą ustepliwość. Nic dziwnego, że aspiracje Katalonii poparli bardzo oględnie, ograniczając się do wyrażenia niepokoju.

Triumf realizmu nad rojeniami potwierdzają badania opinii. Niepodle-

głości pragnie już tylko 17 proc. Basków. W 2006 r. popierało ją 39 proc. W Katalonii tendencja jest odwrotna – z 14 proc. w 2006 r. do blisko 48 proc. obecnie.

OSTROŻNOŚĆ PRZED WSZYSTKIM

Również w Szkocji realizm pokonał sentymenty. W „walce między głową a sercem”, jak to określił szkocko-irlandzki dziennikarz Peter Geoghegan, Szkocka Partia Narodowa (SNP) zdecydowanie postawiła na głowę. Poszła pod prąd – bo narodowo nastawieni Szkoci mocno kibicowali Katalończykom, oczekując od swego rządu, że dążenia Barcelony poprze słowem i czynem.

Przyczyna była prosta: Szkocja, której zależy na przychylności Unii Europejskiej, nie chciała zrażać sobie władz Hiszpanii. Sprawa niepodległości została wprawdzie pogrzebana, ale zapewne nie na zawsze. W referendum z 2014 r. niepodległość odrzucono niespełna 54 proc. głosów i nie jest to wynik, który definitywnie zamyka sprawę. Gdy już powstanie suwerenna Szkocja, Hiszpania mogłaby skutecznie zaszkodzić jej stosunkom z Unią. Dlatego SNP pozostała głucha na apele, by uznać Katalonię.

Oprócz ruchów szkockich, baskijskich i katalońskich separatystami „wagi



i historyczne, a klasycznym wzorcem są tu Szkoci. Szkoci, lud celtycki, do dziś głęboko przeżywają odległe wojny z Anglią, swych bohaterów traktują z wielką czcią i podkreślają, że Szkocja nie połączyła się z Anglią dobrowolnie, lecz została sprzedana przez przekupne szkockie elity.

Jednak niekoniecznie tak jest. Przecież trzy duże, znaczące ruchy – Flaman-dowie, Katalończycy i Włosi z północy – kierują się głównie względami ekonomicznymi. Są zamożni i nie podoba im się, że swym bogactwem muszą się dzielić z resztą Belgii, Hiszpanii i Włoch.

Wbrew temu, co sugeruje termin „separatyzm”, nie wszyscy dążą do rozrwania więzów z państwem, w którym żyją. Niektórym wystarczy akcentowanie odrębności i nawet jeśli niepodległość mają jako cel, nie jest tak, że już teraz o nią zabiegają. Weźmy Walijszczyków: mają własny parlament i rząd, bardzo pielęgnują swój celtycki język i usilnie podkreślają dystans wobec Anglii, ale jak dotąd nie idą w ślady Szkotów i nie grożą secesją. Chociaż główna walijska partia – Plaid Cymru – ma suwerenność wypisaną na sztandarach.

Poza nimi jest cała masa miejsc i społeczności niezadowolonych ze swego statusu i miejsca w świecie: we Francji – Korsyka i Bretania, w Hiszpanii – Galicja, w Danii – Wyspy Owcze. Nastroje niezadowolenia i cichego buntu tlą się niemal wszędzie, od Andaluzji przez Prowansję do Bornholmu. Ostatnio do tego chóru dołączyły należące do Finlandii Wyspy Alandzkie. To głos bez wielkich szans, ale wart dostrzeżenia, bo dobrze ilustruje europejskie trendy. Axel Jonsson, przywódca partii Alands Framtid (Przyszłość Wysp Alandzkich), dobrze wie, że poparcie dla secesji nie przekracza 10 proc., ale wie także, że samo podniesienie tej kwestii działa mobilizująco. – Jeżeli dojdzie do referendum, to wielu ludzi zacznie się zastanawiać, czy warto mieć własne państwo – tłumaczył lokalnej prasie.

Czy separatyzm da się okiełznać? Represje hiszpańskie na Katalończykach nie zrobiły większego wrażenia. Za dobry sposób uchodzi przyznanie autonomii, ale bywa i tak, że rozbudza ona apetyt na suwerenność, zamiast go stłumić. W Belgii podziałano radykalnie: by powstrzymać tendencję odśrodkową, przekształcono kraj w federację. Zapo-biegło to rozpadowi, nie sprawiło jednak, że Flamandowie złożyli broń – najwyżej ją odłożyli.

Na ruchach separatystycznych ciąży jednak nieładne podejrzenie: ich poczynania, dyskretnie pociągając za sznurki, ma inspirować Rosja. Rozmontowanie silnych państw europejskich, a taki przecież byłby efekt uniezależniania się regionów, leżałoby w interesie Rosji – to oczywiste. Faktem jest także, że separatysty sami szukają oparcia w świecie – jedni, tak jak włoska Liga, w Rosji, inni, jak Szkoci, w Unii Europejskiej (choć nieprzychylność Unii wobec referendum ostudziła wiarę Szkotów, że na Europę będą mogli liczyć).

OGIEŃ ODNOWY

Podejrzenia co do intencji Rosji umocniło organizowanie przez nią, pod hasłem „dialogu narodów”, spotkań separatystów. Na dwie takie konferencje zaproszono grupy z całego świata, ale spośród liczących się przybyły tylko irlandzka Sinn Féin (która zresztą nie jest ruchem separatystycznym, jej korzenie są inne) i Solidarność Katalońska na rzecz Niepodległości. Byli za to mało ważni separatysty z Hawajów i Portoryko i, rzecz jasna, rebelianci z Doniecka. Spotkania chyba nie spełniły pokładanych nadziei, bo po 2016 r. więcej ich nie było.

Te wątpliwości nie mogą przysłonić faktu, że separatystów nie należy lekceważyć, nawet jeśli Roberto Maroni z włoskiej Ligi nieco przesadza, mówiąc, że katalońskie referendum „stanie się iskrą, która w złe funkcjonującej Europie roznieci ogień odnowy”. Mieć własne państwo chce 18 proc. mieszkańców Bretanii, po 25 proc. – Walii i Tyrolu Południowego, 40 proc. – Katalonii i 45 proc. Szkocji. Prawdziwym poligonem może stać się Belgia. W tegorocznych wyborach Nowy Sojusz Flamandzki, już teraz największy, może umocnić swą pozycję. Czy zacznie pracować nad przyszłym podziałem Belgii? Niejeden sądzi, że tak.

Separatyzm wszędzie przybiera na sile – jednoznacznie ocenia amerykańskie pismo „Foreign Affairs”. W 1915 r., pisze, na całym świecie istniało tylko osiem ruchów dążących do stworzenia własnego państwa. W 2015 r. było ich 59. Większość z nich działa pokojowo, bo wie, że dzięki temu łatwiej zapracuje na uznanie. „Ale jeśli państwa i organizacje międzynarodowe – dodaje pismo – odmawiają uznania ruchom, które są w stanie stworzyć dobrze funkcjonujące państwo, separatysty mogą przestać się hamować i postawią na przemoc”. A taką perspektywę można i nawet należy się niepokoić.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

ciężkiej” są też Nowy Sojusz Flamandzki i bardziej od niego radykalna partia Interes Flamandzki, a do niedawna również włoska Liga Północna. Do niedawna – bo Liga, niegdyś postulująca oderwanie bogatej północy od biednego południa Włoch, dokonała wielkiej woltury. Stała się już tylko Ligą, bezprzymiotnikową partią, która hołubioną ideę secesji puściła w niepamięć. Dzięki temu stała się partią całego kraju i weszła do rządu.

Nie byłoby to możliwe, gdyby Liga nie znalazła tematów ważnych dla wszystkich Włochów. To, poza walką z imigracją, obrona włoskich interesów i tożsamości. Naraża to Ligę na konflikt z niemieckojęzycznymi mieszkańcami Górnej Adygi i z Austrią, która chętnie występuje w roli patrona.

ZAGMATWANA MOZAIKA

Grupy etniczne o silnym poczuciu odrębności, a co za tym idzie – ruchy separatystyczne, tworzą mozaikę tak zróżnicowaną, że trudno się tu doszukać cech jednoznacznie wspólnych. Duże i małe, ważne i mało znaczące, silnie osadzone w historii, a także całkiem młode, o różnej motywacji i różnych drogach prowadzących do celu. Na ogół separatyzm ma podłoże etniczne

NOWA MODA TOREBKOWA

Na paryskim pokazie mody francuska marka Jacquemus pokazała najnowsze modele swoich torebek. Model Mini Le Chiquito ma... 5 cm i nie zmieści się do niej nawet karta kredytowa. Poprzedni, większy model (12 cm) sprzedawany był za ok. 2 tys. zł. Ile kosztować będzie jeszcze mniejsza, nie wiadomo. Twórcy mody w sieci wymyślają już zastosowania dla produktu. Ma być miejscem na: zapasowy gwóźdź, probiotyk lub „traumę noszoną codziennie”.



FOT. FACEBOOK/JACQUEMUS

SZWEDZKA OPIEKA DLA ISIS

Jak ujawniła szwedzka gazeta „Expressen”, w 2015 r. do Szwecji przyjechał 28-letni Khaled Szahadeh. A przyjechał, bo miał problem zdrowotny. Otóż, gdy wcześniej wyjechał z tego kraju, udał się do Syrii. Tam walczył jako bojownik Państwa Islamskiego. I na froncie został ranny. Wyleczony przez szwedzkich lekarzy terrorysta znów opuścił kraj i wrócił na front. Medycy tłumaczyli się mediom, że „nie powinni być częścią aparatu sprawiedliwości”.

WE FRANCUSKIM SŁOWNIKU

Internetowy słownik Reverso, z którego miesięcznie korzysta ok. 45 mln użytkowników, podsuwał kontrowersyjne tłumaczenia kontekstowe słów po francusku. Na przykład słowo „milszy” osadzał w zdaniu: „Hitler był znacznie milszy dla Żydów, niż na to zasługiwali”. Zaś samo słowo „Żyd” objaśniane było we francuskim tłumaczeniu zdaniami: „Tu jest za dużo Żydów” czy „To najlepszy przykład, jak Żydzi rządzą Ameryką”.

POŁKNAĆ ŻABĘ

Bear Grylls, gwiazda telewizyjnych programów o sztuce przetrwania, podczas kręcenia jednego z odcinków show w Bułgarii złapał, zabił i ugotował żabę. Tamtejsi urzędnicy zajmujący się ochroną środowiska uważają, że za takie zachowanie w obszarze chronionym należy na podróżnika nałożyć karę. Grylls i jego partner w odcinku mogą za zjedzenie żaby zapłacić nawet w przeliczeniu 10 tys. zł.

FAŁSZYWI FANI, PORAŻKA NA SERIO

Frontman rockowego zespołu z Kalifornii postanowił zagrać europejską trasę koncertową. Jego kapela Threaten nie jest znana, więc zapłacił za poszerzenie grona fanów w mediach społecznościowych. Dzięki temu (oraz zaliczkom) uwiarygodnił się w europejskich klubach. Jednak fikcyjni fani nie chadzają na koncerty. I po pierwszym koncercie, na który – oprócz członków zespołu występującego wcześniej – przyszedł tylko jeden człowiek, sprawa się wydała. Rozgłos jednak zdobył. ©©

Łukasz Zboralski

NOTATNIK MALKONTENTA

Śmiały plan Ardanowskiego



ŁUKASZ WARZECHA

Natchnął mnie minister rolnictwa Jan Krzysztof Ardanowski dumą i podziwem. Na spotkaniu Krajowego Związku Spółdzielni Mleczarskich pan minister obiecał, że wprowadzi przepisy, które zobowiążą sklepy do kupowania przynajmniej połowy polskich towarów. To ma rozwiązać problemy polskich producentów.

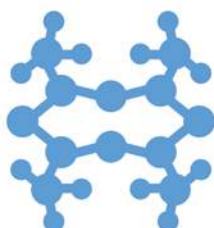
Pomijam pytanie, jak ta połowa miałaby być liczona – wartością księgową, wolumenem, ceną sprzedaży? Nie myślałem o tym, jak określano by, co jest polskim towarem – czy miałoby się liczyć miejsce produkcji, narodowość pracowników czy może własność

firmy? Nie zajmuję się tym, dlaczego w sprawie tak brzemiennej w skutki, dotyczącej całej branży handlowej, miałoby decydować akurat Ministerstwo Rolnictwa. Nie poświęcam nawet krzty uwagi tak nieistotnemu detalowi jak zgodność planu pana ministra z prawem UE. To są naprawdę drobiazgi wobec pięknego i śmiałego patriotyzmu tej propozycji.

Mam nadzieję, że pan Ardanowski nie zatrzyma się w pół drogi i swych planów nie będzie ograniczał do branży spożywczej. Niech to będzie reguła powszechnie obowiązująca. Połowa polskich

towarów w sklepie ze sprzętem audio. Połowa polskich towarów w salonie samochodowym. I połowa polskiej produkcji w firmowym sklepie Apple’a czy Samsunga. A co? Chcą w Polsce handlować, to niech się dostosują! Abośmy to jacy tacy?!

Szczerze przyznaję, że mnie pan minister zaskoczył. Myślałem, że po Krzysztofie Jurgielu do resortu rolnictwa trafił człowiek bez polotu, cichy i nieciekawcy. A tu proszę – prawdziwy wizjoner, śmiało można rzec: wytyczający trendy dla całego rządu, z panem premierem włącznie. Brawo! Czekam na więcej. ©©



WIZJONERZY ZDROWIA 2019

„PRZYSZŁOŚĆ OCHRONY ZDROWIA W POLSCE 2019–2023” 14 marca 2019 r., Warszawa

TYGODNIK „DO RZECZY” WŁĄCZA SIĘ W DYSKUSJĘ NA TEMAT KSZTAŁTU SYSTEMU OCHRONY ZDROWIA.

Podczas konferencji „Przyszłość ochrony zdrowia w Polsce 2019–2023 – Wizjonerzy Zdrowia” poruszymy najbardziej palące problemy ochrony zdrowia

- Służba zdrowia dla pacjenta
 - jak awansować w europejskich rankingach ocen pacjentów
- Czy Polskę stać na (nie)nowoczesne leczenie
- Choroby XXI wieku: priorytety leczenia 2019–2023

Podczas uroczystej wieczornej gali nagrodzimy wybitne osobowości świata medycyny oraz systemu ochrony zdrowia, które zmieniają polską medycynę i opiekę nad pacjentami.

Informacje i zgłoszenia do nagrody na: dorzeczy.pl/wizjonerzy-zdrowia

PARTNER STRATEGICZNY



PARTNERZY WYDARZENIA:



ZDROWIE

PHILIPS



AMGEN

PARTNERZY MERYTORYCZNI:



Polskie
Towarzystwo
Diabetologiczne



Polska Koalicja
Pacjentów Onkologicznych





Bank Pekao



W tegorocznej edycji Intel Extreme Masters łączna pula nagród wyniosła niemal 10 mln zł, ponad 2 mln więcej niż rok wcześniej. FOT. DANIEL DMITRIEW/FORUM

Polacy w lidze mistrzów



Jacek Przybylski

Polscy producenci gier wideo rozwijają się tak dynamicznie, że za tydzień GPW zacnie publikować nowy indeks giełdowy, skupiający firmy z sektora gamingowego. Branża stała się również polską perełką eksportową

Dig Dug. Wciągająca gra, której celem jest wyeliminowanie wszystkich podziemnych potworów na danej planszy, to ulubiony tytuł z dawnych lat Mateusza Morawieckiego. – Sam kiedyś, muszę się przyznać ze skruchą, ale ze skruchą wobec tych, którzy uważają, że to jest strata czasu, też grałem w gry komputerowe – zdradził niedawno szef polskiego rządu. – Dzisiaj moją ulubioną grą jest gra, w której

jest 40 mln postaci. 20 mln gdzieś poza obszarem podstawowym, ale też w naszym polu zasięgu. Ma się tylko jedno życie i w tej grze chodzi o to, żeby Polska weszła na jak najwyższy poziom, jak najwyższy poziom gospodarczy, z punktu widzenia życia społecznego – podkreślał premier podczas międzynarodowych rozgrywek najlepszych graczy na Intel Extreme Masters w katowickim Spodku.

MILIARDOWE PRZYCHODY

Dig Dug niedługo będzie miała już 40 lat. I chociaż nadal można w nią pograć na PlayStation czy Xbox 360, to od czasu jej premiery rynek gier w Polsce zmienił się nie do poznania. Gry wideo stały się dochodową i innowacyjną branżą polskiej gospodarki i jednym z głównych polskich towarów eksportowych. Polacy są liderem w Europie Środkowo-Wschodniej, a nasz udział w gamingowym rynku światowym wynosi od 3 do 5 proc. Co robi ogromne wrażenie, gdy weźmiemy pod uwagę to, że polski PKB stanowi zaledwie

0,75 proc. globalnego produktu krajowego brutto.

Obecnie tworzeniem nowych tytułów zajmuje się w naszym kraju ponad 300 studiów i start-upów. W sumie w sektorze „gamedev” pracuje zaś ponad 4 tys. wysoko wykwalifikowanych i bardzo dobrze opłacanych specjalistów.

Morawiecki to niejeden znany polityk, który zainteresował się polskim rynkiem gier. Kilka lat temu w promocji trzeciej części kultowej polskiej gry – „Wiedźmina” – pomógł prezydent Barack Obama. – Przyznaję, że nie jestem zbyt dobry w grach, ale wiem, że to doskonały przykład polskiego wkładu w nową gospodarkę światową – zaznaczył w 2014 r. ówczesny gospodarz Białego Domu. Polska gra z rozmachem wkroczyła nie tylko na amerykański rynek, gdzie stała się jednym z najgorętszych tytułów sezonu, a jego recenzje ukazały się zarówno w pismach branżowych, jak i w tak prestiżowych magazynach, takich jak „Time”.

Trwająca ponad trzy lata produkcja – w którą zaangażowanych było ćwierć tysiąca osób reprezentujących aż 18 narodowości – oraz międzynarodowa promocja tego tytułu kosztowały polskie studio CD Projekt ponad 300 mln zł. Te wydatki zwróciły się błyskawicznie. „Wiedźmin 3” stał się bowiem międzynarodowym hitem, a w ciągu sześciu tygodni od premiery gry na komputery i konsole polska firma sprzedała ponad 6 mln licencji. Dzięki „Wiedźminowi” CD Projekt tylko w pierwszej połowie 2015 r. odnotował ponad 512 mln zł przychodów ze sprzedaży i pochwalił się inwestorom aż 236 mln zł czystego zysku. W sumie w ciągu kilku lat przychody ze sprzedaży trzeciej części sagi „Wiedźmin” przekroczyły zaś 1 mld zł.

Polscy producenci gier świetnie sobie radzą zarówno w Polsce, jak i za granicą, ponieważ błyskawicznie zrozumieli, że nie mogą skupiać się wyłącznie na walce o klienta nad Wisłą, i w odpowiednim czasie rozpoczęli ofensywę na rynku globalnym. – Dla mnie to coś fantastycznego, że w tym bardzo kreatywnym sektorze gospodarki jesteśmy nie tylko zauważalni na mapie świata, lecz także że jesteśmy jednymi z najlepszych – mówił premier Morawiecki. – W czym mamy się ścinać z bogatymi krajami Zachodu, jak nie w tych nowych branżach, które nie są aż tak bardzo kapitałochłonne, nie wymagają tak gigantycznych

inwestycji kapitałowych, jak – nie wiem – nowa fabryka samochodów? Bardzo się cieszę, że ta branża ciągnie w górę gospodarkę polską, ciągnie w górę całą Polskę – podkreślał szef rządu. Obecne władze zamierzają wkrótce ułatwić polskim firmom rywalizację na globalnym rynku. Rząd prowadzi więc prace nad ustawą wprowadzającą ulgę w podatku od osób prawnych (CIT) dla producentów gier.

WIG GAMES

Dzięki rządowemu wsparciu Polacy w grach komputerowych mogą się stać jeszcze potężniejsi i niczym w Dig Dugu strącić wielu mocnych konkurentów. A jest o co się bić. Światowy rynek gier wideo od ponad dekady jest większy niż filmowy, a obecnie szacuje się, że przychody branży przewyższają łączne przychody rynku filmowego i muzycznego.

Według ekspertów firmy analitycznej Newzoo w 2016 r. przychody globalnego rynku gier wynosiły 101,1 mld dol. W roku 2018 światowy rynek gier wideo wygenerował łącznie już 135 mld dol., czyli o 10,9 proc. więcej niż rok wcześniej. W roku obecnym globalne przychody branży mają wzrosnąć do 148,1 mld dol. – z czego połowa pochodzić będzie z segmentu gier mobilnych – a w roku 2021 r. światowa wartość tego sektora sięgnie aż 174 mld dol. Najbardziej dochodowym regionem dla gier wideo jest obszar Azji i Pacyfiku. Na drugim miejscu znajduje się Ameryka Północna, ale na trzecim już Europa, Bliski Wschód i Afryka.

Polska zajmuje 23. miejsce na świecie. Wartość polskiego rynku gier wideo w roku 2018 pierwszy raz przekroczyła 2 mld zł. CD Projekt – który obecnie pracuje m.in. nad nowym tytułem „Cyberpunk 2077” – to niekwestionowany lider wśród polskich producentów gier komputerowych. Giełdowa kapitalizacja tylko tej jednej spółki wynosi aż 18,07 mld zł.

Ten sektor gospodarki w ostatnim czasie stał się na tyle istotny, że od najbliższego poniedziałku (18 marca) warszawska Giełda Papierów Wartościowych uruchomi specjalny indeks giełdowy WIG Games, który początkowo będzie obejmował pięć spółek: CD Projekt, PlayWay (kapitalizacja: 1,062 mld zł), Ten Square Games (kapitalizacja: 694,8 mln zł), 11 bit studios (kapitalizacja: 649,5 mln zł), CI Games (kapitalizacja: 169,54 mln zł).

Coraz częściej w mediach pojawia się informacja, że debiut na warszawskiej giełdzie planuje również wrocławska spółka Techland, drugi pod względem wielkości polski producent gier wideo. Twórca takich hitów jak „Dying Light”, „Dead island” czy „Call of Juarez” mógłby zostać wyceniony na 7–10 mld zł. Przedstawiciel firmy Techland zaprzeczył jednak tym spekulacjom. – W Techlandzie nie toczą się obecnie żadne prace związane z wejściem firmy na giełdę. Skupiamy się na równoległej produkcji dwóch tytułów AAA i to jest naszym priorytetem. Jednym z nich jest „Dying Light 2”. Obie produkcje finansowane są z własnych środków firmy. Cały czas prowadzimy też działania zmierzające do poprawy efektywności firmy, co jest normalną działalnością biznesową – oznajmił w komentarzu dla „Do Rzeczy” Karol Bach, chief financial officer firmy Techland.

ZAROBIĆ NA E-SPORCIE

Szybko rośnie również popularność cyberzawodników oraz wartość e-sportu. Na śledzeniu rozgrywek graczy na platformie YouTube Gaming fani cyfrowych dyscyplin sportowych, takich jak np. „League of Legends”, „Dota 2” czy „Counter-Strike: Global Offensive”, spędzili w 2018 r. aż 2,3 mld (!) godzin. A to i tak zaledwie jedna czwarta czasu, który na obserwowaniu najlepszych cybergraczy spędzili widzowie platformy Twitch, przeznaczonej głównie do transmisji gier i kupionej w 2014 r. przez Amazona za niemal 1 mld dol. W e-sport spore pieniądze zainwestował również konkurent Jeffa Bezosa, twórca Alibaby – Jack Ma.

W 2019 r. liczba widzów e-sportowych zmagani – zarówno entuzjastów tego typu rozrywki, jak i okazjonalnych obserwatorów – ma wzrosnąć do 454 mln osób.

Liczba widzów e-sportu rośnie również w Polsce. W naszym kraju w ciągu

ostatnich kilku lat powstała już pierwsza telewizja dla graczy, nadająca 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu (E-Sport TV w styczniu 2019 r. obejrzało 1,847 mln osób, a w lutym 1,80 mln widzów), portale e-sportowe (m.in. Esporter), specjalistyczne agencje oraz profesjonalne drużyny.

Polska ma świetnych zawodników nie tylko w „Counter-Strike’u”, który jest najważniejszą dyscypliną w mistrzostwach świata w grach komputerowych. Polacy są również w gronie najlepszych w takich grach „Stacraft II”, „Dota 2”, „League of Legends” czy w „Hearthstone”. W tegorocznej edycji Intel Extreme Masters – która odbyła się pod koniec lutego w Katowicach – łączna pula nagród wynosiła niemal 10 mln zł, ponad 2 mln więcej niż rok wcześniej.

Pieniądze są coraz większe, ponieważ e-sport nie jest już jedynie rozrywką dla pasjonatów gier komputerowych, lecz stał się potężnym biznesem z dużą dynamiką wzrostu. Firma doradcza Deloitte prognozowała w zeszłym roku, że w 2018 r. przychody z tytułu wydarzeń i relacji na żywo związanych z e-sportem przekroczą w skali globalnej pierwszy raz 1 mld dol., czyli niemal 3,8

mld zł. Według analityków Newzoo w roku 2018 wartość globalnego rynku e-sportu osiągnęła pułap 905,6 mln dol., a w tym roku wzrosła do 1,1 mld dol. Szybko rosną bowiem przychody z reklam (m.in. banków, producentów samochodów czy firm farmaceutycznych), umów sponsorskich i sprzedaży praw medialnych do transmisji rozgrywek. Na e-sporcie zarabiają również organizatorzy turniejów, a także producenci sprzętu: od podkładek do profesjonalnych myszek.

W sektorze gier wideo i e-sportu Polska już jest światową potęgą. Rok 2019 może się okazać jeszcze lepszy niż poprzedni zarówno dla cybersportowców, jak i dla polskich przedsiębiorców i inwestorów.



„Wiedźmin 3” przyniósł ponad miliard złotych przychodów FOT. MATERIAŁY PRASOWE



ŁUKASZ ZBORALSKI: Zapowiadał pan, że w tym roku chce, by PKP wypracowały miliard złotych zysku. Jak zamierza pan to zrobić?

KRZYSZTOF MAMIŃSKI: W ciągu dwóch ostatnich lat spółki tworzące szeroko rozumianą Grupę PKP osiągnęły dobre wyniki finansowe. Rok 2017 to 600 mln zł zysku netto, ubiegły rok – ponad pół miliarda. Oczywiście wypracowanie miliarda złotych zysku będzie dużym wyzwaniem, ale są przesłanki uprawniające do stawiania sobie tak ambitnych celów. Mamy dobre prognozy dotyczące działalności PKP CARGO. To jedna z ważniejszych spółek, która jeszcze kilka lat temu generowała straty, a od dwóch lat ma dodatnie wyniki finansowe. PKP InterCity też przewożą coraz więcej pasażerów. A jeśli kursuje więcej pociągów, z których korzysta więcej pasażerów, to spółka zarabia więcej. Oczywiście nie mogę zapewnić, że już w 2019 r. osiągniemy miliardowy zysk, ale jestem przekonany, że to będzie kolejny bardzo dobry rok.

Potrzeba do tego jeszcze pewnych zmian organizacyjnych, które być może w tym roku nie zapoczątkują, ale zmateriaлизowanie koncepcji powstania holdingu to będzie coś, co pozwoli maksymalizować zyski i optymalizować koszty.



Z Krzysztofem Mamińskim, prezesem zarządu PKP SA
rozmawia Łukasz Zboralski

Z pociągu na e-auto PKP

Nie! Przez wiele lat optymalizacja kosztów kojarzona była wprost ze zmniejszaniem kosztów pracy, najczęściej poprzez zmniejszanie zatrudnienia. My jednak w założeniach do stworzenia holdingu nie chcemy naruszać samodzielności wszystkich spółek, które w nim będą. I tylko

złośliwi mogą mówić, że to koncepcja powrotu do molocha – jednego wielkiego przedsiębiorstwa państwowego. Jest jednak tak dużo obszarów wspólnych dla tych spółek, w których – działając razem i koordynując pracę – można zmniejszyć wydatki.

Dlaczego? Prawo nie pozwala SOK chronić dworców?

Jest tak zapisane w prawie, że SOK chroni teren kolejowy, czyli infrastrukturę kolejową i częściowo pasażerów w pociągach. Dworzec kolejowy nie jest elementem stricte infrastruktury kolejowej, a ochraniać go trzeba. PKP SA corocznie wydają 60–80 mln zł na usługi ochroniarskie.

Zaznaczę jednak, że pieniądze i wyniki są ważne, ale przede wszystkim jesteśmy dla pasażerów. I warto koordynować działania usprawniające obsługę pasażerów, w którą zaangażowani są przewoźnicy, zarządcy infrastruktury kolejowej i dworców. Chodzi przede wszystkim o to, aby oferta dla klienta była coraz bardziej atrakcyjna. Przykładem takich działań jest już dziś wspólny bilet. Latami mówiono, że to się nie uda. Nam się udało. I to nie tylko w ramach współpracy spółek Grupy PKP, ale również z podmiotami samorządowymi. Klient w jednej kasie może sprawdzić połączenie i kupić jeden bilet. Taniej, bo oferta opiera się na zasadzie „im dalej jedziesz, tym mniej płacisz za kolejne odcinki trasy”. I to są jednocześnie rozwiązania, które pozwalają kolei zwiększyć przychody.

Trudno być atrakcyjnym dla klienta, gdy prowadzi się wielki program inwestycyjny...

Zarządcy linii kolejowych ściśle współpracują z przewoźnikami, układamy wspólnie rozkłady jazdy, by przy tym ogromnym programie inwestycyjnym, który musi spowodować pewne utrudnienia komunikacyjne, uczynić je najmniej uciążliwymi dla pasażerów. Żeby oferta na tym nie traciła, żeby klient nie odzwyczaił się od kolei.

Dla klientów jedną z kluczowych spraw jest punktualność. Jak z nią będzie?

Miedzy punktualnością a prowadzonymi inwestycjami nie istnieje tak prosta zależność. Punktualność według definicji to zgodność czasu przejazdu z rozkładem jazdy. Rozkład jazdy powinien w sobie uwzględniać utrudnienia. Jeżeli zarządca infrastruktury planuje, że w pewnym okresie na konkretnej linii będą utrudnienia, to powinno to znaleźć odzwierciedlenie w rozkładzie jazdy.

Oczywiście jest i przestrzeń na poprawienie tego, co dziś jest. Nie próbuję się usprawiedliwiać, ale opóźnienia pociągów to nie tylko polski problem. W Niemczech jest na przykład jeszcze gorzej...

...wolałbym, żebyśmy porównywali się z Japonią.

Japonia, którą zresztą znam, to będzie rzeczywiście niedościgniony wzorzec. Jednak musimy poprawiać punktualność i od trzech–czterech kwartałów obserwujemy poprawę, choć jest to jeszcze niezadowalające tempo zmiany na lepsze.

Musimy również np. stworzyć u nas przepisy, które będą odpowiadać tym samym standardom europejskim. U nas sposób liczenia opóźnień jest bardziej restrykcyjny niż w innych krajach Europy.

A sposób liczenia ma znaczenie dla pasażera?

Przez taki sposób liczenia poprzez różne statystyki i media do pasażerów dociera gorszy obraz kolei, niż on faktycznie jest.

Wprowadzamy też kilka europejskich rozwiązań, które będą dyscyplinować przewoźników. Bo za duże opóźnienia trzeba będzie zwracać pasażerom część pieniędzy, a czasami nawet całość opłaty za przejazd. To znacznie obowiązywać za kilka tygodni lub miesięcy. Dotyczyć będzie to oczywiście dość dużych opóźnień, rzędu godziny czy dwóch. Dla przewoźników niedotrzymywanie punktualności będzie policzalną stratą. Punktualność jest dla nas jednym z priorytetów. Chcielibyśmy, aby ten parametr wynosił ok. 90 proc.

Będziemy budować w Polsce Centralny Port Komunikacyjny. Czy to szansa na koło zamachowe dla gospodarki związanej z kolejnictwem? Czy wykorzystamy to jako szansę dla producentów taboru, firm usługowych? I co pan, jako prezes PKP SA, w tej sprawie robi?

Od powstania konceptu Centralnego Portu Lotniczego, bo taka była pierwsza nazwa, ja i środowisko pracowaliśmy nad tym, abyśmy mówili, że to nie tylko CPL, ale Centralny Port Komunikacyjny. Dzisiaj element kolejowy w CPK jest jednym z najważniejszych. Z jednej strony będzie on determinował poprawę jakości i szybkości wykonywanej usługi – bo są już założone czasy przejazdów z głównych miast Polski do CPK. To nie więcej niż 2,5 godziny. Musi być więc to związane z podniesieniem prędkości podróży. A żeby podnieść prędkość pociągów do 250 km/godz., trzeba przygotować do tego infrastrukturę. Będą to robić Polskie Linie Kolejowe. Aby jednak uruchamiać pociągi na takich trasach, trzeba mieć odpowiedni tabor.

W komponencie kolejowym Luxtorpeda 2.0 mamy do czynienia ze współpracą przewoźników z producentami, dzięki czemu takie pociągi będą mogły być

Jakie to obszary?

Na pewno powinniśmy mieć jedną strategię dla kolejnictwa. Ponadto – polityka zakupowa. Właśnie w tym obszarze możemy obniżyć koszty. Dzisiaj próbujemy to robić, wiążąc w spółkach grupy zakupowe, ale przy jeszcze lepszej koordynacji efekt skali umożliwi zmniejszenie kosztów.

Inny obszar to obsługa IT. Jeśli każda spółka w zakresie zakupu i utrzymania systemów informatycznych robi to samodzielnie, to suma tych wydatków jest większa niż wtedy, gdy zrobimy to wspólnie. Jest jeszcze więcej punktów wspólnych w działalności spółek PKP – obsługa prawna, obsługa medialna.

Być może wiele osób z zewnątrz o tym nie wie, ale takimi sprawami jak utrzymanie porządku na terenach kolejowych zajmuje się więcej niż jedna spółka. Przykładowo utrzymaniem porządku na peronie zajmują się PKP Polskie Linie Kolejowe, a na położonym obok dworcu – PKP SA. Jest taka umowna granica, że jak dotyczy to peronu – to PLK, a jak dworca – to PKP SA. Można wybrać jedną firmę, która będzie sprzątała całość.

Dzisiaj również Straż Ochrony Kolei ochrania perony, ale już nie dworce. Na dworcach musimy zatrudniać firmy ochroniarskie.

FOT. ANDRZEJ HULIWA/FOTURIA

■ konstruowane i produkowane w Polsce. Już nad tym pracujemy. Są odpowiednie zespoły, pierwsze projekty i koncepcje. Do remontów też będziemy wykorzystywać krajowe surowce, więc możemy powiedzieć, że będzie to duże koło zamachowe dla gospodarki.

A to nie wszystko. W ramach identyfikacji potrzeb kolejowych przy CPK powstał rządowy program „Kolej+”. Po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat zidentyfikowano potrzeby komunikacyjne miejscowości powyżej 10 tys. mieszkańców, które nie mają połączeń kolejowych. To takie, które nie miały ich nigdy lub miały, ale przez ostatnie lata te połączenia likwidowano. Będziemy te połączenia odtwarzać. Dobrym przykładem jest Jastrzębie-Zdrój – 90-tysięczne miasto, w którym było połączenie kolejowe, ale je zamknięto.

Po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat wybudujemy 800–1300 km nowych linii kolejowych. Zupełnie nowych!

Układ wychylnego pudła powodował, że przy mniejszych nakładach na infrastrukturę osiągało się większe prędkości. Ostatecznie jednak kupiono pojazd bez wychylnego pudła. Dzisiaj możemy na niektórych odcinkach Centralnej Magistrali Kolejowej pojechać szybko i tyle. Bo tor musi być dobrze wyprofilowany. A przecież początkowo linia E65 do Gdańska, dość kręta, miała być trasą dla Pendolino. Ja miałem przyjemność jechać pierwszym pendolino w Polsce w 1995 r. Odbyliśmy przejazd z Gdańska do Warszawy. Jednak to był pociąg z wychylnym pudłem. Nasz nabytek tego nie ma.

Podsumowując: nie należę do entuzjastów zakupu tego taboru, choć postawiło to nam pewne wyzwania co do standardów i oczekiwań klientów. Sam wygląd dla pasażerów był czymś pożądanym. Jednak dziś mamy także darty, flirty – pociągi, które jeżdżąc do 160–200 km/godz.,

dworzec nie zatracił swojego pierwotnego przeznaczenia.

Tak chyba zdarzyło się niestety w Poznaniu?

No właśnie... Wchodzi się tam do galerii handlowej, w której szuka się okienka kasowego. Dzisiaj mówimy tak: dworzec przede wszystkim powinien pełnić funkcje podstawowe – pasażerskie. Przestrzeń usługowo-handlowa może być, ale jako uzupełnienie.

Tam, gdzie modernizujemy dworzec, i wiemy, że zostaną wolne powierzchnie, występujemy do lokalnych społeczności, jednostek samorządu i zapraszamy do ich wykorzystywania. Tam, gdzie dopiero projektujemy obiekty, robimy warsztaty i rozmawiamy z uczestnikami o potrzebach pasażerów i mieszkańców. Pozwala nam to na uniknięcie budowy dużego dworca, w którym sporo powierzchni zostałoby po prostu niewykorzystanych. W zeszłym roku i w tym roku udało nam się wynająć pewne powierzchnie, które od sześciu lat stały puste.

Macie też plan, żeby utrzymać klienta poza pociągami. Czyli chcecie mieć własny carsharing, wypożyczalnie rowerów...

Na czterech dworcach – z planowanych w pierwszym etapie 10 – są już ładowarki do samochodów elektrycznych. I obecnie można z nich korzystać za darmo, ponieważ to etap początkowy, wejście na rynek. Następne stacje ładowania zostaną udostępnione do końca marca.

Kolejnym krokiem będzie stworzenie usługi carsharingu samochodów elektrycznych. Będą prowadzone przez nas lub z kimś we współpracy. Chcemy też mieć rowery i skutery elektryczne.

Zamierzamy połączyć usługi. Jeśli nie wypożyczasz naszego samochodu, a masz swój elektryczny i chcesz przesiąść się do pociągu, to ładowanie na pewno będzie z dużym rabatem. Jeszcze w tym roku chcemy ogłosić projekt rowerowy.

Bardzo się cieszę też z ostatnio ogłoszonej przez rząd koncepcji przywracania lokalnej komunikacji autobusowej. To pomoże pasażerom, a w tym klientom kolei. Jeśli ten program będzie rozwijany, to będziemy współpracować, by przewoźnicy nie jeździli wzdłuż tras kolejowych. Siatka połączeń tych przewoźników powinna być tak skonstruowana, by mogła się wzajemnie uzupełniać.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Po raz pierwszy od kilkudziesięciu lat wybudujemy 800–1300 km nowych linii kolejowych. **Zupełnie nowych!**

Czy pana zdaniem potrzebujemy w kraju całej sieci kolei dużych prędkości, czy może wystarczy nam jedno takie połączenie z Europą?

Według książkowej definicji kolei dużych prędkości to ta jadąca powyżej 200 km/godz. A więc założenia jazdy do 250 km/godz. wypełniają formułę kolei dużych prędkości. Ten model uzyskał przewagę po wielu dyskusjach.

Kolejny skok technologiczny to prędkości powyżej 250 km/godz., czyli 300–350 km/godz. To wiąże się z budowaniem zupełnie nowej, odrębnej infrastruktury. W mojej ocenie, jeśli taka kolej miałaby ograniczać się do granic Rzeczypospolitej, to z punktu ekonomicznego jest to nieopłacalne. Koszty byłyby niewspółmiernie duże do zysków. Natomiast tego konceptu nie zarzucamy przy pewnych warunkach. Gdyby za kilka lat udało się doprowadzić w pracach koncepcyjnych do połączenia nowych linii wielkich prędkości z układem europejskim – patrząc na Zachód i zatrzymując się gdzieś w Hiszpanii oraz z drugiej strony, na południu – to wówczas taki projekt ma sens.

My nadal nie mamy za wielu odcinków, gdzie nasze Pendolino mogłoby pokazać, co na je stać. Czy to nie był przedwczesny zakup co najmniej o dekadę?

są wystarczające. Jak będziemy jeździli do CPK z prędkością do 250 km/godz., to i dla Pendolino, i dla innego, nowego taboru będą trasy, na których pociągi te będą mogły rozpędzić się do wyższych prędkości.

Inwestować będziemy też w dworce. Kilka lat temu czytałem o ekologicznym dworcu w Niemczech. A teraz mamy już takie konstrukcje w Polsce...

Mamy już pięć takich dworców, a rozstrzygnięty został przetarg na budowę kolejnych 20. Będą w nich wykorzystane takie rozwiązania jak fotowoltaika, pompy ciepła, odzysk wody deszczowej do spłukiwania toalet. To wszystko, co jest w Europie jeszcze jednak nowością, u nas już jest. I to kierunek, w którym będziemy podążać. W grupie 200 dworców modułowych standaryzowanych będzie 40.

Do tej pory nowe dworce czasem przerażały mnie kubaturą. Był potem problem z wynajęciem ich powierzchni. Czy one już na siebie zarabiają?

Proces komercjalizacji powierzchni dworcowych przebiega nieźle i na wielu dworcach prawie 100 proc. powierzchni jest skomercjalizowane. Nie chcemy, by



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Kto kogo pcha do polexitu?

Nie trzeba być szczególnie bystrym obserwatorem, by spostrzec, jak Unia Europejska coraz mocniej i mocniej przyciąga coraz więcej i więcej Polaków.

Jednych Polaków (których?) przyciąga do UE presja Brukseli, abyśmy całymi tysiącami przyjmowali imigrantów z Afryki oraz Bliższego i Środkowego Wschodu, mimo że przyjęliśmy ich już ponad półtora miliona ze wschodu Europy i z Azji.

Inni Polacy (którzy?) wprost nie mogą się doczekać chwili, gdy polski rząd odsłoni wreszcie prawdę o sprowadzonych na nasze głowy, głównie za sprawą tzw. unijnej polityki klimatycznej, podwyżkach cen prądu, które idą w dziesiątki procent. I już teraz, tzn. tylko w tym roku, kosztować nas będą, według różnych szacunków, od 8 do 16 mld zł!

Jeszcze inni Polacy (którzy?) nie mogą się nachwalić tzw. wolnego rynku UE, z którego coraz natarczywiej wypycha się zbyt konkurencyjnych „pracowników delegowanych” wszystkich branż z uboższych państw Unii, w tym z Polski, by zachować posady wyłącznie dla swoich. W tym wypycha zeń polskie firmy transportowe, które ośmieliły się opanować jedną czwartą rynku usług przewozowych w UE, co wiele z nich doprowadzi do bankructwa. (W sprawie torpedowania unijnego wolnego rynku przez Niemcy i Francję zawiązał się niedawno sojusz 16 państw na czele z Polską).

A są przecież także Polacy (którzy?) z całych sił kibicu-

jący tzw. solidarnościowej polityce energetycznej UE. Polityce dyktowanej, a jakżeby inaczej, przez Niemcy i Rosję, która zaciska pętlę wokół Polski, krajów bałtyckich i Ukrainy – pętlę z okrażających je gazociągów Nord Stream 1, a niedługo także Nord Stream 2. Ci sami Polacy z pewnością nie mogą się nachwalić Unii Europejskiej i za to, że z troski o tak właśnie pojmowaną tzw. solidarnościową politykę energetyczną UE nie dość, że wciąż są narażeni na wyłączenie im dostaw gazu przez Rosję, to jeszcze kupują ten gaz po jednej z najwyższych cen na świecie.

Obowiązkowo trzeba do tego dodać tych wszystkich Polaków (czyli których?) z entuzjazmem odnoszących się do unijnego nacisku w sprawie wyrzeczenia się przez nas prawa do prowadzenia własnej polityki monetarnej – odrzucenia złotego i przyjęcia euro. Czyli wspólnej waluty, której Euroland (a zwłaszcza państwa południa kontynentu) zawdzięcza swe tzw. nieprzerwane pasmo sukcesów gospodarczych.

Nie wspominając, rzecz jasna, o tych nieprzebranych rzeszach rodaków, którzy wprost oszaleli na punkcie poddania nas dyktatowi Brukseli i ostatecznego roztopienia Polski w Europie bez narodów, a także natychmiastowego sprowadzenia do nas kompletu euronowinek: od tzw. małżeństw jednopłciowych do adopcji przez nie dzieci i reszty gender.

Całkiem jak Brytyjczycy – przed referendum w sprawie brexitu? ©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Polacy się bogacą

Wskaźnik wyprzedzający koniunkturę konsumenckiej w lutym 2019 r. odzwierciedla optymistyczną sytuację finansową Polaków. Składowa koniunktury opisująca przewidywaną sytuację finansową gospodarstw domowych osiągnęła najwyższy poziom w historii badań. Nigdy przedtem przewaga oczekujących poprawy swojej sytuacji finansowej nad tymi, którzy oczekują pogorszenia, nie była tak duża. Pomiar odbył się, zanim rząd ogłosił nowy program zwiększenia pomocy socjalnej, czyli m.in. 13. emeryturę i rozszerzenie programu „500+” na pierwsze dziecko. Również bieżący wskaźnik koniunktury pokazuje przewagę optymistów nad pesymistami z odczytem +6. Jeszcze nigdy kondycja finansowa polskich rodzin nie była tak dobra.

Dane koniunktury konsumenckiej są dostępne w GUS od 1997 r. Najgorsze były lata 2002 (-38) i 2003 (-36), a ostatnio lata 2012 (-30) i 2013 (-27). W środku globalnej recesji 2009 r. koniunktura konsumencka w Polsce wynosiła -22. Rekordowo niska koniunktura konsumencka lat 2002–2003 wynikała przede wszystkim z bardzo restrykcyjnej polityki pieniężnej, gdy NBP utrzymywał bardzo wysokie stopy procentowe i doprowadził do ponad 20-procentowego bezrobocia. Ale to, że w latach 2012–2013 Polacy byli większymi pesymistami niż podczas kryzysu finansowego 2009 r., można wiązać m.in. z ówczesną

polityką gospodarczą koalicji PO-PSL. Widać wyraźnie, że prorodzinna polityka obecnego rządu w połączeniu z dobrą koniunkturą gospodarczą przynosi skutki, które przekładają się na wysoką popularność koalicji rządzącej w sondażach.

Rysuje się pewien dysonans wskaźników koniunktury. Nastroje w biznesie się pogarszają, zapowiadając spowolnienie gospodarcze, a Polacy są coraz bardziej optymistycznie nastawieni i oczekują dalszej poprawy swojej sytuacji finansowej. To sugeruje, że spowolnienie mające swoje źródła za granicą będzie łagodzone przez silną konsumpcję w kraju.

Obecna sytuacja jest prawdopodobnie uważnie obserwowana przez strategów gospodarczych partii politycznych. Okazuje się, że prospołeczna polityka i rosnące wydatki socjalne prowadzą do optymizmu Polaków oraz wysokiego poparcia partii rządzącej w sondażach. To oznacza, że w przyszłości, niezależnie od tego, kto będzie rządził, polityka wsparcia polskich rodzin z pewnością będzie kontynuowana na tyle, na ile pozwoli na to koniunktura gospodarcza.

Retoryka małego, taniego państwa odchodzi do lamusa historii. Natomiast pojawia się nowe wyzwanie, czyli utrzymanie wysokiego tempa wzrostu, które pozwoli na sfinansowanie trwale wyższego poziomu wydatków socjalnych. ©

Autor pełni funkcję chief ideator w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

TEST „DO RZECZY”: INTELIGENTNE ŻARÓWKI PHILIPS HUE

Możliwość ustawienia własnej pory zachodu i wschodu słońca, opcja zdalnego zapalania i gaszenia światła, nawet gdy jesteśmy daleko na egzotycznych wakacjach, oraz wbudowane kolorowe świetlne sceny – to największe zalety zestawu inteligentnego oświetlenia od Philipsa.

W zestawie startowym Philips Hue White and Color Ambiance znajdują się: trzy żarówki LED ze standardowym gwintem E27, pilot bezprzewodowego zdalnego sterowania (który montuje się w dowolnym miejscu domu za pomocą wkrętów lub taśmy samoprzylepnej) oraz mostek Wi-Fi, który podłącza się kablem LAN do domowego routera. Dzięki temu ostatniemu elementowi oświetleniem możemy sterować za pomocą aplikacji na iOS i Android. Aplikacja współpracuje z Apple HomeKit oraz Asystentem Google, co pozwala na sterowanie oświetleniem za pomocą prostych komend głosowych.

Instalacja jest więc wyjątkowo prosta i szybka. W darmowej dedykowanej aplikacji można ustawić inne oświetlenie w każdym pomieszczeniu, a nawet inną barwę i moc pojedynczych żarówek. Do wyboru mamy 16 mln kolorów. Za pomocą jednego kliknięcia można więc stworzyć w pokoju romantyczny



nastrój lub wybrać oświetlenie najlepsze do relaksu (ciepłe i delikatne światło) lub koncentracji (chłodne, jasne światło o intensywnym natężeniu). Za pomocą płatnych aplikacji można też zsynchronizować światło z ulubioną muzyką lub oglądanymi filmami.

Wyjątkowo fajnym rozwiązaniem jest opcja budzenia się i zasypiania w bardziej naturalny sposób. Za pomocą darmowej aplikacji można ustawić porę pobudki – wówczas natężenie światła w sypialni będzie się powoli zwiększało, imitując wschód słońca, wybudzając ze snu o wiele delikatniej niż w przypadku hałaśliwych alarmów w smartfonach. Wieczorem ciepłe białe światło może zaś powoli przyspacać, przygotowując organizm do lepszego snu.

Dzięki aplikacji światło można też wyłączyć zdalnie z pracy (jeśli zapomnimy zrobić to przed wyjściem z domu) lub np. włączać je i wyłączać o konkretnych porach, imitując obecność domowników, podczas gdy wszyscy spokojnie bawią się na egzotycznych plażach.

Największą wadą tego gadżetu jest cena. Zestaw startowy z trzema żarówkami kosztuje 739 zł, a z dwoma – 429 zł. Dodatkowe żarówki to koszt ok. 200 zł za sztukę. Do kompletu za 160 zł można też dokupić czujnik, który automatycznie włącza światło po wykryciu ruchu. © ©

Jacek Przybylski

„HOLOGRAFICZNY” ASYSTENT



Wygląda nieźle. Na tyle nieźle, że stawiam dolary przeciw orzechom, iż niejeden kierowca zamiast patrzeć na drogę, będzie wpatrywał się w „holograficznego” asystenta i w efekcie – czego nikomu nie życzę – podpadnie drogowce. Niemniej jednak EyeDrive jest mandatu

wart. Gadżet jest bowiem prawie – a prawie czyni różnicę – holograficznym asystentem kierowcy.

Wyświetlany na przedniej szybie samochodu, sterowany głosem i gestami dłoni obsługuje nawigację, podpowiada najlepsze rozwiązania komunikacyjne, pomaga w obsłudze radia i płyt CD, wreszcie ułatwia odbieranie połączeń telefonicznych. Czy wspominałem już, że obsługuje też tylną kamerę samochodu i doradza przy cofaniu?

Montaż w każdym samochodzie jest prosty – niezbędne kamery są dołączone do zestawu, urządzenie główne rozmiarów niewielkiego pudełka stawiamy na desce rozdzielczej, a „holograficzny” wyświetlacz przyklejamy na szybie auta. Przy czym wyświetlacz jest przezroczysty, więc nic nie przesłania widoku podczas jazdy.

Robi na tyle duże wrażenie, że na Indiego, gdzie producenci zbierali fundusze na uruchomienie produkcji, pula wpłaconych środków przez zamawia-

jących kilkakrotnie przekroczyła potrzebną kwotę jeszcze przed zakończeniem akcji. I teraz najfajniejsze. EyeDrive nie jest drogie – z urządzeniem do obsługi za pomocą gestów kosztuje niecałe 800 zł, w zestawie jeszcze z tylną kamerą – ok. 1,2 tys. zł. Dostawa w marcu.

GRAJ W ZIELONE

Nie wyhodujemy sobie co prawda w domowym zaciszu gotowego tosta z guacamole, ale możemy spróbować przynajmniej uprawiać awokado, niezbędne wszak do sporządzenia tejże pasty, albo chociaż swoje kiszone pomidorki, rzodkiewki i ogóreczki. A to za sprawą OGarden Smart, czyli gadżetu pozwalającego na uprawę w domowym zaciszu ogrodu, a w nim nawet do 90 owoców i warzyw (z 20 rodzajów do wyboru).

OGarden Smart w odpowiednim momencie i w odpowiedniej ilości nawodni sadzonki, a niewielkie, automatyczne diody LED będą symulowały niezbędną dla danej roślinki ilość światła słonecznego. Na plony trzeba czekać ok. 40 dni. Gadżet kosztuje ok. 3 tys. zł, zamawiać można na Kickstarterze (w cenie kilka zestawów nasion). Dostawa w maju. © ©

Wojciech Wybranowski





Roman Ziemian
– współtwórca FuturoCoin,
Christian Horner – szef
zespołu Red Bull Racing,
Stephan Morgenstern
– współtwórca FuturoCoin,
Paulina Woźniak – CEO
FuturoCoin EU

FuturoCoin startuje z Red Bullem w Australii

17 marca w Australii po raz pierwszy w oficjalnym wyścigu Formuły 1 sponsorem jednego z zespołów będzie kryptowaluta. Na początku lutego Roman Ziemian, współtwórca FuturoCoin, podpisał umowę z Red Bull Racing, jednym z najlepszych zespołów świata

Umowa pomiędzy FuturoCoin a zespołem Aston Martin Red Bull Racing to pierwszy przypadek w historii, w którym firma kryptowalutowa sponsoruje Formułę 1. Wieloletnia umowa gwarantuje, że logotyp FuturoCoin pojawi się m.in. na bolidzie, a także kombinezonach kierowców.

Skąd pomysł na sponsoring Formuły 1? – Kryptowaluty i F1 to bardzo do siebie zbliżone światy z podobnymi wartościami. Szybkość, technologia, w jednym i drugim miejscu wybiegamy trochę w przyszłość. Red Bull realizuje projekty, z którymi możemy się utożsamiać, jest otwarty, tak jak świat, w którym my żyjemy.

my. Jest to także nowy rozdział w firmie, bo FTO debiutuje jako sponsor, i to w tak dużym dealu sponsoringowym – mówi Roman Ziemian, współtwórca FuturoCoin.

Pierwsze oficjalne wystąpienie FuturoCoin w Grand Prix F1 będzie miało miejsce 17 marca w GP Australii, wyścigu standardowo inicjującym sezon Formuły 1. Wcześniej jednak można było zauważyć logo firmy podczas testów F1 w Barcelonie. Obrazki te z padoku podawali w mediach społecznościowych dziennikarze motoryzacyjni. Ponadto na oficjalnym profilu Red Bull Racing na Instagramie widać ujęcie bolidu z góry i bardzo wyraźne logo kryptowaluty oraz blisko 450 tys. wyświetleń filmu.

– To dla nas wielka sprawa. Proszę zauważyć, że logotyp FuturoCoin znalazł się na bolidzie Formuły 1, ale to nie wszystko. Nasze logo otoczone jest genialnymi, wielkimi markami. Zaczynając od tego, co widać najbardziej – Astona Martina i Red Bulla. Następnie mamy świetną markę zegarków, którą jest Tag Heuer, nie tylko partner Red Bull Racing, lecz także firma prowadząca oficjalny pomiar czasu i dla F1, i dla wielu innych

organizacji sportowych. Ponadto Puma, IBM, Pirelli, Citrix, Hewlett-Packard czy Siemens to nie są anonimowe firmy i wiem, że nie mogliśmy trafić lepiej. Dla nas to bardzo ważny ruch biznesowy, bo pokazuje, że firma jest stabilna i się rozwija. Dla wszystkich to bardzo duży i ważny krok, zapisaliśmy się na kartach historii – tłumaczy Roman Ziemian.

Dla branży kryptowalutowej był to olbrzymi ruch. Od kilkunastu miesięcy mówiło się bowiem o próbach wejścia kryptowalut w świat Formuły 1, ale żaden z coinów nie zdecydował się na taki ruch.

Logo FuturoCoin na bolidzie Aston Martin Red Bull Racing zwiedzi praktycznie cały świat: odbędzie podróż, od wspomnianej Australii poczynając, przez Bahrajn, kultowy tor Monza we Włoszech, luksusowe Monako aż do Abu Zabi. W sumie FTO odwiedzi aż 21 krajów, pojawi się w niezliczonych transmisjach telewizyjnych i przekazach medialnych.

– Ekwiwalent medialny ze sponsoringu, przy takim zasięgu i zainteresowaniu, jakie ma Formuła 1, może być olbrzymi – na co liczymy – kończy Roman Ziemian.



turze przedsezonowych testów polski kierowca był najsłabszy. Jednak fatalny wynik Kubicy nie był do końca jego winą. Zawalił zespół Williamsa. Nie zdążył przygotować się odpowiednio do testów, podczas których Robert miał dokładnie sprawdzić możliwości i ustawienia bolidu. To się jednak nie udało, a FW42, którym kierowcy Williamsa mają się ścigać w tym sezonie, wciąż jest sporą niewiadomą. – Przed Grand Prix Australii wiem 20 proc. tego, co powinienem – mówił po testach Kubica.

Później Paddy Lowe, dyrektor techniczny Williamsa, przyznał, że zespół nie zabezpieczył wystarczającej liczby części zamiennych, a testy obciążyły samochód na tyle, że Kubica usiadł za kierownicą wyeksploatowanego bolidu.

Trudności zespołu wynikają z opóźnień w pracy nad bolidem. Ekipa Williamsa miała duże opóźnienia w stosunku do konkurencji. Bolidy Williamsa przejechały do początku marca w testach połowę tego co konkurencji. – Pewnych rzeczy nie zmieni się w jedną noc. Jestem świadom tego, że mieliśmy poważne opóźnienia. Efekt był taki, że walczyliśmy z czasem. Jeśli masz problemy z samochodem tydzień przed testami, to normalne jest, że pojawiają się one także w trakcie ich trwania. Lepiej, gdy takie problemy zdarzają się w testach niż w pierwszym wyścigu. Musimy sprawić, aby te ostatnie doświadczenia nas wzmocniły – mówił Robert Kubica.

Jednak to oznacza, że kierowcy Williamsa podczas pierwszych Grand Prix tego sezonu będą uczyli się pojazdu, a mechanicy i konstruktorzy będą pracowali

Nowy rozdział Kubicy



Radosław Wojtas

Minęło ponad osiem lat od ostatniego wyścigu Roberta Kubicy w F1. Czy po wieloletniej przerwie wymuszonej groźnym wypadkiem Kubica ma szanse nawiązać walkę z najlepszymi? Pierwszy sprawdzian 17 marca

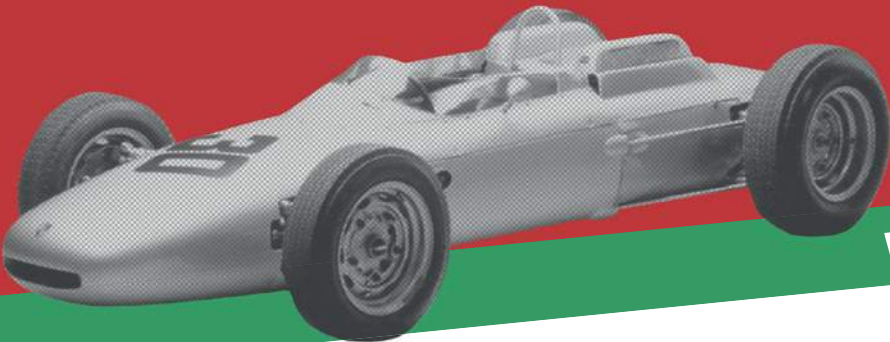
Kiedy Robert Kubica kończył swój ostatni wyścig F1, mógł być z siebie zadowolony. 14 listopada 2010 r. w Grand Prix Abu Zabi startował z 11. pola, ale z okrążenia na okrążenie piął się w górę. W pewnym momencie zajmował drugą pozycję, ale po drugim pit stopie na 46. okrążeniu spadł na piątą lokatę i z takim wynikiem dojechał do mety. Sezon ukończył na ósmym miejscu, tuż przed legendar-

nym Michaeliem Schumacherem. Kubica jeździł wówczas dla Renault i nie był to wtedy zespół marzeń najbardziej ambitnych kierowców F1.

GOTOWOŚĆ – 20 PROCENT

17 marca 2019 r. po godz. 6 rano polskiego czasu Robert Kubica wystartuje w Grand Prix Australii. Tym razem w teamie Williamsa. Nastroje przed Melbourne nie są najlepsze. W drugiej

REKLAMA



POLSKIE ZAKŁADY BUKMACHERSKIE

PZBUK

www.pzbuk.pl

Cherry Online Polska sp. z o.o. posiada zezwolenie nr PS4.6831.26.2017 wydane przez Ministra Finansów. Hazard wiąże się z ryzykiem. Udział w nielegalnych grach hazardowych jest przestępstwem.

Powyższa treść przeznaczona jest wyłącznie dla osób, które ukończyły 18 rok życia.



na żywym organizmie, modyfikując bolid z wyścigu na wyścig. Nikt nie ma złudzeń, że FW42 jest w tej chwili najwolniejszym bolidem w całej stawce i w Melbourne Williams raczej będzie walczył o to, by nie wypaść najgorzej, niż o miejsce blisko podium. Tym bardziej że jeszcze w trakcie testów z początku marca w Barcelonie FIA (światowa organizacja zrzeszająca narodowe federacje sportów motorowych) nakazała Williamsowi wprowadzenie zmian w bolidzie. Eksperti federacji uznali, że kształt lusterek FW42 stanowi niezgodę z przepisami wsparcie aerodynamiki pojazdu. Williams został również zobowiązany do dokonania zmian w przednim zawieszaniu. Ze wszystkim musi zdążyć do Melbourne.

Suchej nitki na zespole Williamsa za stan przygotowań do sezonu nie zostawia Laurence Edmondson ze sportowej telewizji ESPN. – Ich samochód nie rozpadł się na torze, nie napotkali też kolejnych opóźnień w składaniu maszyny w drugim tygodniu. Tyle że to jedyne plusy tej zimy w Williamsie – ocenił dziennikarz. I stwierdził, że przed Robertem Kubicą i jego kibicami bardzo trudny czas. – Tak jak dobra jest historia jego powrotu, tak trudno sobie

wyobrazić, jak frustrujący może być jej kolejny rozdział – stwierdził.

Mimo kłopotów z bolidem i spowodowanych przez nie opóźnień Robert Kubica nie przekreśla FW42. – Tak naprawdę w tym samochodzie może tkwić potencjał. Jednak opóźnienia w jego budowie miały mocny wpływ na nasz program testowy. Pierwszą rzeczą, jaką musimy zrobić w Australii, to upewnić się, że samochód jest w jednym kawałku, taki, jaki być powinien – mówił.

TRUDNY POWRÓT

Już i bez tych kłopotów Williamsa powrót Roberta Kubicy do F1 nie byłby prosty. Po wypadku w trakcie Rajdu Ronde di Andora we Włoszech 6 lutego 2011 r. kibice wzywali: „Kubica, torna aviat” („Kubica, wracaj szybko”), ale tak naprawdę o powrocie Polaka na tor mało kto wtedy marzył. Jego stan był bardzo poważny. Robert był bliski utracenia zmiażdżonej i skrupulatnie składanej przez lekarzy kostki do kostki ręki. Kubica jednak twierdzi, że mu to nie przeszkadza. – Jeśli coś się wydarzy na torze, to od razu uwaga zostanie zwrócona w kierunku moich ograniczeń. Żyję z tą świadomością od ośmiu lat. Czasem trzeba jednak wyjechać poza tor, aby zobaczyć,

jakie są limity. Będę naciskał. Jestem realistą, który porusza się krok po kroku. Takie podejście jest uczciwe. Nie zamierzam się ukrywać za swoimi ograniczeniami. Nic nie zyskuję przez to, że je mam lub o nich rozmawiam – mówił niedawno.

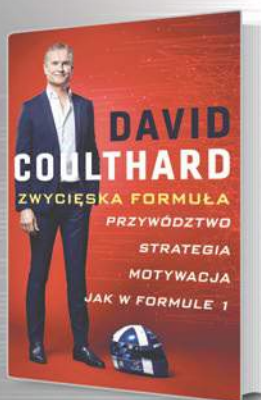
Samozaparcie i ciężka praca to w tej branży za mało. Potrzebne były też ogromne pieniądze, które za Polakiem musiały popłynąć do Williamsa. Wyłożył je Orlen i to strumień 100 mln zł, który w dwa lata wypłynę z tej państwowej spółki do Williamsa, przesądził o powrocie Kubicy do F1.

Po ośmiu latach trzymania kciuków za zdrowie i rehabilitację Roberta, po wielu spekulacjach o możliwym powrocie kibice są głodni sukcesu. Jednak nie mogą zapominać, że to sport, w którym kierowca jest małym trybem w skomplikowanym mechanizmie. A Kubica nie trafił do najlepszych. Różnice między poszczególnymi zespołami w klasyfikacji konstruktorów są kolosalne. Na koniec ubiegłego sezonu pierwszy w zestawieniu Mercedes (dominujący zresztą w F1 od 2014 r.) wyprzedził drugie w zestawieniu Ferrari o 84 punkty. Sklasyfikowany na 10. miejscu Williams zdobył w całym sezonie punktów... siedem.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ZWYCIĘSKA FORMUŁA



Sport inspiruje i łączy ludzi, ale jest też biznesem.

Znakomity kierowca – triumfator, komentator i przedsiębiorca, David Coulthard, wprowadza w tajemny świat Formuły 1. Prezentuje ją od kuchni, jednocześnie zdradzając nam tajniki wielkich interesów, ponieważ się na biznesie dobrze zna. Jest bowiem współzałożycielem dwóch znakomicie prosperujących spółek: agencji reklamowej Velocity Experience i firmy producenckiej Whisper Films.

Cena: 54.90 PLN
Liczba stron: 256
Oprawa: twarda z obwolutą

INDUSTRY 4.0



Sztuczna inteligencja, nanotechnologia, druk 3D, big data etc. zmieniają kompletnie nas i nasze życie.

Profesor Klaus Schwab, założyciel i prezes Światowego Forum Ekonomicznego uważa, że chociaż czwarta rewolucja przemysłowa pod względem skali, zakresu i złożoności jest odmienna od wszystkiego z czym mieliśmy do czynienia, to ciągle jeszcze mamy szansę wpływać na jej przebieg. Stawia więc pytanie: czy 4 rewolucja okaże się początkiem nowego „złotego wieku” rozwoju cywilizacji, czy początkiem końca ludzkości, jaką znamy.

Cena: 44.90 PLN
Liczba stron: 216
Oprawa: twarda z obwolutą

studioemka.com.pl

facebook.com/StudioEMKA

WYDAWNICTWO
Studio Emka



Z dr. n. med. Pawłem Klonowskim,
okulistą
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Obecnie w Polsce wykonuje się rocznie ok. 320 tys. operacji zaćmy. Od kwietnia 2019 r. będą to operacje wykonywane bezlimitowo, to znaczy szpitale dostaną zapłatę za wszystkie wykonane operacje, niezależnie od wysokości kontraktu z NFZ FOT. ADOBE STOCK

Nie przez zamazaną szybę

KATARZYNA PINKOSZ: Według WHO zaćma jest główną przyczyną upośledzenia wzroku na świecie. W USA szacuje się, że ma ją ok. 40 proc. mężczyzn i 45 proc. kobiet po 74. roku życia. Wszyscy jesteśmy na nią narażeni, każdego czeka?

PAWEŁ KLONOWSKI: Zaćma powstaje w wyniku naturalnego procesu starzenia się soczewki. Każda soczewka stopniowo twardnieje, zmniejsza swoją przejrzystość. Powstają okoliczne zmętnienia, które doprowadzają do rozwoju zaćmy, a w konsekwencji do spadku ostrości widzenia.

Kiedy należy przeprowadzić operację? Dawniej uważało się, że zaćma musi dojrzeć. Kiedy operacja jest konieczna?

Doprowadzenie do sytuacji, żeby człowiek widział jak przez zamazaną szybę, nie jest dobrym wyjściem. 30–40 lat temu, kiedy operowano przy użyciu dużego cięcia rogówkowego, było lepiej, gdy zaćma stwardniała. Jednak technologia idzie do przodu, dziś operujemy zaćmę przez cięcie rogówkowe niewiele większe niż 2 mm. Przez nie usuwamy soczewkę i wkładamy sztuczną, która rozwija się w oku. Łatwiej usunąć soczewkę, która nie jest twarda, to mniej-

sze ryzyko komplikacji śródoperacyjnych i pooperacyjnych. Im bardziej miękka soczewka, tym łatwiej usuwa się zaćmę. A kiedy ją usuwać? Gdy pacjent odczuwa dolegliwości związane z ostrością widzenia, ma problemy podczas jazdy samochodem, trudno mu zauważyć kontrasty.

To bardzo subiektywne kryteria.

Tak, ponieważ nie da się określić dokładnej granicy, kiedy można usuwać zaćmę, a kiedy jest na to za wcześnie. Próbuje się tworzyć pewne normy, ale są one względne, np. u grafika komputerowego najmniejsze zmętnienia i spadek odczuwania kontrastów mogą powodować bardzo duże trudności w pracy. Innym osobom aż tak bardzo to nie dokwiera. Wszystko zależy od wykonywanego zawodu, codziennych przyzwyczajeń.

To łatwy zabieg. Czy łączy się z ryzykiem powikłań?

Trudne pytanie. Lekarz okulista musi się kształcić 10–15 lat w chirurgii zaćmy, aby osiągnąć światowy poziom chirurgiczny. Media przyzwyczyły nas do tego, że medycyna jest prosta, a operacja musi

zakończyć się sukcesem. Każdy zabieg operacyjny na oku wiąże się z ryzykiem powikłań i teoretycznie może wręcz prowadzić do utraty widzenia.

Modne wciąż są wyjazdy za granicę, np. do Czech, aby przejść zabieg, bo jest szybko i komfortowo. To dobry pomysł?

Moim zdaniem nie. Operacja to jedna kwestia, natomiast równie ważny jest okres rehabilitacyjny, kiedy mogą wystąpić komplikacje pooperacyjne. Konieczne jest stosowanie kropli, które mają zmniejszyć ryzyko powikłań związanych z zapaleniem bakteryjnym, odczynem zapalnym pooperacyjnym oraz ryzykiem zmian, które mogą dotyczyć nie tylko soczewki, lecz także innych części oka. Może dojść do odwarstwienia siatkówki, procesu włóknienia torebki soczewki. Sama operacja jest tylko częścią procesu leczenia zaćmy.

Czyli absolutnie nie można traktować usunięcia zaćmy jako prostego i łatwego zabiegu?

Na świecie wykonuje się rocznie kilka milionów operacji zaćmy, to najczęściej wykonywany zabieg. Jednak z punktu widzenia chirurga nie jest prosty. Są

zabiegi dobrze wykonane, ale mogą być też powikłane z powodu innych chorób oka, które zakończą się komplikacjami. Taki pacjent wymaga szczególnej opieki pooperacyjnej.

Zwykle najpierw operuje się jedno oko, potem drugie. Ma znaczenie czas między jedną operacją a drugą?

Jeśli zaćma jest rozpoznana na dwóch oczach, to przerwa między operacjami nie powinna być krótsza niż tydzień, dwa tygodnie, gdyż najbardziej obawiamy się zapaleń bakteryjnych tuż po operacji. Pierwsze dwa tygodnie są najważniejsze, by stwierdzić, czy wszystko jest dobrze. Jeśli tak, to możemy przystąpić do operacji drugiego oka. U pacjentów z bardzo dużą krótkowzrocznością czy nadwzrocznością może pojawić się bardzo duży dyskomfort w widzeniu, gdyż jedno oko po operacji widzi znacznie lepiej niż drugie. W związku z tym pacjent nie ma widzenia obuocznego. Konieczna jest szybka operacja drugiego oka, by odzyskać pełny komfort widzenia, widzieć przestrzennie, stereoskopowo. Dlatego jeśli zaćma jest obuoczną, to powinna zostać zoperowana w jednym i drugim oku.

Czy ma znaczenie, jaką soczewkę wszczepiamy?

Tak. Postęp w dziedzinie wszczepów gałkowych w ostatnich 10–15 latach jest ogromny. Mamy możliwość wszczepiania soczewek jednoogniskowych, które zapewniają dobre widzenie do dali. Wtedy jednak nie będziemy dobrze widzieć bez okularów na bliskie czy średnie odległości.

Czyli po operacji trzeba będzie zawsze nosić okulary do blizy?

Tak, do czytania, pracy przy komputerze. Jeśli pacjent ma astygmatyzm, to można wszczepić soczewki jednoogniskowe toryczne, które go korygują. Dzięki temu pacjent przynajmniej do dali nie będzie musiał nosić okularów.

Mamy również możliwość wszczepiania soczewek wieloogniskowych, dzięki temu po operacji można widzieć dobrze zarówno blisko, jak i daleko, prawie tak jak w wieku 20–30 lat. To na pewno najbardziej zaawansowany technicznie wszczep, dający możliwość bezkorekcyjnego widzenia w okresie pooperacyjnym. Są bardzo różne rodzaje soczewek wieloogniskowych. Mają dać pacjentowi komfort dobrego widzenia do dali, blizy

i dystansów pośrednich, bez korekcji okularowej w okresie pooperacyjnym.

U każdego pacjenta można zastosować takie soczewki?

Nie, soczewki wieloogniskowe mogą zwiększać aberrację oka, pacjent może mieć pewne fenomeny optyczne w widzeniu nocnym, np. jasne obwódki wokół źródeł światła. Może to pogarszać komfort widzenia, dlatego kierowcy, którzy często jeżdżą w długie trasy nocą, nie powinni mieć takich soczewek. Pacjent, który decyduje się na soczewkę wieloogniskową, powinien mieć dokładnie zbadaną rogówkę i siatkówkę, czy nie ma dodatkowych schorzeń, które mogą dyskwalifikować stosowanie takiej soczewki. Osoby z chorobami siatkówki, zaawansowanymi zmianami cukrzycowymi, AMD raczej nie powinny mieć wszczepionych takich soczewek, gdyż może to spowodować pogorszenie komfortu widzenia.

Podczas operacji przeprowadzanych w ramach NFZ pacjent może mieć wszczepioną soczewkę jednoogniskową lub toryczną (jeśli astygmatyzm jest równy dwóm dioptriom lub większy)

A soczewki toryczne? Każdy pacjent z astygmatyzmem może je mieć?

Nie ma przeciwwskazań, ale wręcz przeciwnie – zastosowanie takiej soczewki tylko ułatwi i poprawi komfort widzenia.

W ramach operacji wykonywanej „na NFZ” można skorzystać ze wszystkich rodzajów soczewek?

Nie. W ramach NFZ dostępne są soczewki jednoogniskowe, a od niedawna także soczewki toryczne. To bardzo dobrze, że są one refundowane. Szkoda, że tylko wtedy, gdy astygmatyzm jest równy dwóm dioptriom lub większy. Moim zdaniem każdy pacjent z astygmatyzmem ma potrzebę korekcji za pomocą soczewek torycznych. Problemem jest też to, że dopłata NFZ do zabiegu z wszczepieniem soczewki torycznej nie jest w pełni satysfakcjonująca – np. nie

pokrywa w pełni kosztu dodatkowej pracy personelu medycznego (operatora i optometrysty).

Są soczewki lepsze i gorsze? Jakież parametry, które o tym świadczą?

Wszystkie soczewki używane do operacji są dopuszczone na terenie UE. Niestety, normy dopuszczające na rynek powstały ponad 20 lat temu. Nie nadążają za technologią. Jakość soczewek może ocenić lekarz, który ma duże doświadczenie we wszczepianiu soczewek – warto udać się do niego na wizytę. Soczewki wieloogniskowe powinny być dostosowane do trybu życia pacjenta. Inną soczewkę wszczepia się osobie, która np. dużo jeździ samochodem, inną tej, który czyta dużo książek, pracuje przed komputerem czy np. w ogrodzie. Każde wszczepienie soczewki wieloogniskowej powinno być poprzedzone analizą stylu i jakości życia.

Jeśli natomiast chodzi o soczewki jednoogniskowe i toryczne, to są dość bezpieczne do wszczepiania.

Już od kilku lat mówi się o możliwości dopłacania przy operacjach w ramach NFZ do soczewek wieloogniskowych.

Na razie nie ma możliwości takich dopłat w placówkach publicznych ani prywatnych.

To prawda, że niektóre szpitale kupują soczewki lepsze, inne gorsze, kierując się niższą ceną?

Niestety, jakość soczewek rzeczywistość może być różna. To problem przepisów, które pozwalają na obrót soczewkami różnej jakości. Jak mówiłem, przepisy są sprzed lat, z czasów, kiedy technologie produkcyjne były różne od tych, którymi dysponujemy dziś. Jednym z problemów jest tzw. rozrzut dioptrażu – czyli to, jak korekcja, jaką dają soczewki, różni się od deklaracji na opakowaniu. Soczewki nowocześnie produkowane mają ten rozrzut ograniczony – najwyżej pół dioptrii; starsze soczewki – nawet ponad jedną dioptrię. Przez to jakość widzenia będzie się potem u pacjentów różnić. Dlatego z niecierpliwością czekamy na nowe przepisy dotyczące obrotu soczewkami na terenie UE.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



dr n. med. Paweł Klonowski
– okulista, Wojewódzki Szpital im. św. Ojca Pio w Przemyślu, NZOZ Eyemed w Lublinie.



JACEK KOMUDA

GRZECZY PIASTÓW

Reakcja niepogańska?

Mieszko II Lambert był jednym z najtragiczniejszych władców Polski. Nie tylko stracił zdobycze ojca, lecz także został kolejno: wygnany przez starszego brata – Bezpryma, okaleczony przez Udalryka, księcia Czech, wreszcie pozbawiony korony i wpływów. W trakcie jego panowania lub tuż po śmierci wybuchł bunt, który często nazywany jest reakcją pogańską. Dzisiejsi neopoganie uważają, że było to świadectwo siły i znaczenia religii słowiańskiej, zniszczonej potem przez Kościół katolicki, który zaciekle zacierał wszelkie ślady starych bogów. Zapominają jednak, że żadne odkrycia archeologiczne nie wskazują, iż dawne wierzenia dorównywały choćby w drobnej części sile i znaczeniu liturgii Kościoła.

Teza o buncie mas ludowych przeciwko nowej wierze wpisywała się doskonale w antykościelną retorykę komunistów; historycy zaś wątpili w nią już w latach 60., widząc w powstaniu przede wszystkim rewolucję ekonomiczną. Królestwo utrzymujące za Bolesława Chrobrego liczne rzesze wojowników i rycerzy żyjących z łupów upadło od ucisku feudalnego, pod ciężarem danin i powinności nakładanych na ludność, która zbuntowała się nie przeciwko wierze, ale feudalnemu porządkowi, którego część stanowił jednak Kościół katolicki.

Już Tadeusz Grudziński uważał, że była to rewolucja przeciwko królowi, jego urzędnikom, księżom i wczesnemu rycerstwu. Wolni, niezależni gospodarze i wojownicy, niewolnicy, pod których mianem należy rozumieć ludzi przypominających chłopów pańszczyźnianych, a także służebni, zwrócili się przeciwko administracji królewskiej, kiedy zabrakło łupów, bo zamiast zwycięstw państwo ponosiło same klęski. Powstanie, które wybuchło w Wielkopolsce, sprawiło, że król



FOT. WIKIPEDIA

musiał uchodzić, władzę przejął Bezprym, po jego śmierci zaś Polska podzieliła się na dzielnice. Henryk Łowmiański uważał jednak, że wystąpienia ludowe nie zawładnęły grodami i strażnicami – w Gieczu i Gnieźnie pozostały załogi wojskowe, które skutecznie broniły się przed buntownikami. Dopiero najazd Brzetysława w 1037 r., który spadł na kraj ogarnięty buntem, spowodował zniszczenie ośrodków władzy i kościołów. Spośród kronikarzy polskich jedynie Gall Anonim opisuje uciemienie wiary chrześcijańskiej, podając: „Niewolnicy powstałi na panów, wolni przeciw szlachetnie urodzonym, sami się do rządu wynosząc i jednych z nich na odwrót zatrzymali u siebie w niewoli, drugich pozabijali, a żony ich pobrali sobie w sprośny sposób i zbrodniczo rozdrapali dostojęstwa. Nadto jeszcze porzucając wiarę katolicką – czego nie możemy wypowiedzieć bez płaczu i lamentu – podnieśli bunt przeciw biskupom i kapłanom Bożym i niektórych z nich, jakoby w zaszczytniejszy sposób mieczem zgładzili, a innych jakoby rzekomo godniejszych lichej śmierci – ukamienowali”.

Najciekawszą i chyba najprawdowszą wersję wydarzeń

opisuje Gerard Labuda w biografii Mieszka II, porównując kronikę Galla Anonima ze źródłami obcymi, takimi jak „Żywot Mojżesza Węgrzyna”, kroniką Kosmasa i innymi. Przesuwa on powstanie ludowe na lata 1031–1032, a więc w czasy panowania Mieszka II, a nie jego syna. Co więcej, uważa, że na czele buntu stanął właśnie Bezprym, wykorzystując reakcję pogańską do zdobycia władzy. Jednak Labuda także przychyliła się do zdania, że na początku powstanie miało przyczyny czysto ekonomiczne. Dopiero później przekształciło się w bunt pogański. Kłopot jednak w tym, że Bezprym przed rokiem 1000 został osadzony jako mnich w klasztorze koło Rawenny we Włoszech. Czy zatem był zakonnik, człowiek jak na XI w. gruntownie wykształcony, bo pewnie umiejący pisać i czytać, stanąłby na czele buntu przeciwko Kościołowi? Labuda przechodzi nad tym do porządku dziennego, pisząc, że apostazje takie w ówczesnych czasach się zdarzały. Sęk w tym, że Bezprym powinien zdawać sobie sprawę jak nikt, iż bez hierarchii kościelnej nie zbuduje solidnych podstaw swej władzy. Być może zresztą właśnie zabity został przez swoich z powodu surowych rządów.

Moim zdaniem wytłumaczenie powrotu do pogaństwa znacznej części ludu jest prostsze. Kiedy wybuchł bunt przeciwko władzy Mieszka, zabito lub wypędzono z Wielkopolski i Kujaw licznych księży jako urzędników królewskich, a potem hierarchię katolicką zniszczył najazd Brzetysława. W tych warunkach po prostu nie miał kto podtrzymywać wiary chrześcijańskiej. Ponieważ zaś człowiek XI w. w coś wierzyć musiał, a łaciny i liturgii nie znał – najprostszy był dla niego powrót do wiary pradziadów, do ofiar, świętych miejsc i idoli starych bogów, do czasu odrodzenia struktur Kościoła katolickiego. ©

Liczba wegetarian i wegan w świecie stale rośnie. Dietę bezmięsną zalecają lekarze, organizacje zdrowotne, nawet rządy. Działania są owocne: jak podaje firma GlobalData przez ostatnie trzy lata liczba wegan w USA wzrosła sześciokrotnie, w Wielkiej Brytanii o 350 proc. W Chinach rząd ma ambicje zmniejszyć konsumpcję mięsa o 50 proc. W całej Azji zachęca się do fleksitarianizmu, diety, która składa się w przeważającej części z warzyw i owoców. W Polsce już 10 proc. młodych ludzi deklaruje się jako wegetarianie lub wegan, a dodatkowo 25–34 proc. mówi o tym, że spożywają obecnie więcej produktów wegetariańskich



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Wege
podważone

Do pociągu promującego weganizm wskoczyli także producenci żywności przetworzonej. Unilever, który w Europie sprzedaje ponad 700 produktów ze znakiem „V” (wegańskich), kupił właśnie The Vegetarian Butcher, producenta warzywnych substytutów mięsa, holenderską firmę założoną przez adwokatystę dnia siódmego oraz dwóch rolników. Inwestycje

rozpowszechnienia jedzenia zdrowszego i o mniej szkodliwym wpływie na środowisko”.

Także organizacja EAT przedstawiająca się jako „oparta na naukowych podstawach” ma za cel zmianę nawyków żywieniowych na całym świecie. Jej partnerami są uniwersytety Harvard i Oxford oraz poważne czasopismo naukowe „Lancet”.

Wątpliwości co do sensu powyższych działań wyrażają Martin Cohen, naukowiec z University of Hertfordshire, oraz Frederic Leroy, profesor biotechnologii uniwersytetu Vrije w Brukseli w artykule w brytyjskim dzienniku „Independent”. „Znamy złe skutki przemysłowej hodowli bydła i trzody. Jednak dłaczego nie mówi się o wartościach odżywczych produktów zwierzęcych, szczególnie na

wiejskich terenach Afryki? Mówi się, że dieta wegetariańska obniża zły cholesterol, zapominając, że obniża także poziom dobrego”.

Nie jest to takie proste – piszą uczeni. Dieta oparta na roślinach jest dobra dopóty, dopóki się ją suplementuje. Jeżeli organizmowi dostarcza się za mało witaminy B12, to może skutkować to problemami zdrowotnymi, szczególnie u kobiet w ciąży i dzieci.

Podobnie jest ze sprawą oddziaływania na środowisko. Zbyt szybkie i radykalne przejście na dietę roślinną pociąga za sobą ryzyko utraty realistycznych i osiągalnych celów, takich jak naturalne wypasanie bydła, poprawa jakości pasz, unikanie przekarmiania bydła.

Nie wpadajmy z jednej skrajności w drugą: zrównoważona, ekologiczna i harmonijna hodowla może rozwiązać problem żywnościowy planety. Ziemia to złożony ekosystem. Jednowymiarowe rozwiązania tylko jej szkodzą. ©©



FOT. ANDRZEJ STOK

ANDRZEJ RYBIŃSKI I COŚ DLA LUDZI O MOCNYCH... WĄTROBACH

Nie ma co owijać w bawełnę – to przepis jedynie dla ludzi zdrowych. A szczególnie dla tych, którzy mają zdrową wątrobę, a przy tym nie liczą kalorii. Warto pomyśleć też o poprawie trawienia. W międzyczasie więc, gdy mięso czeka w lodówce, schodzę do piwniczki i wybieram coś na lepsze trawienie. Myślę, że wytrawna nalewka z orzechów włoskich będzie najlepsza. Oczywiście, jeśli nie przesadzimy z ilością, ale... każdemu według potrzeb.

Składniki:

- 2 kg karkówki • suszona papryka piri-
-piri • czosnek • słodka papryka
- pieprz • sól

Przygotowanie:

Karkówkę nasmarować olejem, oprószyć słodką papryką, solą i pieprzem, naszpikować suszoną papryczką piri-
-piri i ośmioma ząbkami czosnku roztartymi z solą. Następnie włożyć do naczynia żaroodpornego z przykrywką i odstawić do lodówki na dwie doby. Piec w temperaturze 180 st. C przez 1 godz. i 10 minut na każdy kilogram mięsa.

Po wyjściu z pieca odstawić na ok. 0,5 godz. Podawać „obiadowo” z ziemniakami lub na zimno z sosem tatarskim. Smacznego!

Andrzej Rybiński jest wokalistą, gitarzystą i kompozytorem.



FOT. ARTUR ZAWADZKI/REPORTER

NAJDROŻSZY SAMOCHÓD ŚWIATA

Bugatti La Voiture Noire to nowoczesne auto inspirowane zbudowanym jeszcze przed wojną Bugatti Type 57 SC Atlantic, który należał niegdyś do Jeana Bugattiego, syna założyciela marki.

Auto w nowej odsłonie ma aż poczwórnie doładowany ośmiolitrowy silnik W16 o mocy 1500 KM i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym aż 1600 Nm, a do tego aż sześć końcówek układu wydechowego.

Cena netto – 11 mln euro, czyli 47,3 mln zł – po doliczeniu wszystkich podatków wzrosła niemal dwukrotnie do ponad 70 mln zł. Nawet najbogatsi czytelnicy „Do Rzeczy” nie muszą jednak w pośpiechu zrywać lokat. Bugatti wyprodukowało tylko jeden egzemplarz tego modelu i został on już sprzedany.



MERCEDES DLA KOLEKCJONERÓW

W imię ekologii konstruktorzy nawet najpiękniejszych limuzyn rezygnują z najmocniejszych jednostek silnikowych. Podczas salonu w Genewie zaprezentowano więc ostatni model Mercedesa, który pod maską ma 12-cylindrowy silnik. Mercedes-AMG S 65 Final Edition – dostępny wyłącznie w czarnym kolorze – sprzedawany jest w ramach limitowanej edycji, liczącej zaledwie 130 egzemplarzy. Czarne są również końcówki wydechu.

Auto z sześciolitrowym silnikiem V12 z podwójnym turbodoładowaniem oferuje kierowcy moc 630 KM i maksymalny moment obrotowy



wynoszący 1000 Nm. Samochody z limitowanej edycji są także wyposażone w panoramiczny dach Magic Sky Control, podgrzewane podłokietniki oraz specjalny pakiet kierowcy, umożliwiający zwiększenie maksymalnej prędkości do 300 km/godz. Od zera do pierwszej setki limuzyna przyspiesza zaś w zaledwie 4,2 s.

VOLVO OGRANICZY PRĘDKOŚĆ

Zero. Do takiego poziomu ma spaść liczba ofiar śmiertelnych w autach Volvo już do 2020 r. Aby osiągnąć ten cel, szefowie znanej z dbałości o bezpieczeństwo szwedzkiej marki zdecydowali, że nowe samochody Volvo będą mogły jechać nie szybciej niż 180 km/godz. Elektroniczna blokada ma być niemożliwa do zlikwidowania.

ELEKTRYCZNA HONDA

Do 2025 r. wszystkie nowe samochody Hondy w Europie będą miały napęd elektryczny lub hybrydowy – ogłosili szefowie japońskiej marki. Na salonie w Genewie Honda pokazała zaś model e Prototype, czyli nowe elektryczne miejskie auto, które ma wkrótce trafić do seryjnej produkcji.

Napęd to niejedyna nowinka. W Hondzie e Prototype zamiast lusterek bocznych zamontowano kamery. Maksymalny zasięg auta wynosi 200 km. Sprzedaż ma się rozpocząć na przełomie obecnego i przyszłego roku.



SAMOCHÓD ROKU 2019

Elektryczny SUV Jaguar I-Pace – z silnikami o łącznej mocy 400 km i maksymalnym zasięgu wynoszącym 475 km – rzutem na taśmę wygrał tegoroczną walkę o tytuł „Car of the Year”. Na drugim miejscu znalazł się lekki sportowy model Alpine A110. Po raz pierwszy w historii konkursu zwycięzcę wyłoniono jednak dopiero po dogrywce. Trzecie miejsce w rankingu zajęła Kia ProCeed, czwarte Ford Focus, a piątą Citroën C5 Aircross. W pierwszej siódemce znalazły się również Peugeot 508 oraz Mercedes Klasy A. W ostatnich latach tytuł Samochodu Roku zdobyły: Volvo XC40, Peugeot 3008, Opel Astra i Volkswagen Passat. ©

Jacek Przybylski

*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości,
ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości
ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



STRAŻNIK PAMIĘCI

2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER
STRATEGICZNY



PARTNERZY





JOANNA SIEDLECKA

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Tu stacja Stalinogród

5 marca 1953 r., gdy – jak pisała wtedy cała prasa – przestało bić serce Wodza Postępowej Ludzkości, był w PRL jednym jedynym dniem, gdy w całym kraju zabrakło wódki. Polacy cieszyli się i czekali na wolność.

Ale już nazajutrz po śmierci Generalissimusa rządząca Polską trójca – Bierut, Berman, Minc – uczciła jego zgon decyzją o zmianie nazwy górniczych Katowic na Stalinogród. Miała to być jednak inicjatywa oddolna katowickiej społeczności, jej prośbę o zmianę nazwy miasta miał wygłosić w sejmie śląski poseł i pisarz Wilhelm Szewczyk, ale wymigał się od tego, upijając się do nieprzytomności. Padło wobec tego na innego posła,

ziony z Moskwy kolorowy telewizor. Zgodził się więc i blady jak trup, wypchnięty na mównicę, drętym głosem odczytał z kartki prośbę osieroconego ludu śląskiego.

Gorzko tego pożałował, bo choć był tylko aktorem tego przedstawienia, został kozłem ofiarnym, ojcem założycielem Stalinogrodu. Pod jego wilłą podrzucano śmieci, zdechłe koty, rysowano i przewracano jego wóz. Dopadł go ostracyzm. Przez dwa lata nie był w stanie pisać. Z dnia na dzień, w trybie ekspresowym Katowice zniknęły bowiem z mapy, stały się Stalinogrodem. Zmieniono szyldy, nazwy, pieczętki, drogowskazy. Na dworcach sprzedawano bilety do Stalinogrodu, zdumieni pasażerowie myśleli, że wywieziono ich do Związku Sowieckiego, gdy megafony obwieszczały: „Tu stacja Stalinogród!”. Nazwę zmieniła nawet katowicka diecezja, która nazywała się teraz stalinogrodzka, a budowana od przedwojnia wielka katowicka katedra została zmniejszona o połowę, nie mogła bowiem górować nad miastem o nazwie Stalinogród.

Zaprotestowały jedynie trzy katowickie licealistki: Natalka Piekarska, Basia Galas i Zosia Klimonda. Na dziecięcej drukarence na kartkach ze szkolnych zeszytów produkowały ulotki z napisem: „Precz ze Stalinogrodem!”, rozrzucały je po mieście. Zostały szybko schwytane, aresztowane, bite podczas śledztwa. Ubecy nie mogli uwierzyć, że to dzieło trzech nastolatek, szukali wielkiego spisku, organizacji, która je do tego namówiła. Już w czerwcu 1953 r. stanęły przed sądem, a ich matki mdlały, gdy ogłoszono drakońskie wyroki – Basia, która w areszcie skończyła 17 lat, dostała cztery lata więzienia, dwie 16-latki – bezterminowy pobyt w zakładzie poprawczym. Oprócz nich nie protestował nikt – w Katowicach panował

wielki strach. Trwały aresztowania Ślązaków za podpisaną w czasie okupacji volkslistę albo tylko za podejrzenie o kontakty z Niemcami – wystarczył donos sąsiada, który chciał zająć czyjś dom. Aresztowanych osadzano w obozach pracy w Mysłowicach i Świętochłowicach, wysyłano do górniczych batalionów. Milczał też spacyfikowany, naszpikowany księżmi patriotami katowicki kościół.

Jan Nowak-Jeziorański, dyrektor Radia Wolna Europa, w swojej książce „Wojna w eterze” wspominał, że zaprosił wtedy do radia ks. Adama Kocura, przedwojennego burmistrza Katowic, w czasie wojny wyświęconego na księdza, który dosadną śląską gwarą pocieszał mieszkańców zgwałconego miasta. „Byli przecież tacy – mówił – którzy podczas okupacji zamienili nam Zabrze na Hindenburg. No i co? Mamy dziś z powrotem Zabrze. A te drugie gizdy, które przemianowały nam Katowice, też pójdą precz!”.

Audycja poszła jednak dopiero po Październiku '56 i w marcu 1957 r. przywrócono Katowicom nazwę. Mimo to Morcinka dręczyły wyrzuty sumienia. Gustaw Herling-Grudziński spotkał się z nim wtedy w Wiedniu. „Był człowiekiem złamanym – wspominał w »Dzienniku pisany nocą«. – Zamęczał mnie prośbami o spisanie okoliczności tego wymuszono na nim wniosku poselskiego, w imię »przekazania prawdy przyszłym pokoleniom«”.

Nadal też wielu mieszkańców Katowic miało w papierach Stalinogród jako miejsce urodzenia, m.in. reżyser Lech Majewski, który w latach 80. starał się o amerykańskie obywatelstwo. I nie tylko go nie dostał, lecz także oskarżono go o przestępstwo – składanie fałszywych zeznań, bo – jak sprawdzono – w Polsce nie ma miasta o takiej nazwie. Potrzebował wiele czasu, dokumentów, interwencji polskiej ambasady, zanim to odkręcił. ©

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE



najbardziej znanego śląskiego pisarza – Gustawa Morcinka, tego od szkolnej lektury „Łysek z pokładu Idy”, przeszło 60-letniego, schorowanego – po sześciu latach obozu koncentracyjnego w Dachau miękkiego i bojaźliwego. Jak mówił, urodził się w biedzie, pod hałdą, i bał się, że w wyniku odmowy przestaną go wydawać – a pisanie było dla niego najważniejsze – że straci swą uprzywilejowaną pozycję pisarza i posła, „pokojuwca”, członka Rady Obrońców Pokoju, który podróżował po zamkniętym dla innych Zachodzie. Miał wilę, jako jeden z pierwszych na Śląsku prywatny wóz, wartburga, przywie-

SŁAWOMIR
JASTRZĘBSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

A Biblię
to proszę czytać

Kiedyś to się umierało! Nie to co dziś! Kiedyś to człowiek mógł sobie spokojnie sprawy pozamykać, się pożegnać mógł, np. z kimś, kogo kochał, a reszcie powiedzieć te rzeczy (wiecie jakie) już bezkarnie i się mógł położyć w celu ostatniego sobie wypuszczenia oddechu po ceremonii baj-baj. Kiedyś to był komfort. A dziś? Czasy są takie, że strach umierać.

Człowiek umrze i okazuje się, że wychodzą o nim takie rzeczy, że strach. Życie trzeba, żeby się bronić, żeby stano-wisko ustalić. Ale jak żyć, jeśli się umarło? Weźmy tego piosenkarza Jacksona. Miał za życia sporo problemów, nie ma co mówić, że nie. Wokół niego bardzo brzydkie kręciły się sprawy, ale generalnie świat za życia go na parkietach i falach radiowych nosił. Ikona był, dla wielu wzorem może nawet jakimś. Naśladowały go miliony, nie ma co mówić. A dziś? Straszne oskarżenia. Film, w którym nikt by się nie chciał oglądać, niszczy go po śmierci zeznaniami świadków.

Bronić się ten Jackson nie może, a publiczność zdeorientowana nie wie do końca, komu ufać i czy w ogóle jego piosenek można słuchać, czy można patrzeć na jego taniec, skoro to taki obrzydliwy typ. O ile to prawda...

Podobnie z księdzem, któremu pomnik wybudowano po śmierci, żeby potem tenże pomnik po śmierci obalić. Za życia wskazywał drogę, krzepił tysiące, po śmierci wstyd, hańba, o ile z tym wstydem i hańbą prawda, oczywiście... I znowu

publika przeżywa poznawcze rozdarcie. Bo jak to? Przecież dopiero był wzorem i tak nam go pokazywaliście, a teraz plujecie na niego po śmierci, może i słusznie, a może nie? Jakies dziwne etapy prawdy.

A jeśli nadejdą nowe etapy i okaże się, że to, co się okazało po okazaniu, okazało się, że nie powinno być jednak być okazywane, gdyż omija prawdę? Ciekawe, ciekawe.

Ile razy ludzki życiorys może być zmieniany i jak po śmierci ludziom udowadniać winę, żeby ewentualnie ich dobrego imienia nie niszczyć? A jeśli łotrom się należy? Ciekawe, ciekawe, a ja tak siedzę i piszę zdeorientowany, bo patrzę na tego Jacksona, jak tymi nogami robi, że stoi, a się rusza, geniusz i ten kapelus, podziwiam, a chyba już powinienem zacząć się brzydzić. Przedzielić człowieka na pół? Że połowę podziwiam, a połowę gardzę? Tak w ogóle można?

A z innej beczki to pana Kazimierza Marcinkiewicza trochę mi żal. On się przyznaje, że z alimentami zasądzonymi na panią Izabelę zalega, ale płaci, ile może, a jak nie ma, to nie płaci. I on twierdzi, że ona przez media to już go prześladowuje, i może ma trochę racji.

Dlatego wszystkim mądrym przed szkodą zalecam czytanie Biblii. Ja np. otwieram sobie i czytam i czasem nawet wyciągam wnioski. Na przykład mi się otworzył cytat z Mądrości Syracha: „Nie odchódź od żony mądrej i dobrej, albowiem miłość jej cenniejsza niż złoto”. Piękny cytat. A panu Kazimierzowi się nie otworzył, a szkoda... ©©

MARCIN
MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Cóż to jest
prawda?

Kłamstwo, manipulacja i propaganda są tak stare jak język. Jako współcześni lubimy sobie schlebiać, że oto odkryliśmy nowy ich wymiar: fake newsy, mowę nienawiści, postprawdę. Jeśli jednak cokolwiek nowego da się zauważyć od czasu tabliczek klinowych Sumerów, to ich skalę. Niczym w prawie Moore'a liczba kłamstw w przestrzeni medialnej rośnie w sposób wykładniczy. A skoro tak, to osławiamy się z nim jak z równoprawnym elementem debaty, krok po kroku dewaluując znaczenie faktów. Nie jest tajemnicą, że jedną z naczelných reguł sowiecko-rosyjskiej szkoły propagandy jest wmówienie odbiorcy z Zachodu, że coś takiego jak obiektywna prawda nie istnieje. Jest tylko konkurencja równorzędnych opinii, z których właściwsza wydaje się ta, która mocniej zagra na emocjach i osobistych przekonaniach.

Weźmy pierwszy przykład z brzegu, dotyczący II wojny światowej i polityki; paryską konferencję pt. „Nowa polska szkoła historii Zagłady”. Z definicji spotkanie o charakterze naukowym błyskawicznie zamieniło się w festiwal referatów quasi-publicystycznych. Paneliści, wśród których byli m.in. prof. Jan Tomasz Gross, Jan Grabowski czy Jacek Leociak, porównywali uprzedzenia Polaków do Żydów do tych, które plemię Hutu miało w trakcie ludobójstwa w Rwandzie wobec Tutsi. Licytowano się na obarczanie Kościoła kato-

lickiego współwiną za „polski antysemityzm” jako głównego „winnego”, wymieniając oczywiście o. Tadeusza Rydzyka. Stwierdzono również, że „Polacy na wsiach zabili więcej Żydów niż Niemcy w obozach koncentracyjnych i zagłady”.

Ico z tego przebieło się do międzynarodowej świadomości medialnej? Informacja o rzekomych antysemickich zachowaniach Polonii przybyłej na konferencję, których po upublicznieniu kilku godzin nagrań z Paryża jakoś nikt wskazać nie umiał. Były za to sporadyczne krzyki, oskarżenia panelistów o kłamstwa, którym oni rewanżowali się emocjonalną kontrą. Francuska minister nauki Frédérique Vidal napisała jednak list do Jarosława Gowina z żądaniem „po-tępienia antysemityzmu” części widzów, w przeciwnym bowiem wypadku Republika Francuska uzna, że „incydent miał wsparcie polskiego rządu”. – Cieszę się, że w liście skierowanym do mnie tak mocno podkreśla pani wartość, jaką jest wolność nauki. W wielu krajach Europy wartość ta jest bowiem zagrożona przez ideologię politycznej poprawności, przy pomocy której próbuje się narzucać uczynom rozmaite formy cenzury i autocenzury – odparł Gowin, witając francuską minister „w gronie sojuszników walki z antysemityzmem”, który przybiera we Francji w ostatnich miesiącach straszliwe rozmiary. I chyba właśnie tak odpowiadać na kłamstwa trzeba. Kulturalnie, ale ze świadomością, gdzie leżą fakty. ©©



KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Papierowa feministka

Gerald Birgfellner nie otrzymał pieniędzy za pracę i mi to powinno przeszkadzać? Raczej osobie, która ich nie otrzymuje.

Czy taka linia obrony Jarosława Kaczyńskiego przed stawianymi mu zarzutami o miganie się od płacenia za wykonaną pracę by się medialnie obroniła? Nie wydaje mi się. Dlaczego więc polityczce partii, która od tygodni nie posiada się z oburzenia, że Kaczyński być może komuś czegoś nie zapłacił, łatwo przychodzi usprawiedliwianie Kazimierza Marcinkiewicza, o którym wiadomo na

walkę z alimenciarzami i sprawcami przemocy ekonomicznej, powinna być bardziej wyczulona na los chorej kobiety niż austriackiego biznesmena.

Jeśli Ewa Kopacz wierzy w program swojej partii, pomysł, że miałaby ją w Parlamencie Europejskim reprezentować notoryczny alimenciarz, powinien ją oburzać. Ostatecznie choć trochę krępować. Zamiast tego mamy zapewnienia, że niezapłacone alimenty to problem byłej żony, a Kazimierz jest ogólnie przesympatyczny i europejski. Można mieć wątpliwości co do zasadności czy wysokości tych konkretnych alimentów – sama takie mam, ale naprawdę nie da się pogodzić tego stosunku Platformy do Marcinkiewicza z jej deklarowanym szacunkiem do wyroków sądów i obrzydzeniem do alimenciarzy. No nie da się. Taryfa ulgowa dla Marcinkiewicza to nie tylko pokaz partyjnej hipokryzji, lecz także smutny dowód na to, jak wiele warte jest w polskiej polityce zwykłe pałkarstwo – bo takie i tylko takie zasługi ma były premier dla Platformy, która dobrego słowa o nim nie powiedziała, gdy jeszcze był liczącym się politykiem, ale doceniła, gdy jako polityk skończony umie i lubi

dokopać swojej dawnej partii. Ale to też żadna nowina, każda partia zdrajców swojego wroga ceni najbardziej.

Platforma Obywatelska wielokrotnie krytykowała PiS za niewdrożenie konwencji antyprzemocowej. Gdyby ją znała, wiedziałaby, że to, co robi Kazimierz Marcinkiewicz, wyczerpuje zawartą w niej definicję przemocy domowej, którą jest także przemoc ekonomiczna, również jeśli dotyczy byłych już małżonków. Gdyby w Polsce wdrożono konwencję antyprzemocową, mówilibyśmy dzisiaj o współpracy Platformy z człowiekiem, który według tej konwencji jest przemocowcem. Na szczęście dla partii z prawami kobiet na sztandarach konwencja jest martwa i możemy udawać, że wypowiedź Ewy Kopacz to tylko pewna niezręczność, a nie otwarte usprawiedliwianie sprawcy przemocy ekonomicznej.

Pamiętajmy o tych słowach Ewy Kopacz, gdy następnym razem przeczytamy o pracodawcach ułatwiających pracownikom unikanie alimentów. Pewnie też uważają, że to wyłącznie problem osoby, która tych alimentów nie otrzymuje. ©©

Na szczęście dla partii z prawami kobiet na sztandarach konwencja jest martwa

pewno, że swojej byłej żonie regularnie nie płaci, i wiadomo też, że – w przeciwieństwie do tego, co swojemu powinowatemu zalega lub nie zalega Kaczyński – należności Marcinkiewicza nie są przedmiotem żadnego sporu, bo zostały prawnie zasądzone? Partia, która niedawno obiecywała na konferencji o prawach Polek

PODSŁUCHANE

O utykaniu

Marek, podobno już piątą tablicę z „układem” zabrałeś platfusom z korytarza?

Tak jest, Joachim, zabrałem i zabierał będę nadal.

No dobra, ale co ty z nimi robisz? Przecież to spore jest.

Fakt, duże to zrobili. Specjalnie, żeby trudniej było schować. Ale ja mam swoje sposoby. Utykam.

Nie zauważyłem. Coś z nogą?

Nie. Utykam tablice. To tu, to tam. A, w tym sensie... A gdzie konkretnie?

Dwie utknąłem u nas w klubie. Jedną u Marka w gabinecie za tą kotarką, wiesz. Czwartą w nocy zniosłem do kotłowni...

Spaliłeś? Żeby problemów z tego nie było, potem się platfusy będą pultać, że im własność zniszczyłeś.

Ale skąd. Nie spaliłem, schowałem w pakamerce z narzędziami.

Ty to masz rozeznanie...

Kochany, siedzi się w tym Sejmie 18 lat, to się wie. No, a piątą zawiozłem na Nowogrodzką.

No to się Naczelnik wkurzy.

A gdzie tam. Ramkę taką namalowałem dookoła, jego zdjęcie na tej tablicy okleiłem sreberkiem, napisałem: „Dla kochanego Pana Prezesa na pamiątkę”. Naczelnik uwielbia takie prezenty.

Ale ty wiesz, że oni tych tablic naprodukowali podobno ze dwadzieścia?

Świetnie się składa. Drewnutnia mi się rozszczelniła na działce, będę miał czym ściany podbić. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Dla mnie to jest upokorzenie tej bardzo dużej grupy ludzi. Bardzo nie w porządku w stosunku do nich”.

JOANNA MUCHA, posłanka PO, w Onet.pl o wypłacie 13. emerytury w roku

fot. Jerzy Gumowski



„Mowa nienawiści”

Kazano mi zabrać głos à propos najmodniejszego terminu, którym okładają się dziś strony polityczne III RP, czyli tzw. „mowy nienawiści”, zatem niżej kilka refleksji dotyczących tego zjawiska i tego sformułowania. Nie jest ono ani nowe, ani lokalne. Równie brutalna wojna polsko-polska buzuwała sto lat temu, gdy endecy szkalowali Piłsudskiego „nienawistnym językiem”, a piłsudczycy odgryzali się im ze wszech sił. Nie ma już państwa wolnego od politycznych „hejtów” dotyczących ważnych figur (gdy szef brytyjskiej dyplomacji, Boris Johnson, napisał w „*Sieci*”, że kobiety noszące burkę wyglądają niczym skrzynka na listy lub niby bandyta rabujący bank — został internetowo ukrzyżowany jako producent „mowy nienawiści”, co też spotkało znanego aktora, Rowana Atkinsona, który wziął ministrowa w obronę).

Dalekie korzenie dzisiejszej „mowy nienawiści” to robota lewaków. Łukasz Warzecha słusznie zauważył, że „pojęcie «mowa nienawiści» jest standardowo wykorzystywane przez lewicę do uderzania we wszystkie poglądy, które się jej nie podobają”, przypominając, że „podręcznik Fundacji Batoro jako «mowę nienawiści» kwalifikuje nawet «brak słownej akceptacji»” (2019), a Przemysław Harczuk dodał do tego komentarz mówiący, iż przy takiej żonglerce „za «mowę nienawiści» może być uznane chociażby cytowanie *Pisma Świętego*”. Salon priwiślański (genetycznie goszystowski), głośno lansujący tezę, że wylęgarnią aktualnej „mowy nienawiści” była „pisowska kampania nienawiści sprzed paru lat”, dostał niedawno (koniec stycznia) bardzo bolesny kubeł zimnej wody na rozpalony łeb, gdyż Centrum Badań nad Uprzedzeniami (Uniwersytet Warszawski) ogłosiło wyniki badań dowodzące niezbitości, iż agresja słowna to specjalność bardziej opozycji niż PiS-u — przy zionących „hejtm” liberałach typu Obywatele RP prawicowcy/konserwatyści są barankami. Tę diagnozę potwierdza spore grono socjologów. Nawet politolog uzorowany w PZPR-SLD-PO, profesor Kazimierz Kik, przyznał kategorycznie: „— *Przemysł pogardy, którego autorem była Platforma Obywatelska i media zaprzyjaźnione z nią, stanowił wstęp do obecnego języka nienawiści*” (2019). Vulgo: Platforma (oraz wszelkie jej prydupasy) gardlująca, że „mowę nienawiści” tworzyło i nakręca PiS — to klasyczny syndrom złodzieja, co ucieka z łupem wskazując kogoś innego i krzycząc: „— *Łapać złodzieja!*”.

Ow krzyk doznał silnego wzmożenia po zastępowaniu prezydenta Gdańska przez psychopatę-socjopatę/kryminalistę-recydywistę, który jako więzień lubił oglądać

„szcujnię TVN-u” (notabene: na PO głosowało w ostatnich kilku wyborach 76–83% osadzonych kryminalistów, na PiS 8–15%). Liderzy „*Totaloposition*”, którzy od razu uczynili z Adamowicza świętego męczennika, wzór cnót, skacząc na jego trumnie taniec wojenny do wtóru melodii: „*Pawła zabiła atmosfera nienawiści stworzona przez PiS!*” — jeszcze kilkanaście miesięcy temu (2017) bezpardonowo wieszali na Adamowiczu psy jako na korupcyjnym aferzyście (m. in. zataił w swym oświadczeniu majątkowym dwa spośród siedmiu posiadanych mieszkań oraz dużą sumę pieniędzy; tłumaczył to później „*pomyłką mechaniczną, kalkiem nieświadomą*”), zwąc go szemranym typem, którym winno się zająć CBA, i wystawiając przeciw niemu (wybory samorządowe) Wałęsę-juniora. Obluda każe im udawać, że tego nie pamiętają, lecz pechowo dla nich zostały po tamtych kontrAdamowiczowym „*hejcie*” PO i .Nowoczesnej nagrania filmowe i radiowe. Zapomnieli też o Ryszardzie Cybie, który wrzeszcząc, że nienawidzi PiS-u, zamordował (2010) pisowca Marka Rosiaka. Więc gdy apelują dziś o zaniechanie „mowy nienawiści” — stają się forpocztą hipokrytów.



Szymon Szymonowic
(„*Lutnia rokosańska*”, 1607):
„*Gdzie bojażń, tam nienawiść...*”



Amazonka bojowego „kontrakcyzmu”, Krystyna Janda, rzuciła u schyłku roku 2018 szczerze wyznanie, które zaraz rozkolportowały mainstreamowe czasopisma: „— *Przez ostatnie dwa lata podupadłam na umyśle i zdrowiu*”. To drugie (choroby anatomiczne) nie rzucało się nikomu w oczy, jednak to pierwsze było słyszalne aż za bardzo. Te same symptomy widać dziś u całej opozycji („*podupadła na umyśle*”), która przeciwko „*mowie nienawiści*” wyszczerza kły równie złowrogo jak dżihadysty zgrzytający, że islam jest „*religią pokoju*”. Przykładem może być wielka „*aferna*” ofensywa „*Gazety Wyborczej*” przeciwko „*Prezesowi*”. Taśmy świadczące o kryształowej uczciwości materialnej (finansowej) szefa partii, która tych kanciarzy doprowadza do szału, zinterpretowała beczelnie jako interesowne krętownictwo. Ale nie chodzi tu już tylko o żalowaną „*kapiszonowość*” rzekomego skandalu, czy o prawdę generalną, którą Irena Lasota wyraziła (2018) tak: „*Don't ever take products of Agora SA seriously!*” (Nigdy nie traktuj poważnie wytworów Agory SA!), lecz też o mimowolne zdemaskowanie całą tą sprawą szacherki (politycznej stronniczości, być może korupcyjnej) stołecznego ratusza rządzonego przez PO, bo jak inaczej wytłumaczyć fakt, że spółka Srebrna nie dostała „*wuzetkowych*”, „*zezwoleń*” na budowę dwóch wieżowców tam, gdzie pięciu innym

„*podmiotom*” zezwolono wznieść „*drapacze chmur*” (ujawnił tę niesprawiedliwość neglżującą manipulację ratusza komunikat ruchu Miasto Jest Nasze).

Nie powinniśmy być takimi hucpami zaskoczeni, znamy przecież obłudę i wybiórczą amnezję Salonu od dawna. Kiedy roku 2011 pewien mężczyzna dokonał samospalenia w proteście przeciwko rządowi Donalda Tuska — „*GW*” nazwała go „*terrorystą*” i warczała: „*Pod kancelarią premiera nie podpalił się szlachetny bohater, który walczy o wzniosłe cele. Zrobił to ktoś, kto przy pomocy aktu terroru (skierowanego wobec samego siebie) próbował na nas coś wymusić*”. Ale gdy w r. 2017 (za rządów PiS-u) to samo zrobił inny mężczyzna — gazeta Michnika mianowała go bohaterem narodowym. Dziś blisko jest do tego, by Salon apologetyzował i laurował jako bohaterskich patriotów, istnych herosów „*walki z reżimem*”, żulę praktykującą ataki kułakami czy obskującą znicze na Krakowskim Przedmieściu. Przy obecnym (przedwyborczym) arcywzmoczeniu „*mowy nienawiści*” dawne domowe wojenki (choćby konflikt o SN i o sędzinę Gersdorf) błędną, schodzą ku poziomowi starego: „*Co prawda aktualnie przeżywamy chaos, ale za kwadrans Heniek przyniesie pół litra*”. Krzyczący tytuł z okładki tabloidu — „*Dzicz zaatakowała Magdalenę Ogórek*” — unaocznia znanie czasu: salonowa dzicz posługuje się już nie tylko moczem czy „*mową*”, lecz i fizyczną agresją.

Napaść owa wzbudziła we mnie refleksję o urodzie „*targetu*” jako dodatkowej motywacji. Uroda figur estradowych bowiem gra w polityce rolę olbrzymią (inaczej Kennedy nigdy nie wygrałby z Nixonem), gdyż wielką statystyczną i lobbystyczną część każdego elektoratu stanowią kobiety. Mechanizm ten funkcjonuje również bardzo silnie w „*mowonienawistnej*” priwiślańskiej opozycji antypisowskiej. Tak wśród celebrytów („*Janda i banda*”, czyli wszystkie te Cieleckie, Szczepkowskie, Stalińskie itp.), jak i wśród aktywistów ulicznych (wszelkie te awanturne podsejmove, uczestniczki chuligańskich „*street-dances*”). Myślę nie o ich fizonomiach czy kształtach, lecz o urodzie Mme Ogórek, którą te panie nienawidzą rekordowo nie tylko dlatego, że jest antysalonowa, lecz głównie dlatego, że jest piękna. Tu tkwi powód, iż zazdrosne opozycjonistki uliczne przypuszczają fizyczny atak na nią właśnie, nie zaś na wychodzących z tego samego gmachu Ziemiakiewicza, Janceckiego czy Wolskiego. Ekspedientki tudzież właścicielki nie wypraszają „*pisowskich talibów*” (red. Sakiewicz, red. Rachonia, czy braci Karnowskich) ze sklepów, co się pani Ogórek zdarzało przez jej propisowskość. Babska zawiść to siła sprawcza, przy której ideologie bywają stimulatorami drugorzędnyymi, słabeuszami. ©©

Waldemar Łysiak



**DRAPIEŹNIKU
DRAP
I WYGRYWAJ**



DRAPIEŹNICY KOCHAJĄ 